

Ziobro kontra komisja ■ Jaka emerytura cię czeka ■ Trump nie porwał Europy
Jak się nie dać cyberoszustom ■ Gry, które leczą ■ Zdejmij maskę na karnawał

Kraków 5 – 11 lutego 2025 nr 6 (3944)

cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Milion wiernych ojca Szustaka

TAJEMNICA
SUKCESU
KAZNODZIEI
Z YOUTUBE'A

STRONY SPECJALNE
WŁÓCZYKIJ
KULTURALNY



ISSN 1148-0503 NR INDEKSU 379425

*Wyjątkowa,
fascynująca i bardzo
ważna powieść.*

VALÉRIE PERRIN

”

*Jeśli można zwrócić
komuś choć odrobinę
tego, z czego go ograbiono, nawet
kiedy się nie wie, co dokładnie się
zwraca, to nie wszystko
jest stracone.*



Poruszająca powieść
o posłannictwie pamięci,
rekonstruowaniu
przeszłości i tytanicznym
dziele, jakie wykonują
pracownicy słynnych
Archiwów Arolsen.

GRAND
PRIX **RTL**
LiRE
magazine

Książka, która odkrywa jedno
z najbardziej niezwykłych
miejsc na świecie,
dokumentujących tragiczną
historię XX wieku.



WYDAWNICTWO
ALBATROS



KS. ADAM

Boniecki: Jak żyć

ZASTANAWIAM SIĘ, CZEGO OCZEKUJĄ CI, KTÓRZY PYTAJĄ KSIĘŻY: „Jak żyć?”. Na pewno wciąż pytają o to ojca Szustaka. Sam też często to słyszę, choć – przyznam – równie często, jak zdanie: „Księża nic o prawdziwym życiu nie wiedzą”. A jednak nas pytają... W tej kwestii zawsze starałem się nie wymądrzać. A co mam właściwie do powiedzenia teraz, kiedy nagle przyszła starość?

Tak, teraz już wiem, że nie całkiem nagle, ale wcześniej nie zwracałem na nią uwagi. Przyszła do mnie w nocy. Rano już coś było nie tak. Potem szpital, jakieś zatarte wspomnienia, strzępy... Jedno wiedziałem już na pewno: zaczęła się starość. Chodzenie powolne, z trudem, i pamięć. Nigdy nie była znakomita, ale teraz? Mówią: pamiętasz? A ja mówię, że oczywiście, że tak, ale to nie jest prawda. Nazwiska w notesie, a ja nie wiem, kto to jest. Chcę zadzwonić do kogoś, kogo znam od lat i nie mogę sobie przypomnieć nazwiska. Pani, która robi ze mną rehabilitację, twierdzi, że trzeba te nazwiska zapisać w innym sektorze pamięci. Czytam. Nawet sporo. Książki, gazety. Dawniej wystarczyło przeczytać, żeby wiedzieć. Teraz czytam i coś zapamiętam, ale bardzo dużo – nie.

Obserwuję ludzi chorych. Żyję przy domu, w którym jest ich wielu. Czy dlatego mówią o tym, co dziś, co zmysłowe, namacalne, że nie pamiętają, czy dlatego, że odruchowo nie chcą nikogo wpuszczać do swoich wnętrz? Oczywiście nie wiem, ale wiem, jestem pewien, że wielu naprawdę ma głowę wyczyszczoną ze wspomnień. Sam się pilnuję, żeby w moim mentalnym archiwum nie zrobiło się puisto. Znam ten odruch, by doświadczenia (długiego w końcu) życia zostawić, nie wracać do nich. Niech zostaną tam, gdzie są. Ale tak się nie da, zewnątrz jestem mniej więcej taki sam, jak byłem. Staram się, materiału jeszcze w głowie nieco pozostało... Patrzę na tych, u których nie pozostało nic. Czy to w ogóle od nas zależy?

Myślenie także jest odmienione. To znaczy – ważność spraw się zmieniła. Jeszcze nie tak dawno były rzeczy, które musiałem zrobić. Teraz nie muszę właściwie nic. No, prawie nic. W porównaniu z tym, co było, całkowity luz. Nie muszę, bo nie mogę, nie muszę, bo wydaje mi się, że nie mogę. A może naprawdę nie mogę? Kto to wie? Lepiej nie próbować. Więc myślenie. Uwaga pierwsza: myśli nie mogą ograniczyć się do obrębu tego domu, do posiłków, które są całkowicie wystarczające, żeby żyć higienicznie, bez obżerania się, i dostatecznie ascetyczne, żeby nigdy nie być nadmiernie odżywionym. Ważne, by o posiłkach nie myśleć. Myślę, że od tego zaczyna się degradacja – od zamknięcia się w myśleniu o biologicznej egzystencji, o jedzeniu, spaniu itd. Uwaga druga: myśleć o kończącym się życiu. To dziwne, ale najłatwiej się wraca do pierwszych dziesięciu lat życia. To też jest zasadzka. Durnowata niewinność, nawet wyrzucenie z P. przez Niemców i przeprowadzka do wielkiego domu z parkiem w S. pozostało w pamięci jako fascynująca, pozytywna przygoda. Rodzice urządzili ten nowy dom, zanim sprowadzili dzieci. My czekałimy w T. u stryja mego ojca. Dlaczego z takim trudem wygrzebuje z pamięci koniec tamtej epoki? Stryj ojca zmarł w obozie w Oświęcimiu, ojciec został rozstrzelany, dom i świat, wtedy tak mocne i niezawodne, przestały istnieć...

Starość to nie tylko kres życia, ale czas dany (nie wiem, czy zawsze i wszystkim dany) do przejścia pamięcią przez tamte lata, tamte dni, tamte wydarzenia. Czas wydobywania ich zza mgły. Wydarzenia są ważne, ale najważniejsi są ludzie. Jak żyć? Pamiętajmy o sobie nawzajem, dokąd się da. Pamiętajmy. ©P

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”



TP W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH „TYGODNIKA”

PIOTR ŚMIŁOWICZ:

W prawicowych mediach toczy się wojna. Czy Sakiewicz pokona Karnowskich w walce o wpływ na partię Jarosława Kaczyńskiego?

JAKUB DYMEK:

Co łączy Donalda Trumpa, Narendrę Modiego i Xi Jinpinga. Jak wygląda globalizacja po liberalizmie?

MARCIN WÓJCİK:

O katolikach, którzy szukają dla siebie pary. Reportaż z miejsc realnych i wirtualnych, w których swatają zgodnie z nauką Kościoła.

To już Państwo mieli okazję zauważyć: z okładki spogląda o. Adam Szustak, wędrowny kaznodzieja i internetowy ewangelizator, który w dobie tylu uzasadnionych pretensji do Kościoła, zgłaszanych i przez laicyzujący się świat, i poranionych wiernych, dorobił się na YouTube blisko miliona subskrybentów. Jak ich przyciągnął, czym skłonił do pozostania – i czy sposób, w jaki opowiada o Bogu i Biblii, nie bywa czasem kontrowersyjny, to temat tekstu **ARTURA SPORNIKA**.

Temat tekstu, bo tematem całego „Tygodnika” jest przyszłość stosunków między UE a USA po pierwszym tygodniu rządów Trumpa. **OLAF OSICA**, jak na analityka przystało, nie dramatyzuje – w nowym globalnym rozdaniu widzi raczej szansę do wykorzystania.

Szanse, której – przynajmniej – nie dostrzega **MAREK RABIJ**, piszący o przyszłości naszych emerytur. Po lekturze jego artykułu zalecam natychmiastowe przejście do działu Opinie i skorzystanie z porad **MICHAŁA WALKIEWICZA**, opisującego świat gier wideo mających wartość – nie ma w tym słowie żadnej metafory – terapeutyczną.

Większość tych tekstów poszła do druku w piątek – w dniu, w którym resztki państwowca we mnie paliły się ze wstydu na widok (opisywanego przez **PIOTRA ŚMIŁOWICZA**) spektaklu z udziałem Zbigniewa Ziobry i sejmowych śledczych. Przyznam, że również szukałem wtedy czegoś terapeutycznego i akurat na moją skrzynkę mailową spłynął felieton **WOJCIECHA BONOWICZA**.

„Opieram się pesymizmowi, jak umiem. Zresztą wydaje mi się, że na poziomie pragnień (o bezpieczeństwie, spokoju, zdrowiu, czystym powietrzu i wodzie) jesteśmy wszyscy bardzo do siebie podobni. Różnice pojawiają się i komplikują na poziomie wyobrażeń. Tischner pisał o »lustrach«, które zniekształcają obraz drugiego. Wyobrażenia, atakowana zewsząd informacjami i przedstawieniami, nie nadają waloryzować i porządkować tego, co ją wypełnia. Czy drugi rzeczywiście jest tak dalece inny, tak nieprzekraczalnie obcy?” – pyta w nim Wojtek.

Felietoniści rzadko spoglądają z naszych okładek, rzadko wyróżniamy ich w spisie treści, czasami ich teksty trudno znaleźć między działami, a przecież bywa, że to właśnie oni wyrażają coś, co dla „Tygodnika” najważniejsze. ©P

MICHAŁ OKOŃSKI
REDAKTOR PROWADZĄCY

Redaktor wydań specjalnych „TP”, autor książek o futbolu, laureat nagrody Grand Press w kategorii publicystyka i Nagrody im. Mariusza Waltera w kategorii Sport w mediach.

BOHATER Z OKŁADKI



34 Milion wiernych ojca Szustaka

ARTUR SPORNIK

Jest najpopularniejszym polskim ewangelizatorem – jego internetowy kanał subskrybuje prawie milion osób. Co im mówi i dlaczego tak chętnie go słuchają?

FOTOESEJ



54 Powrót do Syrii

MACIEJ MOSKWA

Bab al-Hawa znaczy „Brama Wiatrów”. To przejście graniczne po syryjskiej stronie granicy, w którego kierunku wędrują z Turcji tysiące ludzi pragnących wrócić do domu po upadku dyktatury Asadów.



94 Twarz na karnawał

ROZMOWA Z JOANNĄ BRAUN, SCENOGRAFKĄ:

Nagłówek artykułu o karnawale w Rio de Janeiro brzmiał: „szesnastu samobójców ze szczęścia”. A dalej: „nie mamy jeszcze informacji o skutkach karnawału w São Paulo”. Taki był początek mojej fascynacji.

OBRAZ TYGODNIA

6 Uczynki miłosierdzia
MAREK KĘSKRAWIEC

7-11 Komentarze i informacje

CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA,
PIOTR SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

KRAJ

20 Samo zło
MAREK RABIJ:
*Miliony Polek i Polaków czeka na starość
skrajna bieda*

23 Dzieci dla władzy
ANNA GOLUS:
Do czego używają ich politycy

26 Pegasus bez skrzydeł
PIOTR ŚMIŁOWICZ *o kompromitacji
komisji śledczej i spektaklu wokół Ziobry*

28 Konsument w sieci
JERZY DZIEKOŃSKI: *Zima to w Polsce czas
promocji i zniw dla cyberoszustów*

OPINIE

30 Gra o zdrowie
MICHAŁ WALKIEWICZ: *Gier wideo
używa się przy terapii syndromu stresu
pourazowego, depresji i ADHD*

WIARA

34 Milion wiernych ojca Szustaka
ARTUR SPORNIK

38 Parytety Ducha Świętego
ROZMOWA Z CETTINĄ MILITELLO:
*Kogo w Kościele ma reprezentować
człowiek, który nosi strój za prawie
20 tys. euro?*

41 Bunt księży
SZYMON ŁUCYK: *W walce o utrzymanie
celibatu afrykańscy biskupi są bardziej
papieruszy od papieża*

ŚWIAT

44 Historia zatacza koło
WOJCIECH KONOŃCZUK *o sytuacji
Kościoła na Białorusi*

47 Nie czuję się mięsem
ANTONINA PALARCZYK *o więźniach-
ochotnikach w ukraińskiej armii*

TEMAT TYGODNIKA

12

Nie porwał Europy

RAFAŁ OSICA

Europa patrzy na Trumpa, a Trump patrzy, gdzie chce. Czy w tej wizji Ameryki, jaką tworzy jej przywódca, będzie dla nas miejsce? I co możemy uczynić, aby nie czekać biernie?



STRONY SPECJALNE

63 WŁÓCZYKIJ KULTURALNY

FELIETONY

43 TOMASZ STAWISZYŃSKI
79 WOJCIECH BONOWICZ
92 OLGA DRENDA **93** PAWEŁ BRAVO
98 STANISŁAW MANCEWICZ
98 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
ADAM SZUSTAK OP
FOT.: DOROTA CZOCH (ARCH. RTCK)

48 Zamiana ról nad Dniestrem

PIOTR OLEKSY: *Jak UE może doprowadzić
do wypchnięcia Moskwy z Naddniestrza*

50 Wirus wraca na globalną agendę

AGATA KAŻMIERSKA, WOJCIECH
BRZEZIŃSKI *o poglądach nowego szefa
CIA na temat pochodzenia SARS-CoV-2*

51 Giganci znad Nilu

ZBIGNIEW ROKITA: *Gdy zapytać
w Sudanie Południowym o pozytywne
historie, mówią o swojej reprezentacji
w koszykówce*

54 Powrót do Syrii

MACIEJ MOSKWA

NAUKA

56 Warto wierzyć

PIOTR SZYMANEK: *Osoby religijne
odczuwają większą satysfakcję z życia
niż ateści*

HISTORIA

60 Kiedy wypada Wielkanoc?

EDWARD AUGUSTYN, MACIEJ MÜLLER:
*Jedno z pytań najczęściej wpisywanych
w internetowe wyszukiwarki jest starsze
od nich o niemal dwa tysiące lat*

KULTURA

80 Demony Ameryki

MICHAŁ CHOIŃSKI: *Cykl wybitnych
reportaży, powieść nagrodzona
Pulitzerem i popularny serial – wszystkie
poświęcone są kryzysowi, który wyniszcza
amerykańskie społeczeństwo*

84 Dusza powierzona przedmiotom

ANNA ARNO *o pisarzu Michele Marim*

87 Pułapki rozdzielania

JAKUB MAJMUREK: *Wymyślona przez
twórców serialu „Oddzielenie” tytułowa
procedura to genialna metafora*

90 Tropikalny trip

ANITA PIOTROWSKA *o filmie
„Grand Tour” Miguela Gomeza*

91 Zbieranie okruszków

LEKTOR *o książce Zbigniewa Herberta
„Węzeł gordyjski» oraz inne pisma
rozproszone”*

ZMYSŁY

94 Twarz na karnawał

ROZMOWA Z JOANNĄ BRAUN

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

NOWA PRENUMERATA...

... „TYGODNIK” PROSTO DO MOJEGO DOMU



Zapisz się na newsletter
POWSZECZ.NET/NEWSLETTER



Słuchaj podkastów
POWSZECZ.NET/PODKAST

STR.

17

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ X /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

UCZYNKI MIŁOSIERDZIA

PIĘCIORO AKTYWISTÓW STANĘŁO przed sądem w Hajnówce za dostarczenie w marcu 2022 r. jedzenia i ubrań oraz przewiezienie kilkanaście kilometrów od granicy dziesięcioosobowej rodziny z Iranu (w tym siedmiorga dzieci) i mieszkańca Egiptu. Wedle prokuratury sprawcy zrobili tak, by uzyskać korzyści osobiste – jednak nie dla siebie, lecz... dla ludzi, którymi się zaopiekowali. Dziwny to zarzut, jakby sformułowany na siłę. A jeśli weźmie się pod uwagę, że to pierwszy proces aktywistów oskarżonych o pomoc ludziom błakającym się po nadgranicznych lasach – bardziej kompromituje on nasze państwo, niż pokazuje jego sprawczość.

EUROPA NIE BOI SIĘ DZIECI, to nie z nimi wiąże się rosnąca przestępczość na ulicach europejskich miast i znikające poczucie bezpieczeństwa. Jej problemem jest niewydolny system,

Jeśli sprawa z Hajnówki miała uzasadniać decyzję rządu o zawieszeniu prawa do azylu o odpowiedzi na instrumentalizację migracji ze strony dyktatorów Białorusi i Rosji, to prokuratura oskarża niewłaściwe osoby.

MAREK KĘSKRAWIEC

POWYŻEJ:

Kamila Jagoda Mikołajek, Joanna Agnieszka Humka, Mariusz Chyżyński i Ewa Moroz-Kaczyńska – aktywiści oskarżeni o pomoc w nielegalnym przekroczeniu granicy polsko-białoruskiej. Hajnówka, 28 stycznia 2025 r.

który nie potrafi zasymilować ze społeczeństwami Zachodu rosnącej liczby migrantów, uciekających głównie przed biedą, ale też przed wojnami i prześladowaniami.

Powód przyjazdu do Europy jest przy staraniach o status uchodźcy niezwykle istotny, ale w wielu przypadkach niemożliwy do weryfikacji. Procedury ciągną się miesiącami, większość historii o represjach okazuje się fikcją, nakazy deportacji czekają na wykonanie w rosnących kolejkach. W efekcie tłumy sfrustrowanych osób snują się bez celu po europejskich miastach – przemytnicy obiecali im wstęp do raju, tymczasem lądują w limbo, bez nadziei i często bez zrozumienia kultury świata, do którego trafili. Gdy co jakiś czas dochodzi do tragedii, ataku na niewinnych uczestników jarmarku bożonarodzeniowego albo gwałtu – gniew społeczny obraca się przeciwko wszystkim przybyszom.

Jeśli jeszcze w prasie niemieckiej czy szwedzkiej ukazują się materiały o imigrantach, którzy rzekomo uciekli przed morderczym reżimem, ale spędzają wakacje i jeżdżą na wesela do swych ojczyzn – społeczeństwo ma prawo uważać, że całe to prawo azylowe jest jedną wielką hucpą.

Kolportowane niegdyś tylko w niszowych portalach przekonanie, że Europę zalewają tłumy niebezpiecznych młodych mężczyzn z krajów islamskich, przestaje być teorią spiskową. Nad wieloma statystykami, do niedawna skrywanymi w ramach politycznej poprawności i walki z nietolerancją, nie można już przejść obojętnie. Przystępczość w środowiskach imigranckich jest znacząco wyższa, to fakt. I jeżeli polityczny mainstream nic z tym zjawiskiem nie zrobi, czeka nas w niedługiej perspektywie kaskada zwycięstw wyborczych radykalnych partii, które scenę polityczną Europy wywrócą do góry nogami.

CO TO MA WSPÓLNEGO z procesem w Hajnowce? Otóż bardzo wiele. Pokazuje bowiem, że do oceny szlachetnych postaw aktywistów trzeba wprowadzić szerszy komponent, wykraczający poza poglądy ich samych oraz osób, które pod sąd rejonowy przyszły w przekonaniu, że udzielanie pomocy humanitarnej nie jest przestępstwem. Znaczące były zwłaszcza skandowane przez nich hasła i napisy na transparentach: „Buduj mosty, a nie mury”, „Nieważne skąd, ważne, że człowiek”, „Gość w dom, Bóg w dom”, „Żaden człowiek nie jest nielegalny”.

Powoływanie się przez aktywistów na wartości chrześcijańskie ktoś mógłby uznać za prowokację. Warto jednak przypomnieć sobie, jak radykalne może być chrześcijaństwo, po czym spojrzeć na tych młodych ludzi jak na nasze sumienie. „Głodnych nakarmić, spragnionych napoić, nagić przyodziać, podróżnych w dom przyjąć” – to przecież uczynki miłosierdzia, jakich żaden chrześcijanin, a przecież w chrześcijańskim żyjemy kraju, nie powinien unikać.

Z drugiej strony mamy jednak obowiązujące na terenie Polski prawo, które nakazuje karać za pomoc w nielegalnym przekraczaniu granicy; aktywiści zaś dobrze wiedzieli, w jaki sposób ich podopieczni przekroczyli barierę. Jednocześnie pomogli im przecież nie na samej granicy ani też nie byli członkami przemytniczego gangu. I dlatego źle się stało, że sąd nie umorzył warunkowo sprawy na pierwszym posiedzeniu. Dobrze natomiast, że minister sprawiedliwości Adam Bodnar, były rzecznik praw obywatelskich, zlecił najbliższemu współpracownikom analizę śledztwa, po której akt oskarżenia może zniknąć z sądu do kolejnej rozprawy.

CZY POLSKA POWINNA w takim razie rozebrać barierę z drutem żyłkowym, powodującym rany? Jestem zdecydowanie przeciw. Instrumentalizacja imigracji przez Łukaszenkę i Putina to również fakt. Obaj dyktatorzy nie zorganizowali w 2021 r. kanału powietrznego, ściągając do Mińska mieszkańców Azji i Afryki z potrzeby serca, ale po to, by gwałtowność fali imigrantów zdemolowała system społeczny i doprowadziła do poważnego kryzysu politycznego. A potem, gdy Unia zatopi się w chaosie, Rosja spokojnie zajmie Ukrainę. To akurat się nie udało, w czym dużą rolę odegrały poprzednie władze Polski, zamykając naszą granicę. Jednak kryzys polityczny wokół imigracji i tak wybuchł, co widzimy po wynikach wyborów oraz sondażach politycznych w USA i Europie. Byłby on o wiele większy, gdybyśmy zrobili to, czego pragną aktywiści – rozebrali barierę.

To chyba największy paradoks: jeśli spełnimy postulaty migracyjne skrajnej lewicy, będziemy mieli rządy skrajnej prawicy. Katastrofy można uniknąć tylko w jeden sposób. Rozsądni ludzie, nawet jeśli mają w tej sprawie różne poglądy, muszą zacząć ze sobą rozmawiać. Okopanie się na pozycjach, nawet tych najszlachetniejszych, to prosta droga do ruiny świata, w którym żyjemy. ©P



Chiński debiut

MARIA WIŚNIEWSKA

NIEKTÓRZY MÓWIĄ, ŻE TO NOWY „MOMENT SPUTNIKA”. To analogia do czasów, gdy świat zdominowała rywalizacja między USA a Związkiem Sowieckim. Wtedy to, 4 października 1957 r., Sowieci wystrzelili na orbitę ziemską pierwszego sztucznego satelitę. Kreml triumfował, a na Stany padł blady strach.

Tym razem chodzi nie o kosmos, lecz sztuczną inteligencję (AI). Chińska firma DeepSeek, dotąd nieznaną, wypuściła w świat swój czat R-1, który rozwiązuje problemy logiczne, odpowiada na pytania i pisze programy. Ma on podobną wydajność co narzędzia rozwijane dotąd w USA (np. ChatGPT-4, z którego korzysta już miliony ludzi). Przełom polega na tym, że Chińczycy osiągnęli to przy mniejszych nakładach: deklarują, że wydali 6 mln dolarów (tj. 10 razy mniej, niż pochłonęło wytrenowanie czata GPT-4) i użyli 2 tys. czipów starszej generacji (wcześniej szacowano, iż nowoczesny model AI wymaga 15 tys. czipów).

Część analityków zwraca jednak uwagę, że Chiny mogły celowo zaniżyć koszty, by wzmocnić swą pozycję na globalnym rynku AI. Spektakularny debiut rodzi bowiem pytanie, czy branża AI w Stanach nie stworzyła bańki inwestycyjnej, która w każdej chwili może pęknąć. Na to wskazywałyby reakcje inwestorów: akcje giganta czipowego z USA, firmy Nvidia, spadły o 17 proc. (to największy jednodniowy spadek w historii giełdy w USA).

Jakie będą skutki polityczne? USA stoją przed perspektywą utraty dominacji w branży AI, co miałoby znaczenie dla gospodarki i obronności.

Jest tu też pytanie o strategię USA wobec Chin: debiut DeepSeeka ma miejsce mimo sankcji, które odcięły Chinom dostęp do najnowszych zachodnich czipów. Niepokój budzi również ryzyko wycieku danych osobowych. Z tego powodu Włochy zablokowały dostęp do R-1. Podobną decyzję podjęły niektóre agencje rządowe w USA, w tym NASA, uzasadniając ją obawami o bezpieczeństwo: nie chcą, by dane obywateli wpadły w ręce Chińczyków. Ich śladem mogą pójść inne kraje.

Jakby tego było mało, chiński czat wprowadza w światowy obieg cenzurę w duchu Pekinu. Program „żywi” się bowiem treściami z chińskiego internetu, który jest poddany ścisłemu nadzorowi. R-1 ma też wbudowaną autokontrolę. Np. pytany o masakerę na placu Tiananmen w 1989 r., odpowiada: „Przepraszam, ale to wykracza poza moje obecne kompetencje. Porozmawiajmy o czymś innym”. ©



Morze doda energii

MAREK RABI

OKOŁO 40 KILOMETRÓW OD POLSKIEGO WYBRZEŻA, na odcinku między Ustką a Choczewem, w ciągu najbliższych dwóch lat wyrosnie 107 turbin wiatrowych wytwarzających łącznie niemal 1,5 gigawata (GW) energii elektrycznej. Baltica 2 – jak nazywa się projekt – będzie jedną z największych morskich farm wiatrowych na świecie, zdolną pokryć zapotrzebowanie na prąd dla 1,5 mln domów. Kosztować ma ok. 30 mld zł, a sfinansują ją grupa PGE, kontrolowana przez Skarb Państwa, oraz Ørsted A/S, największy duński koncern energetyczny.

„Do 2040 roku – to wcale nie jest taka daleka perspektywa – myślimy o 18 gigawatach z wiatru” – mówił kilka dni temu premier Donald Tusk podczas uroczystego podpisania umowy.

To dość ambitne założenie, jeśli wziąć pod uwagę, że według danych z września 2024 r. wszystkie turbiny wiatrowe na terenie kraju mogły jednocześnie wytworzyć do 9,79 GW energii elektrycznej.

W ub. roku już 29,6 proc. wyprodukowanego prądu pochodziło w Polsce ze źródeł odnawialnych – głównie z wiatru, choć w najszybszym tempie, podobnie jak w latach wcześniejszych, rosły moce fotowoltaiki. Znaczenie OZE w naszym miksie energetycznym dynamicznie rośnie (w 2015 roku nie przekraczało 10 proc.), ale wciąż ma charakter mocno sezonowy. Wiosną i latem panele fotowoltaiczne dostarczają często więcej prądu, niż jest w stanie przyjąć przestarzała polska sieć elektroenergetyczna. Zimą podobną rolę mogłyby odgrywać farmy wiatrowe, ale ich rozwój zamroził rząd PiS. Wprowadzenie w 2016 r. przepisów umożliwiających postawienie turbiny w miejscach oddalonych od najbliższych domostw o co najmniej 10-krotność jej wysokości sprawiło, że większość atrakcyjnych lokalizacji stała się niedostępna. W rezultacie zainstalowana moc polskich turbin jest dziś trzykrotnie mniejsza od potencjału produkcyjnego fotowoltaiki. Największą farmą wiatrową w kraju jest dziś FW Potęgowo, o mocy zaledwie 219 megawatów.

„Odblokowanie prądu z wiatru” było jednym z przedwyborczych „stu konkretnych” Donalda Tuska, ale rządowy projekt ustawy zmniejszającej wymagany odstęp od zabudowań do 500 metrów dopiero niebawem ma trafić do Sejmu. Dzięki zawartym w nim zmianom do 2030 roku tylko na lądzie powstać mają instalacje wiatrowe o łącznej mocy 10 GW. ©



Wojna w sercu Afryki

WOJCIECH JAGIELSKI

WSPIERANA PRZEZ RWANDĘ partyzantka kongijskich Tutsich rozpetęła nową wojnę w afrykańskim kolosie – Demokratycznej Republice Konga (2,3 mln km kw. powierzchni, ponad 100 mln mieszkańców). Rebelianci zdobyli półmilionowe miasto Goma na wschodzie kraju (w kilka dni zginęło prawie tysiąc ludzi) i prowincję Kivu-Północ. Z Gomy ruszyli na sąsiednie Kivu-Południe i jego stolicę Bukavu.

To kolejne już powstanie na wschodzie tego państwa; od ponad ćwierć wieku wywołuje je Rwanda, sąsiadka DRK. Rządzący Rwandą politycy z plemienia Tutsi chcą przerobić kongijskie brzegi jeziora Kivu w strefę buforową, chroniącą przed ich wrogami z plemienia Hutu, którzy w 1994 r. dokonali na nich ludobójczych pogromów, a potem uciekli do DRK przed zemstą. Na wygnaniu skrzyknęli się w partyzantkę, by wrócić do Rwandy i odzyskać władzę.

Pierwsze powstanie, wywołane z inspiracji Rwandy w 1996 r., zakończyło się obaleniem dyktatora z Kinszasy Mobutu Sese Seko. Drugie, z 1998 r., przerodziło się w pięcioletnią wojnę, największą wojnę współczesnej Afryki (zginęło 4-5 mln ludzi). Przerwał ją pokój z 2003 r., ale na wschodzie Demokratycznej Republiki Kon-

ga niewiele to zmieniło: wybuchły kolejne powstania tamtejszych Tutsich (w DRK żyje ich pół miliona), a Rwanda je wspierała.

Rwanda i jej protegowani kongijscy Tutsi odkryli też, że polując nad jeziorem Kivu na partyzantów Hutu, mogą przy okazji plądrować bogate kongijskie kopalnie: złota, kobaltu, koltanu czy tantalitu, niezbędnych w elektronice i „zielonej” energetyce. Grabieże te stały się procederem tak dochodowym, że polowanie na rebeliantów Hutu zeszło na drugi plan, a Rwanda zaczęła zarabiać miliardy na eksporcie skarbów, których złóż nie ma na jej ziemiach.

Przywódcy najnowszego powstania kongijskich Tutsich odgają się teraz, że ich celem jest przejęcie władzy w całej DRK. Ale zanim poniosą wojnę do odległej o półtora tysiąca kilometrów stołecznej Kinszasy, pod Bukavu przyjdzie im się zmierzyć z wojskami Burundi, które przybyły Demokratycznej Republice Konga z odsieczą.

Burundi i Rwanda to „bliźniacy”: w obu trzy czwarte ludności stanowią Hutu, jedną czwartą Tutsi, a historię znaczą krwawe pogromy. W Rwandzie rządzą dziś Tutsi, a w Burundi – Hutu; obie strony uważają się nawzajem za najgorszych wrogów. ©



Ulice Gomy po walkach. Na ziemi wyposażenie porzucone przez cofającą się kongijską armię rządową, 30 stycznia 2025 r.

NA PUNKTY

WYRZUT

„Polska gospodarka wzrosła o ponad trzy procent w ostatnim kwartale” – pochwalili się w nagraniu zamieszczonym przez media społecznościowe premier Tusk. Kłopot w tym, że zrobił to podczas jazdy samochodem, a na filmie widać, że nie ma zapiętych pasów bezpieczeństwa – i że mówiąc w kontekście krytyków rządu o „wiecznych maruderach”, pomylił znaczenie tego słowa.

ZARZUT

Obiektywnie większe kłopoty ma jednak były premier: w związku ze śledztwem w sprawie afery RARS szefowa biura Mateusza Morawieckiego Anna W. usłyszała właśnie zarzuty udziału w zorganizowanej grupie przestępczej i przyjęcia korzyści majątkowej w wysokości 3,5 mln zł.

ODRZUT

Niespodziewanym bohaterem kampanii prezydenckiej jest prof. Antoni Dudek, którego krytyczne recenzje pracy Karola Nawrockiego w IPN skłoniły księdza uczestniczącego w spotkaniu wyborczym kandydata PiS do sugestii, by wymierzyć Dudkowi „prawy prosty albo lewy”. Nie dojdzie do sparingu na autorskim kanale YouTube politologa, Nawrocki bowiem odrzucił zaproszenie. ©P



Chrystus wciąż za mało Królem

ARTUR SPORNIAK

Z POKORĄ CHYLĄC SWE CZOŁA PRZED Tobą, Królem Wszechświata, uznajemy Twe Panowanie nad Polską i całym naszym Narodem, żyjącym w Ojczyźnie i w świecie” – to fragment Aktu Przyjęcia Jezusa Chrystusa za Króla i Pana, uroczyste proklamowane przez episkopat w Łagiewnikach 19 listopada 2016 r. w obecności prezydenta RP, parlamentarzystów i ok. 80 tys. przybyłych osób. Uroczystość ta była zwieńczeniem wieloletnich negocjacji episkopatu z ruchami intronizacyjnymi, domagającymi się ogłoszenia Chrystusa Królem Polski. Ruch, stworzony przez wiele oddolnych organizacji, napędzały objawienia żyjącej przed II wojną światową w Krakowie pielęgniarki Rozalii Celakówny, której Jezus miał obiecać, że jeżeli zostanie intronizowany przez parlament i episkopat na Króla Polski, kraj uniknie wojny.

Wtedy – w 2016 r. – biskupi uważali, że dzięki zgodzie na uroczystość uniknie to schizmy. Jednak nie wszystkie środowiska intronizacyjne uznały łagiewnicką proklamację za tę, o którą chodziło Celakównie. W negocjacjach z episkopatem

nie uczestniczyła Polonia amerykańska związana z tradycjonalistami. Organizuje ona co roku w Polsce Kongres dla społecznego panowania Chrystusa Króla – odbył się właśnie w sobotę w Warszawie. Intencja jest taka, by stwarzać wraz

nie, że Kościół katolicki popiera ten ruch, dlatego jako prelegenci zapraszani są księża (chętnie uczestniczą duchowni będący na bakier z instytucją i głoszący skrajne poglądy, jak znany z antysemickich wystąpień ks. Tadeusz Guz (na zdjęciu) czy ks. Stanisław Koczwara, któremu misję nauczania odebrano już w 2004 r. – obaj wygłosili prelekcje).

Życzliwie wspiera kongresy też abp Andrzej Dzięga, którego Watykan wysłał na wcześniejszą emeryturę za tuszowanie pedofilii w Kościele. Tym razem jednak nie pojawił się, tłumacząc nieobecność chorobą. Najprawdopodobniej powodem jednak było ostre odcięcie się od Kongresu archidiecezji warszawskiej.

Wizje Celakówny wciąż poruszają wyobraźnię – organizator Kongresu, chicagowska Telewizja Chrystusa Króla, ma 74 tysiące subskrybentów. ©P



ŁUKASZ KRAJEWSKI / AGENCIA WYBORCZA.PL



Berlin: przedwyborcze wstrząsy

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z NIEMIEC

W ŚRODĘ 29 STYCZNIA Bundestag przyjął wniosek o zaostrzenie polityki migracyjnej. Wprawdzie nie ma on mocy prawnej (to odezwa do rządu), ale ma wielkie znaczenie symboliczne i polityczne. Wniosek, który przygotowała opozycyjna chadecja, postuluje stałe kontrole graniczne i niewpuszczanie osób, które nie mają dokumentów, w tym tych, które chcą prosić o azyl; imigranci zaś, którzy otrzymali decyzję

o deportacji, mieliby być aresztowani.

W ten sposób parlamentarna większość ogłosiła koniec polityki migracyjnej, której apogeum nastąpiło w 2015 r. za sprawą Angeli Merkel; w jej efekcie wiele milionów ludzi dostało się do Niemiec. Ostatnio nasilały się jednak głosy, że tak liberalna polityka jest nadużywana przez migrantów ekonomicznych, ekstremistów i terrorystów. Czarę goryczy przelała seria zbrodni popełnio-

nych przez imigrantów, a ostatnią kroplą był Aschaffenburg, gdzie chory psychicznie Afganczyk zaatakował dzieci w parku. Zabił 2-latkę i mężczyznę, który ruszył dzieciom z pomocą. Okazało się, że sprawca dawno powinien być deportowany (jego wniosek azylowy odrzucono), ale urzędy nie zadziałały. To schemat, który się powtarza.

Po tym dramacie Friedrich Merz, kandydat chadecji na kanclerza w wyborach, które są 23 lutego, przedstawił plan

zwrotu w polityce migracyjnej. I tu dochodzimy do drugiego powodu, dla którego 29 stycznia jest tak ważny: rządząca jeszcze centrolewica, SPD i Zieloni, odmówiła Merzowi poparcia i wniosek przeszedł dzięki głosom skrajnie prawicowej AfD.

Z sondaży wynika, że o przyszłej koalicji chadecy będą musieli rozmawiać z SPD lub Zielonymi, tj. z tymi, którzy dziś oskarżają ich o „pakt z faszyzmem”. Tworzenie rządu może być więc trudne. W ten sposób wraz z polityką Merkel do historii mogą przejść polityczna stabilność i przewidywalność, które tak długo wyróżniały Niemcy. ©

Lek na depopulację

DEMOGRAFIA ■ Polska się kurczy i starzeje, a młode pary niechętnie decydują się na dzieci – taki komunikat można od jakiegoś czasu generować automatycznie z początkiem każdego roku, nawet bez spoglądania w najnowsze dane Głównego Urzędu Statystycznego. Bez ryzyka pomyłki.

Pod koniec ub. roku było nas niecałe 37,5 mln, czyli o 147 tys. mniej niż w roku poprzednim. Liczba urodzeń wyniosła 252 tys., a więc o 20 tys. mniej – te ćwierć miliona z hakiem to po raz kolejny najgorszy polski wynik od II wojny. Spada też współczynnik dzietności, pokazujący precyzyjniej niż roczna liczba narodzin skłonność młodego pokolenia do posiadania dzieci (roczne spadki urodzeń mogą też wynikać ze zmniejszającej się liczby kobiet w wieku rozrodczym). W 2023 r. współczynnik ten wyniósł 1,16, co oznacza, że na sto kobiet w wieku 15-49 lat rodzi się w Polsce 116 dzieci, podczas gdy pożądaną poziom to co najmniej 210.

Polskiej depopulacji, powtarzają jak mantrę demografowie, nie unikniemy. Oczywiście, jej dynamika może być różna: może galopować w tempie, które przyniesie w 2060 r. spadek ludności Polski do poziomu 26,7 mln (to skrajnie pesymistyczny wariant prognozy GUS), może biec nieco wolniej, dając za trzy i pół dekadę wynik 30 lub niecałe 35 milionów (to wariant średni i optymistyczny). Nie da się też zatrzymać drugiego z wielkich demograficznych procesów zmieniających niepostrzeżenie Polskę – starzenia się społeczeństwa. O ile w 2022 r. na sto osób w wieku produkcyjnym przypadało 70 w nieprodukcyjnym, za trzy i pół dekadę ta druga liczba może wynieść 105.

Recepty na te procesy są tyleż oczywiste, co zawodne: i świadczenia na dzieci (o tym, że 500/800 plus nie zbawiło i już nie zbawi polskiej demografii, wiemy od dawna), i poprawa infrastruktury opiekuńczej, i inne mechanizmy mogą łagodzić najbardziej dotkliwe objawy zmian – ale ich nie zatrzymają. Nie obędzie się bez coraz większej liczby imigrantów – napływ tych z Ukrainy od 2014 r. i tak łagodzi alarmistyczne polskie wskaźniki demograficzne (przyczyniając się skądinąd do coraz bardziej dramatycznych notowań w samej Ukrainie). Jeszcze niedawno GUS prognozował, że w Polsce na stałe – w zależności od przyjętego wariantu – może pozostać od kilkunastu do 58 proc. Ukraińców przybyłych do nas po lutym 2022 r.

Gdyby wybór wariantu zależał od panującej w Polsce obecnie aury politycznej i społecznej, moglibyśmy w ciemno stawiać na ten pesymistyczny. W kampanii prezydenckiej komunikaty niechętnie Ukraińcom wysyłają już nie tylko kandydaci prawicowi: po tym, jak Rafał Trzaskowski zaproponował ograniczenie 800 plus dla Ukraińców, pomyślł podchwycił Donald Tusk, a w jednym z sondaży poparcie dla tej koncepcji wyniosło ponad 80 proc. Ta i podobne propozycje mogą – choć wcale nie muszą – opłacić się politycznie. Polskiej demografii nie pomogą na pewno.

© P PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Trump zaczyna konflikt handlowy także z sojusznikami

USA-KANADA ■ Wtorek 4 lutego ma szansę zapisać się w historii najnowszej: to dzień wejścia w życie cła w wysokości 25 proc. na produkty importowane do USA z Kanady i Meksyku. Bardziej łaskawie niż kanadyjskiego sojusznika Donald Trump potraktował Chiny: w przypadku importu z Chin cła mają wynosić 10 proc.

Cła Trumpa i kanadyjskie cła odwetowe mogą być wstrząsem dla obu gospodarek. 15-17 proc. całego importu, który przybywa do USA, pochodzi z Kanady. Z kolei dla Kanady amerykański partner jest jeszcze ważniejszy: do USA trafiało dotąd trzy czwarte produktów eksportowanych przez Kanadę, zaś produkty wwożone do Kanady z USA stanowiły połowę kanadyjskiego importu. Łączna wartość eksportu z Kanady do USA to 306 mld dolarów amerykańskich rocznie, a importu z USA do Kanady – 217 mld. Kanada ma więc tu sporą nadwyżkę, a Trump wiele razy mówił, że uważa ten deficyt handlowy Stanów za niesprawiedliwość i brak szacunku ze strony północnego sąsiada.

Cła uderzą zwłaszcza w kanadyjską branżę energetyczną. Kanada jest czwartym na świecie producentem ropy, a jej eksport prawie w całości trafiał do Stanów. Jednak także Stany dobrze na tym zarabiały: Kanada ma ograniczoną liczbę rafinerii i ropociągów, i zmuszona jest rafinować surowce w Sta-

nach. W efekcie 20-30 proc. ropy, którą eksportowano do USA, było z powrotem kupowanych przez Kanadyjczyków pod postacią produktów ropopochodnych. Danielle Smith, premierka prowincji Alberta, której gospodarka oparta jest na ropie, prowadziła negocjacje do końca. Aby ułagodzić Trumpa, proponowała utworzenie stanowiska pełnomocnika ds. granicy. Być może w geście pod jej adresem zdecydował on, że cło na ropę będzie niższe niż na pozostałe produkty i wyniesie 10 proc. Jednak i to może być problemem dla Kanady.

Uzasadniając decyzję, Trump mówi o nielegalnych imigrantach i narkotykach (zwłaszcza fentanylu), docierających do USA przez nieszczelne granice. Ale fentanyl, który trafiał z Kanady do USA, stanowił ok. 1 proc. całego fentanylu przemycanego do Stanów. Gdy zaś idzie o imigrantów, z Kanady pochodziło mniej niż 1 proc. tych, którzy nielegalnie przybywali do USA.

W odpowiedzi premier Kanady ogłosił 25-procentowe cła odwetowe. Szacuje się, że na skutek tej wojny celnej kanadyjskie PKB może spaść o 2,5 proc., zagrożone są setki tysięcy miejsc pracy. Media nawołują do kupowania lokalnych produktów. Relacje USA-Kanada są najgorsze od 1812 r., od czasu ówczesnej wojny między oboma krajami.

© MAŁGORZATA SIDZ
z Edmonton (Kanada)

Premier Kanady Justin Trudeau wygłasza orędzie do narodu, w którym informuje o nałożeniu cła odwetowego na Stany Zjednoczone, w odpowiedzi na karne cła nałożone na Kanadę przez Donalda Trumpa. Ottawa, 1 lutego 2025 r.



TANG JUSTIN / CANADIAN PRESS / ABACA / EAST NEWS



Krater Barringera, Arizona

W Ziemię może uderzyć spora planetoida

OBRONA PLANETARNA ■ Na całym świecie setki automatycznych teleskopów nieustannie wpatrują się w niebo w poszukiwaniu asteroid poruszających się w pobliżu naszej planety. 27 grudnia 2024 r. jeden z nich, położony w Chile, zauważył nieznaną dotąd planetoidę i rozpoczął proces coraz dokładniejszego wyliczania jej orbity. Okazało się, że orbita tego ciała oraz ziemską przecinają się w jednym punkcie czasu i przestrzeni – tzn. może dojść do zderzenia. Szczegółowe obserwacje prowadzone przez wiele ośrodków jednocześnie pozwoliły oszacować wielkość zagrażającego nam cia-

ła na od 40 do ponad 100 metrów średnicy. Stwierdzono też, że najprawdopodobniej jest to planetoida kamienna i ustalono, że strefa, która może być zagrożona, przebiega w okolicach równikowych, od Kostaryki przez Afrykę aż do Indii. Ryzyko zderzenia do 2032 r. oszacowano na od 1,3 proc. do nawet 6 proc. – to największe kosmiczne zagrożenie, od kiedy je monitorujemy.

Skutki ewentualnego zdarzenia zależą od budowy wewnętrznej tego ciała i kąta, pod którym uderzy. Jeżeli planetoida wpadnie do Atlantyku lub Oceanu Indyjskiego, może wywołać tsunami o wielkości, która zależy głównie od miejsca uderzenia. Jeżeli spadnie na ląd, może powstać krater o średnicy nawet kilku kilometrów. Przykładowo, około 50-metrowa planetoida (ale zbudowana z żelaza, a nie z kamienia) utworzyła ok. 50 tys. lat temu 1,3-kilometrowy krater Barringera w Arizonie. W najgor-

szym przypadku więc scenariusz z filmu „Armageddon” nam nie grozi, ale trafiony region wielkości metropolii warszawskiej zostałby zrównany z ziemią.

Jeżeli planetoida okaże się zbudowana z materiału mniej odpornego na rozpadywanie w czasie przechodzenia przez atmosferę, wybuchnie ona w powietrzu na wysokości kilku kilometrów. Rezultaty będą podobne do katastrofy tunguskiej z 1908 r.: ponad tysiąc kilometrów kwadratowych rozpląszonego przez falę uderzeniową terenu, możliwe pożary, dziwaczne chmury na całym świecie. Mamy też przykład z naszego podwórka: żelazna asteroida, o średnicy kilkunastu-kilkudziesięciu metrów, kilka tysięcy lat temu rozpadła się w czasie przejścia przez atmosferę i utworzyła kilka mniejszych kraterów w okolicy Poznania. Można je obejrzeć w rezerwacie przyrody Meteoryt Morasko.

© ANNA ŁOSIAK

Na Bennu tętni chemiczne życie

POWSTANIE ŻYCIA ■ Większa planetoida, Bennu, o średnicy ok. 500 metrów, w pobliżu Ziemi znajdzie się za ok. 150 lat, więc na razie nie niepokoi specjalistów od obrony planetarnej. Za to właśnie podeksytowała astrobiologów.

W 2020 r. Bennu odwiedziła amerykańska sonda OSIRIS-Rex, która pobrała próbki i w trzy lata później przywozila je w hermetycz-

nie zamkniętym pojemniku na Ziemię. Dzięki temu naukowcy dostali szansę zbadania prawdziwej „kapsuły czasu” – obiektu liczącego ok. 4,5 mld lat, niemal niezmiennego od początku istnienia Układu Słonecznego. Opublikowana właśnie analiza tych próbek pokazała, że pozornie martwa skała zawiera niemal wszystkie składniki kluczowe dla biologii. W 120 gramach pyłu znajdowało się 14 z 20 aminokwasów występujących w białkach na Ziemi oraz wszystkie pięć zasad azotowych stanowiących cegiełki budujące DNA i RNA.

Badanie wykazało też, że w zamierzchłej historii Ben-

nu, albo raczej większa asteroida, która rozpadła się tworząc współczesny obiekt, tętniła chemicznym życiem i miała nawet zbiorniki ciekłej wody. Obecność soli takich jak kalcyt, halit czy sylwin wskazuje, że woda w głębi asteroidy mogła istnieć przez co najmniej tysiące lat. „Te minerały dają nam wyraźny sygnał, że asteroidy nie były tylko bryłami skał i lodu, lecz aktywnymi, «żywyimi» obiektami” – napisał Yasuhito Sekine z Earth-Life Science Institute w Tokio.

Naukowcy znaleźli również znaczne ilości amoniaku, niezbędnego do przemian biochemicznych. Kiedy amoniak

łączy się z formaldehydem – również wykrytym w próbkach – może inicjować powstawanie złożonych molekuł, w tym białek. Woda i związki organiczne odkryte na Bennu wpisują się w hipotezę, że to właśnie ciała takie jak ta asteroida dostarczyły Ziemi niezbędnych składników do zainicjowania życia. A skoro dostarczyły je tutaj, fundamenty życia niemal na pewno trafiły na Marsa, Europę, Tytana i inne ciała niebieskie, gdzie życie miało szansę rozkwitnąć. Czy z niej skorzystało – to zupełnie inne pytanie, na które wciąż szukamy odpowiedzi.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI



TEMAT
TYGODNIKA

NIE PORWAŁ EUROPY

Europa patrzy na Trumpa, a Trump patrzy, gdzie chce:
taki jest wniosek po pierwszych dniach urzędowania prezydenta USA.
Czy w tej wizji Ameryki, jaką tworzy jej przywódca, będzie dla nas miejsce?
I co możemy uczynić, aby nie czekać biernie?

OLAF OSICA



ELIZABETH FRANTZ / REUTERS / FORUM

Prezydent Trump w Białym Domu. Waszyngton, 29 stycznia 2025 r.

TO NIE BYŁO ZWYKŁE ORĘDZIE POLITYCZNE. Zarówno jego ton, treść, jak i odniesienia przypominały bardziej kazanie duchowego przewodnika narodu niż zapowiedź działań prezydenta największej (po Indiach) demokracji na świecie.

Choć od 20 stycznia w USA miało już miejsce tyle ważnych wydarzeń, że wcześniej mogłyby wypełnić kalendarz polityczny na wiele miesięcy, oddajmy na chwilę głos Trumpowi z tamtego dnia.

W inauguracyjnym orędziu mówił: „Złoty wiek Ameryki zaczyna się wła-

śnie teraz. Od tego dnia nasz kraj będzie rozkwitał i znów będzie szanowany na całym świecie. Będziemy przedmiotem zazdrości każdego narodu. I nie pozwolimy się dłużej wykorzystywać”.

I dalej: „Każdego dnia będę po prostu stawiał Amerykę na pierwszym miejscu. Nasza suwerenność zostanie odzyskana. Nasze bezpieczeństwo zostanie przywrócone. (...) Ameryka wkrótce stanie się większa, silniejsza i o wiele bardziej wyjątkowa niż kiedykolwiek wcześniej. (...) Od tego momentu upadek Ameryki dobiegł końca”.

Oraz jeszcze to: „Zostałem zbawiony przez Boga, aby uczynić Amerykę znowu wielką. (...) Będziemy podążać za naszym oczywistym przeznaczeniem w gwiazdach, wysyłając amerykańskich astronautów, aby zasadzili Gwiazdy i Paski na planecie Mars. (...) Jesteśmy jednym ludem, jedną rodziną i jednym chwalebnym narodem pod Bogiem”.

Prezydent czy mesjasz

W tych słowach Trumpa amerykańsi znaleźliby zapewne szereg odniesień do historii idei politycznych, tych dotyczących amerykańskiej wyjątkowości i wielkości, a także dowodów na osadzenie polityki w USA w kontekście religijnym. Gdyby też analizować je pojedynczo, nie byłyby one może niczym wyjątkowym. Jednak ich nagromadzenie w jednej mowie – tej mowie – skłania do tezy, iż nie były one jedynie retorycznym ornamentem, lecz zdradzały głębokie poczucie misji nowego prezydenta.

Dla europejskiego rozumienia polityki – głęboko zsekularyzowanego i (wciąż) opartego na ideach oświeceniowych – ten *quasi*-religijny ton Donalda Trumpa wydaje się nie łączyć z problemem. Sugeruje, że racjonalna przestrzeń działania – czyli gra narodowych interesów, ubrana w analizę kosztów i korzyści – może być zaburzona przez czynnik irracjonalny, którym jest misja narodu amerykańskiego. Wszak misja nie podlega żadnym negocjacjom.

Obraz staje się jeszcze bardziej zaciemniony, gdy nałożymy na niego opinię o Donaldzie Trumpie jako o pozbawionym skrupułów i twardym negocjatorze, który koniec końców jest jednak racjonalny. Jego zapowiedź o potrzebie „rewolucji rozsądku” wydaje się stać zatem w kontrze do pozostałych elementów orędzia.

Pistolet na ścianie

Obawy o to, z którym Trumpem mamy do czynienia, doskonale pokazuje spór o przyszłość Grenlandii.

Donald Trump po raz pierwszy wyraził zainteresowanie zakupem Grenlandii w 2019 r., podczas swojej pierwszej kadencji. W prywatnych rozmowach miał rozważać możliwość nabycia tego duńskiego terytorium autonomicznego, nazywając taki zakup „strategicznie interesującym” dla Stanów Zjednoczonych. ➔

→ Teraz, po ponownym objęciu urzędu, ponowił swoje starania o przyłączenie Grenlandii do USA. Zrobił to w charakterystyczny dla siebie sposób, odmawiając dziennikarzowi odpowiedzi na pytanie, czy gdyby Kopenhaga powiedziała „nie”, to użyłby wojska... Czyli zawiesił pistolet na ścianie.

Kilka dni temu media obiegrała wiadomość, że Trump rozmawiał – na poważnie – o zakupie Grenlandii przez telefon z duńską premier Mette Frederiksen. Rozmowa miała ponoć zły przebieg, czyli lepiej, gdyby do niej nie doszło.

Efektom tej sytuacji jest z jednej strony deklaracja solidarności z Danią ze strony kanclerza Scholza i prezydenta Macrona oraz udzielenie „pełnego poparcia dla poszanowania granic międzynarodowych”. Według słów francuskiego ministra spraw zagranicznych Jeana-Noëla Barrota, Paryż miał omawiać nawet z Danią możliwość wysłania swoich wojsk na Grenlandię – w odpowiedzi na groźby prezydenta USA.

Grenlandia jak Falklandy?

Z drugiej jednak strony Mette Frederiksen stara się tonować nastroje, aby sojusznicy z Unii Europejskiej i NATO unikali publicznych polemik z Trumpem. Dobrze, że trafiło na zimnokrwistych Duńczyków. Na południu kontynentu podobne dyskusje mogłyby stać się początkiem poważnych lokalnych kryzysów.

W każdym razie obawa o słowną i polityczną eskalację nie jest niestety bezpodstawna.

Choć trudno wyobrazić sobie lądowanie amerykańskich marines w Nuuk, stolicy Grenlandii – i choć jeszcze trudniej wyobrazić sobie, aby w odsiecz pojawiły się tam wojska europejskich państw NATO, którego członkami są wszyscy aktorzy tego sporu – to emocje polityczne w tym lodowatym regionie świata mogą przynieść wydarzenia, z których wyjście nie będzie łatwe dla nikogo. Ostatnią rzeczą, której dziś potrzebujemy, jest polityczna „wojna o Falklandy”.

Pytanie, czy Donald Trump poważnie rozważa czynnik siłowy, czy po prostu wywiera presję, aby amerykańskie koncerny dostały kontrakty na dostęp do bogactw naturalnych Grenlandii (m.in. metali ziem rzadkich), a flota USA ustanowiła kontrolę nad nowymi szlakami żeglownymi, które powstają w wyniku

Trudno sobie wyobrazić lądowanie marines na Grenlandii, ale emocje polityczne w lodowatym regionie świata mogą przynieść wydarzenia, z których wyjście nie będzie łatwe dla nikogo.

topnienia lodowców w Arktyce, pozostaje więc otwarte.

Rzekomy plan na pokój

Podobnie otwarte jak pytanie o pokój w Ukrainie. Tutaj mamy jednak do czynienia z odwrotną dynamiką: od nierealistycznych obietnic, że uda się go wypracować w 24 godziny, do konstatacji, że potrzeba na to jednak wiele miesięcy, a konkretnie 100 dni (co jednak też może okazać się przejawem nadmiernego optymizmu).

Do opinii publicznej wyciekł ostatnio rzekomy plan pokojowy Trumpa – jego założenia opublikowała strona internetowa, którą prowadzi emigracyjny ukraiński dziennikarz, a która jest zakazana zarówno w Rosji, jak i w Ukrainie. Projekt został ponoć przekazany przez amerykańskich przedstawicieli europejskim dyplomatom.

Plan ma zakładać, że jeszcze na przełomie stycznia i lutego Trump odbędzie rozmowę telefoniczną z Putinem, a następnie prezydent USA omówi dalsze kroki z Kijowem. W kolejnym etapie, na przełomie lutego i marca, miałyby dojść do bezpośredniego spotkania Trump-Zełenski-Putin, podczas którego zostaną ustalone główne punkty porozumienia pokojowego.

Rozejm wielkanocny?

Wśród tych punktów znalazła się rezygnacja Ukrainy z członkostwa w NATO. Armia ukraińska miałaby zostać wprawdzie zredukowana, ale nie byłaby zlikwidowana (jak chce teraz Rosja) i mogłaby być dozbrajana przez USA. Kijów porzuciłby próby wojskowego i dyplomatycznego odzyskania okupowanych tery-

toriów, choć formalnie nie uznałby ich przynależności do Rosji.

Dalej: ciężar odbudowy Ukrainy miałyby wziąć na siebie Unia Europejska, do której Ukraina miałaby dołączyć w ciągu pięciu lat, tj. do roku 2030. Sankcje na Rosję byłyby stopniowo znoszone – część natychmiast po podpisaniu traktatu, reszta w ciągu trzech lat; zniesione miałyby zostać także ograniczenia na import rosyjskich surowców do Unii. Cła z ich importu miałyby być przeznaczone na odbudowę Ukrainy.

Zgodnie z domniemanym planem, rozejm miałyby zostać ogłoszony 20 kwietnia, na Wielkanoc (w tym roku obchodzoną tego samego dnia przez chrześcijan zachodnich i wschodnich). Ukraińskie wojska miałyby wtedy wycofać się z regionu Kurska, a pod koniec miesiąca miałyby odbyć się konferencja pokojowa, z udziałem USA jako mediatora.

Do rozmów miałyby dołączyć również Chiny, państwa europejskie oraz kraje tzw. globalnego Południa. Kluczowym punktem negocjacji miałyby być wymiana jeńców na zasadzie „wszyscy za wszystkich”. Do 9 maja miałyby dojść do podpisania formalnego traktatu pokojowego.

Balon próbny

Zakładając, że taki „plan” w Waszyngtonie w ogóle powstał, należałoby go traktować bardziej w kategoriach balonu próbnego. Nie byłby to gotowy przepis na (wątpliwą zresztą) pokój – jego zadaniem byłoby sprawdzenie reakcji (polityków i opinii publicznej).

Lecz nie zmienia to faktu, że dopóki Rosją rządzi Putin, na Zachodzie nie ma dobrego pomysłu na zakończenie tej wojny. Dzisiejsza Rosja to jednak nie późny Związek Sowiecki – od śmierci Stalina w partii komunistycznej zachodziły zmiany, a wewnętrzne procesy zmuszały kierownictwo tamtego państwa do racjonalnego oglądu świata i odpowiedzialności przed własnym aktywem. Natomiast Putin będzie trwał do końca. Swojego albo Rosji. Nadzieje, że presja ekonomiczna i kryzys wewnętrzny wypromują w Rosji jakiegось nowego Gorbaczowa, nie mają jakichkolwiek podstaw.

Jaki interes ma Rosja w wygaszaniu wojny, gdy przejęła inicjatywę na froncie i gdy w zachodniej „rodzinie” mamy już spór o Grenlandię, a w ciągu paru



PIER MARCO TACCA / GETTY IMAGES

Według rzekomego planu pokojowego Trumpa, którego projekt trafił do mediów, kraje Europy miałyby dołączyć do negocjacji w sprawie wojny w Ukrainie dopiero na końcowym etapie. Na zdjęciu: Wołodymyr Zełenski wśród unijnych przywódców podczas szczytu Rady Europejskiej. Bruksela, 17 października 2024 r.

miesiące nowa administracja USA może „otworzyć front” w Ameryce Łacińskiej wokół Panamy? Napięcia mogą powstać też wokół odsyłania nielegalnych imigrantów do krajów Europy. A w perspektywie mamy jeszcze wojnę celną USA z Unią Europejską i/lub Chinami.

Renesans czy katastrofa

Pytania, które z naszej europejskiej perspektywy przyniosły pierwsze dni rządów Donalda Trumpa, dotyczą w zasadzie jednego: czy i jaki jest plan na wpisanie Nowej Wielkiej Ameryki w zarządzanie światem, w system sojuszy i partnerstw? Bo to, że druga kadencja Trumpa będzie czasem głębokiej transformacji, jest rzeczą pewną.

Patrząc na emocje, na determinację i na pierwsze działania pod drugiej stronie Atlantyku, można sobie wyobrazić, że transformacja ta przyniesie albo faktyczny renesans Ameryki, który na nowo zdefiniuje także jej globalną misję, albo polityczną katastrofę, która jeszcze bardziej pogłębi jej wewnętrzne problemy i osłabi pozycję Stanów w świecie.

Oba scenariusze nie są dobre dla Europy. Przynajmniej dla tej jej części, która wciąż wierzy – choć już na szczęście nie naiwnie – w idee świata opartego na zasadach współpracy, negocjacji i poszanowania prawa oraz instytucji. Czyli w konieczność adaptacji ładu liberalnego do nowych uwarunkowań geopolitycznych, a nie wyrzucenie jego założeń do kosza.

Mocarstwo bez ograniczeń

Ten pierwszy, optymistyczny dla Ameryki scenariusz zakłada, że odrodzi się ona jako nowe mocarstwo wyzwolone spod jakichkolwiek ograniczeń. Zapewni bezpieczeństwo sobie, ale innym już nie. Użyje swojej wyjątkowości i misji dziejowej do usprawiedliwiania dowolnych działań. Będzie nowym imperium, którego ram i misji jeszcze nie znamy.

Przedsmakiem takiej perspektywy były słowa nowo mianowanej ambasadorki Stanów przy ONZ, Elisy Stefanik. Oświadczyła, że zgadza się z opinią, iż Izrael ma „biblijne prawo” do aneksji Zachodniego Brzegu Jordanu.

To otwiera drogę dla innych „praw” nie tylko na Bliskim Wschodzie, ale w każdym zapewne zakątku świata. Jednym z powodów, dla których Putin zaatakował Ukrainę, było wszak przekonanie, że Rosja ma do niej „prawo”, bo Ukraina to kolebka cywilizacji rosyjskiej (co, jak wiemy, jest dalekie od prawdy historycznej). Także wieloletni spór między Grecją a Macedonią o nazwę tej ostatniej był podszyty „prawami” do dziedzictwa Aleksandra Macedońskiego.

Nie jest na szczęście tak, że słowa stają się od razu początkiem nowej polityki. Ale puszczanie oka do tych, którzy w zestawie obowiązujących w świecie reguł widzą tylko nieuzasadnioną barierę dla swoich działań (i, bywa, nie mają świadomości konsekwencji ich likwidacji), zawsze otwiera drzwi do większego chaosu i większej przemocy.

Scenariusz katastrofy

Drugi scenariusz – katastrofy – zakłada fiasco trumpowskiej rewolucji. W takim scenariuszu zniszczenie instytucji liberalnej demokracji nie spowoduje powstania ➔

→ w ich miejsce nowych. Przyspieszy proces erozji siły i pozycji Ameryki. Centrum świata przeniesie się ostatecznie do Azji, co zresztą dzieje się już od długiego czasu, ale jak dotąd było spowalniane potęgą amerykańskiej floty i siłą dolara jako waluty globalnej.

Gdyby jednak Ameryka wpadła w głęboki kryzys wewnętrzny i rozbiła obecny ład w Europie oraz w regionie Azji i Pacyfiku (zbudowany przecież przez siebie po II wojnie światowej), nie proponując przy tym nic w zamian, to nasz czas na odnalezienie się w nowym świecie skurczy się ogromnie. A nigdy nie było go zbyt dużo.

Nie jest oczywiście tak, że między tymi skrajnymi wizjami przyszłości nie ma stanów pośrednich. W końcu polityka jest zawsze nieprzewidywalna, podobnie jak emocje i interesy ludzi, którzy ją prowadzą. Siła państw jest też zawsze względna, a rola przypadku (lub logiki niezamierzonych konsekwencji) stale niedoceniana w opisie dziejów.

Co może zrobić Europa

Jakkolwiek potoczą się sprawy za oceanem, dla Europy „rewolucja trumpowska” pozostanie poważnym ostrzeżeniem.

Nie tylko – i nawet nie przede wszystkim – dlatego, że będziemy teraz (właściwie już jesteśmy) świadkami polityki „dzielenia i rządzenia”, „rozgrywania i przekupywania”. Co najmniej od cza-

Jedność polityczna
głównych stolic kontynentu
musi zostać zachowana.
Inaczej konsensus strategiczny
zostanie narzucony Europie
z zewnątrz.

sów Victorii Nuland, byłej asystentki sekretarza stanu USA, i jej słynnego „Pieprzyć Unię Europejską!” (miała rzucić te słowa w 2013 r., gdy służyła w administracji Baracka Obamy), wiemy przecież, że Europa brukselska nie jest mile widzianym partnerem w Waszyngtonie. Czemu zresztą trudno się dziwić.

Kluczem do obrony swoich pozycji politycznych przez nas, Europę, są trzy rzeczy.

Po pierwsze, zachowanie jedności politycznej głównych stolic. To sprawa niełatwa, ale konsensus strategiczny musi w Europie powstać. Inaczej zostanie jej narzucony z zewnątrz.

Druga rzecz to zwiększenie wydatków na obronę ponad obowiązujące dziś (choć dla wielu tylko w teorii) 2 procent PKB.

Wprawdzie to nie jest tak, że wydatki na wojsko w Europie są panaceum na problemy NATO. Motywy, dla których państwa wstępowały do Sojuszu (i chcą

w nim być), były i są bardziej złożone niż obawy przed Rosją, a kiedyś przed Sowietami. Członkostwo w NATO było przede wszystkim symbolem przynależności do wspólnoty bezpieczeństwa Zachodu. Stąd wśród państw założycielskich była i Portugalia dyktatora Salazara, i demokracje Beneluksu.

Jednak bez daniny pieniądza nie da się dzisiaj ukoić gniewu Waszyngtonu, a tym samym zamknąć tematu, który jest przedmiotem sporów wszystkich administracji amerykańskich – i to właściwie od 1949 r., gdy powstało NATO.

Zwrot ku rozsądkowi

Wreszcie rzecz trzecia, najważniejsza. To mocny zwrot w stronę „europejskiej rewolucji rozsądku”, bez której nie będzie wzrostu gospodarczego, a tym samym spokoju społecznego.

Nie chodzi o to, aby „być jak Trump”, lecz o usłyszenie (a nie tylko słuchanie) głosów wyborców. Tych, którzy oczekują, że ich życie stanie się bardziej przewidywalne, ich bezpieczeństwo na co dzień będzie zagwarantowane, a ich portfele pozwolą na w miarę dostatnie życie – nawet jeśli powrotem do „starych dobrych czasów” nie będzie.

Chciałoby się powiedzieć: tylko tyle i aż tyle dzieli nas od tego, czy wpadniemy w młyny rewolucji Trumpa, czy też będziemy tymi, którzy ją przetrwają – mądrzejsi i wzmocnieni. © OLAF OSICA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński,
Marek Rabij, Piotr Śmiałowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska,
Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik),
Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska,
Anita Piotrowska

Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał,
Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński,
Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran,
Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frolow,
Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Anna Cieślak,
Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron,
Lech Krupa, Iwona Kuciel, Joanna Pelka,
Patrik Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska,
Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyski
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska,
Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz,
Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus,
Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller,
Bartosz Kabala, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieźni,
Piotr Kłotkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewicz, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk,
Józef Majewski, Paweł Marczewski, Rafał Matyja,
Paweł Musiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocur,
Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica,
o. Wacław Osajca, Zbigniew Parafanowicz, Piotr Paziński,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński,
Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek,
Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz,
Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborzka,
Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Plachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET
GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie
technologiczne dla
„Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uzyskaniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny



NOWA PRENUMERATA PROSTO DO MOJEGO DOMU

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA
■ Kwartal – 12 wydań	170 zł
■ NOWOŚĆ Półroczna – 26 wydań	320 zł
■ Rok – 52 wydania	590 zł
■ Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	500 zł
■ 4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	110 zł
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	690 zł
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	600 zł

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

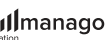
Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrzc w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie zakupu prenumeraty cyfrowej przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Ceny prenumeraty łączonej (prenumerata drukowana i dostęp cyfrowy) nie ulegają zmianie.

Sprawdź pełną ofertę na TygodnikPowszechny.pl/sklep

PARTNER MARKETINGOWY **SALES**  **manago**
marketing automation

„TYGODNIK POWSZECHNY” SUWERENNY DZIĘKI TOBIE

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Imiona Mojżesza*



„A JAK JEGO PRAWDZIWA MAMUSIA GO NAZWAŁA?” – zapytała rezolutna dziewczuszka, słysząc historię o płynącym Nilem koszyku, w którym znajdował się trzymiesięczny Mojżesz. Pamiętamy: córka faraona, po wydobyciu go z rzeki, za namową czuwającej

nad malcem siostry, oddała chłopczyka jego własnej matce do wykarmienia. Kiedy już „wrosło dziecię, i [rodzona matka] przywiodła je do córki Faraona i stał się jej synem, i nazwała imię jego Mosze, mówiąc: »Bo z wody wydobyłam go [hebr. *meszitihi*]«” (Wj 2, 10; Cylkow). Mojżesz całe życie używał właśnie tego imienia – czyżby z wdzięczności do tej, która uratowała mu życie? Kobieta sama powiedziała: „Z dzieci Ibrejskich jest ten!” (wers 6), więc doskonale zdawała sobie sprawę, że bierze pod swe skrzydła skazane przez jej ojca na zagładę maleństwo.

Tekst biblijny nie mówi nam wprost, jakie imię nadała swojemu najmłodszemu dziecku Jochewed, wówczas już matka Miriam i Aarona, możemy więc tylko spekulować. Jeden z midraszy zauważa, że córka faraona pojawia się w genealogii w 1 Krn 4, 18 i uzasadnia etymologicznie występujące w tym werse imiona jej synów, przypisując je wszystkie Mojżeszowi. Ten midrasz wyciągam z czeluści pamięci jako pierwszy, na szczęście jest lepsza – jednoznaczna – odpowiedź dla bystrej dziewczuszki: Tujja. Czyli to samo imię, które nosił główny bohater „Skrzypka na dachu”, aczkolwiek w wymowie hebrajskiej, a nie jidyszowej. Podaję nazwę musicalu, który zapewne jest Państwu lepiej znany niż opowiadania Szolema Alejchema, będące kanwą dla libretta.

Skąd rabin Jehuda syn rabina Ilaja – to właśnie on stawia taką tezę – wie, że właśnie Tujja? Podpiera się wersem: „I poczęła owa niewiasta i urodziła syna; a widząc jak był pięknym [hebr. *tow*], ukrywała go przez trzy miesiące” (Wj 2, 2). Klasyczne imię teoforyczne, a środkowa samogłoska „u” czy też „o” oddawana jest przez tę samą *mater lectionis*. Hebrajskie imię Mojżesza mogłoby zatem brzmieć i Towija, czyli Tobiasz. „Moja matka w ukryciu mnie urodziła. Włożyła mnie do wiklinowego kosza, smołą uczyniła mój otwór wodoszczelnym. Umieściła mnie na rzece” (tł. własne z innego przekładu) – brzmi jak słowa Mojżesza, prawda? Tymczasem to cytat z pseudo-autobiografii Sargona Wielkiego, twórcy imperium akadyjskiego. Ale o tym dziewczuszcze nie powiem, niech jeszcze trochę podrośnie. ©

Małgorzata Kordowicz jest rabinką w warszawskiej Gminie Wyznaniowej Żydowskiej. Hebraistka, opublikowała m.in. polsko-hebrajski modlitewnik dla dzieci.

O. WACŁAW

Oszajca: *I śmieszno, i straszno*



JEZUS: „UKAZAŁ SIĘ KEFASOWI, A POTEM Dwunastu (...), a w końcu ukazał się mnie, ostatniemu ze wszystkich, jakby poronionemu płodowi”, mówi Paweł Apostoł. Ukazać się, objawić, być z kimś nie oznacza zaraz, że ten ktoś stał się widzialny i ła-

two spotkanie z nim jest opisać. Faustyna Kowalska mówi: „Mam spisać zetknięcia się duszy mojej z Tobą, o Boże, w chwilach szczególnych nawiedzeń Twoich (...) Jezu, widzisz, jak mi jest trudno pisać, jak nie umiem jasno tego napisać, co w duszy przeżywam. O Boże, czy może napisać pióro to, w czym nieraz słów nie ma?”. Po czasie okaże się, że sam zapis nie wystarcza, potrzebny jest inny sposób wyrazu, obraz. Z prostego powodu. Johannes Scheffler, czyli Anioł Ślázak, mówi: „Co się o Bogu mówi, to mi nie starcza wcale: / Nad-Boskość jest dopiero życiem mym i światłem”.

Szesnaście wieków przed Johannesem Schefflerem i dwadzieścia przed Faustyną Kowalską Jezus z Nazaretu powiedział: „Bądźcie doskonali, jak doskonały jest wasz Ojciec w niebie”. Ale to przecież jest niemożliwe. Oczywiście, że niemożliwe, ale nie dlatego, że jesteśmy „słabi i grzeszni”. Nasza bezsilność bierze się z naszej potęgi. Johannes Scheffler mówi: „Jak Bóg ja jestem wielki, On mały jest jak ja: / Nie może On nade mną, ja być pod Nim wszak”. Dlatego wciąż jesteśmy tym dzieckiem z legendy o św. Augustynie, które próbuje przenieść morze do dołka wygrzebanego w piasku. Słowem, ważniejsze jest to, czego o Bogu nie wiemy, od tego, co już wiemy. Ważniejsze jest to, w co jeszcze nie wierzymy, od tego, w co wierzymy. Dlatego w Piątej modlitwie eucharystycznej prosimy Boga, żeby odnowił w nas swoje podobieństwo. Zapominając o tym, krzywdzimy Boga.

Za największego wroga religii okrzyknęliśmy ateizm. Tymczasem Leszek Kołakowski twierdzi, że ludzi od Boga najskuteczniej odtrąca Jego śmieszność, a winę za to, że tak jest, ponoszą chrześcijanie. Przypomnijmy sobie, co niby to najpobożniejsi z nas gadali o namaszczonej kapłańskich dłoniach, o tym, że Ciało Pańskie nie zaraża, że to prześladowanie Kościoła, walka z Kościołem, że to wymysł lewactwa itp., a biskupi i prezbiterzy, w trosce o tzw. maluczkich, takie głupoty tolerowali. Teraz okazuje się, że procentowo najbardziej skurczyła się właśnie grupa tych maluczkich. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:

Rozdawajmy otrzymane

*Natura nie pragnęłaby
pokarmu, napoju, ubrania,
mieszkania ani też niczego
innego, gdyby w nich nie
było czegoś z Boga; usiłuje
ona potajemnie szukać
Go w nich, do Niego dąży,
Jego pragnie.*

MISTRZ ECKHART



*Ludzie nasyceni
sobą odczuwają głód
czegoś innego.*

POWIEDZENIE SUFICKIE



„CZY PO TO WNOSI SIĘ światło, by je umieścić pod korcem lub pod łóżkiem? Czy nie po to, żeby je umieścić na świeczniku?

Nie ma bowiem nic ukrytego, co by nie miało wyjść na jaw. Kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha” – mówił do nas Jezus słowami Liturgii minionego tygodnia. I jeszcze: „Baczie na to, czego słuchacie (...). Bo kto ma, temu będzie dodane; a kto nie ma, pozbawią go nawet tego, co ma” (zob. Mk 4, 21-25).

Światło przychodzi do nas jako dar. Nie jest z nas – jest od Boga. Pierwsze zdanie naszej perykopy można przetłumaczyć albo dosłownie: „czy po to wnoszone jest światło...?”, albo tak jak przetłumaczył św. Hieronim w Wulgacie: „Czy po to przychodzi światło... (*numquid venit lucerna?*)”. To znaczy, że Światłem jest tak, że: albo je nam ktoś (Ktoś) przynosi, albo ono samo wkracza w nasze życie. Światło nie jest naszym wytworem. Sami z siebie ani nie dajemy światła, ani – tym bardziej – nie jesteśmy światłem.

Światłem jest Słowo Boga: „Kto ma uszy, niechaj słucha. (...) Uważajcie, czego słuchacie!”.

W darze Światła/Słowa najważniejsze jest odkryć, że nie jest ono przeznaczone jedynie dla mnie – nie jest do ukrycia, nawet jeśli dotarło do mnie w sposób tajemny – nawet jeśli usłyszałem to Słowo „na ucho”:

„nie ma nic ukrytego, co by nie miało wyjść na jaw”. Zalecenie jest totalne! Światłem/Słowem należy się dzielić. Każdym! Wydobywać je „na jaw” – również z ukrycia własnego doświadczenia, nawet najbardziej mistycznego.

Kiedy się dzielę Światłem/Słowem – mogę powiedzieć, że je mam. Skoro poddałem się Jego logice, pozostaje ono we mnie i pomnaża się („będzie mu dodane!”). Pomnaża się tylko Słowo, które jest dzielone z innymi. Nie pomnaża się nigdy Słowo, które bym chciał zatrzymać jedynie dla siebie. Takie Słowo jest nam zabierane: „a kto nie ma, pozbawią go nawet tego, co ma”.

To jest mocne Słowo Jezusowe. Mocna zachęta. Nie jakaś groźba. Raczej objawienie istotnej dyscypliny Słowa – Jego dyscypliny i natury.

Być może, także i to miał na myśli św. Paweł, kiedy stwierdzał: „Biada mi, gdybym nie głosił Ewangelii” (1 Kor 9, 16). Tak. Biada mi, gdyż wtedy „zostanie mi zabrana”. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekołkcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

CZYTANIA LITURGICZNE (9 – 16 II)

5. niedziela zwykła: Iz 6, 1-2a, 3-8; Ps 138;

1 Kor 15, 1-11; Łk 5, 1-11;

Poniedziałek: Rz 1, 1-19; Ps 104; Mk 6, 53-56;

Wtorek: Rdz 1, 20 – 2, 4a; Ps 8; Mk 7, 1-13;

Środa: Rdz 2, 4-9. 15-17; Ps 104; Mk 7, 14-23;

Czwartek: Rdz 2, 18-25; Ps 128; Mk 7, 24-30;

Piątek: Dz 13, 46-49; Ps 117; Mk 10, 1-9;

Sobota: Rdz 3, 9-24; Ps 90; Mk 8, 1-10;

6. niedziela zwykła: Jr 17, 5-8; Ps 1;

1 Kor 15, 12. 16-20; Łk 6, 17. 20-26.

Wybrał PIOTR SIKORA

SAMO ZŁO

Treść raportu ZUS o przyszłości polskich mikroprzedsiębiorców powinna zaalarmować nie tylko ich, ale i całe państwo. Miliony Polek i Polaków czeka na starość skrajna bieda.

MAREK RABIJ

TAJNY RAPORT” – JAK ZDĄŻONO OKRZYKNĄĆ w mediach opracowanie, które Zakład Ubezpieczeń Społecznych zamówił u badaczy zrzeszonych w Polskiej Sieci Ekonomii – raczej nie stanie się zarzewiem poważnej debaty publicznej o przyszłości polskiego systemu emerytalnego. Po oburzeniu, z jakim opinia publiczna przyjęła informację Wirtualnej Polski, że ZUS próbował skryć przed nią treść dokumentu o wiele mówiącym tytule „Dobrowolne ubóstwo”, za chwilę nie będzie śladu. Politycy nie oderwali się z jego powodu od kampanii wyborczej, choć jego treść powinna skłonić część z nich do wytlumaczenia się z takich postulatów jak np. obniżenie składki zdrowotnej dla mikroprzedsiębiorców.

Tezy dokumentu przyjęła ze wzruszeniem ramion także olbrzymia większość samych zainteresowanych, czyli około 2 milionów Polaków prowadzących pozarolniczą jednoosobową działalność gospodarczą – choć z opracowania wynika niezbicie, że większość z nich w jesieni życia dostanie z ZUS głodową emeryturę. Pokolenie dzisiejszych 40- i 50-latków najwyraźniej za naturalny uznaje więc fakt, że pracuje na sukces polskiej gospodarki kosztem własnej starości, podczas której nie odpocznie, tylko będzie musiała szukać prac dorywczych – o ile pozwoli na to stan zdrowia. Jak do tego doszło? To pytanie o wiele ciekawsze od konkluzji wspomnianego raportu.

Żadne to odkrycie, a jedynie uwaga porządkująca dyskurs: samozatrudnienie jest w Polsce podstawowym narzędziem do obniżania kosztów pracy. Pracodawcy powtarzają, że zbyt wysokie pozapłacowe obciążenia związane z etatowymi umowami pracowników dławią przedsiębiorczość i pozbawiają nasze firmy konkurencyjności wobec rywali z krajów, które nie dociskają aż tak swojego biznesu.

Na nic zdają się przeczące tej tezie dane Eurostatu, który szacuje, że udział wspomnianego komponentu w ogólnych kosztach pracy nad Wisłą wyniósł w 2022 roku 18 proc., co dało nam miejsce pośredku stawki, otwieranej przez Rumunię (udział na poziomie 5,3 proc.), a zamykanej niemal *ex aequo* przez Francję (32 proc.) i Szwecję (31,9 proc.). Na nic też uwagi ekonomistów, którzy na podstawie badań pokazują, że konkurencyjność polskich firm nadal wypada dobrze na tle rywali z krajów ościennych, bo składa się na nią, prócz kosztów zatrudnienia, także wykształcenie pracowników, stan infrastruktury oraz jakość instytucji państwowych.

„Życzliwi” eksperci

W kontrze do tych twardych danych czuwa zawsze na posterunku grono publicystów i ekspertów, którzy cyklicznie wmawiają Polakom, że etat to przeżytek, ich państwo zbudowane jest z błota i patyków, a sam ZUS – jako jeden z filarów tego aparatu represji wobec przedsiębiorców – czeka nieuchronne bankructwo. Tę rolę upodobał sobie zwłaszcza Robert



MAREK LASZYK / REPORTER

Pochód pierwszomajowy organizacji związkowych i lewicowych pod hasłem „Nie starcza do pierwszego? Zjedz bogatego”. Kraków, 1 maja 2023 r.

Gwiazdowski z Centrum im. Adama Smitha, który już w 2006 r. przewidywał, że stanie się to „w ciągu najbliższych dziewięciu lat”, a gdy termin spełnienia jego wizji się przedawnił, przesunął datę katastrofy na rok 2030. Z kolei w 2013 r. Związek Przedsiębiorców i Pracodawców wraz z Fundacją Republikańską przedstawił opinii publicznej alarmistyczny raport, z którego wynikało, że ZUS zbankrutuje najpóźniej do 2020 r. Dokument nadal widnieje na stronie Związku; być może doczeka się stosownej korekty.

Autorów tych prognoz łączy nie tylko przywiązanie do wizji państwa, które bardziej przeszkadza, niż pomaga w rozwoju gospodarczym i cywilizacyjnym. Większość z nich półoficjalnie lub otwarcie współpracuje też z wielkim biznesem i organizacjami reprezentującymi pracodawców – a ci nadal mają żywotny interes w podtrzymywaniu wyobrażenia o ZUS-ie



jako studni bez dna. Powód? Polska gospodarka wciąż stoi przede wszystkim relatywnie niskimi kosztami pracy, na które poza pensjami sumują się także składki na ubezpieczenie społeczne i zdrowotne.

W sytuacji, w której bezrobocie w Polsce należy wciąż do najniższych w Europie, i to pracodawcy szukają pracowników, a nie odwrotnie, nie da się oczywiście uniknąć wzrostu płac. W 2023 r. poszły one w całej gospodarce o 9,1 proc. w górę. W ubiegłym, według wstępnych wyliczeń, nastąpił wzrost o kolejnych 11 proc.

Do każdej w pełni „ozusowanej” pensji pracodawca musi jednak dopłacić sporo pieniędzy, których podwładny nigdy nie zobaczy. Zatrudnienie jednej osoby na umowę o pracę z pensją na poziomie 7 tys. zł na rękę oznacza dziś dla firmy łączny wydatek rzędu 12 tys. zł. Gdyby jakimś cudem z polskiego krajobrazu gospodarczego zniknęło samozatrudnienie, czyli w wielu przypadkach etaty przebrane dla niepoznaki w jednoosobowe działalności gospodarcze (JDG), wiele firm zanotowałoby dużo mniejszy zysk i faktycznie od-

czułoby spadek konkurencyjności. Namiwiając pracowników do zamiany etatu na samozatrudnienie, pracodawcy dokonują więc swoistego uwłaszczenia się kosztem przyszłości ludzi, którzy dla nich obecnie pracują.

Fikcja samozatrudnienia

Jaki odsetek polskich JDG stanowią ukryte etaty? Badacze zjawiska fałszywego samozatrudnienia na podstawie Europejskiego Sondażu Warunków Pracy szacują, że w krajach UE na każde sto aktywnych JDG przypada średnio 31 pseudofirm, stworzonych jedynie po to, żeby pracodawca mógł obniżyć koszty wobec państwa, a w efekcie dać wyższą płacę pracownikowi lub powiększyć personel.

Polska jest jednym z liderów w tej niechlubnej kategorii i powiększa przewagę nad krajami, które już wyprzedziła. Jak wynika z danych samego ZUS, w latach 2020-2023 liczba osób zatrudnionych w Polsce na umowę o pracę wzrosła o ledwie 17,9 tysięcy. W tym samym czasie przybyło nam aż 194,5 tys. ludzi zatrud-

nionych na podstawie umowy-zlecenia i 161,9 tys. samozatrudnionych.

Rzecz jasna, nie wszystkie założone wówczas JDG są ukrytymi etatami. Problem w tym, że nie wiadomo, jak je odróżnić. Tuż po pandemii z bałaganem tym próbował sobie poradzić rząd PiS. Jedną ze zmian wprowadzonych w ramach tzw. Polskiego Ładu było odebranie samozatrudnionym przywileju zryczałtowanej składki zdrowotnej, niezależnej od osiągniętych dochodów. Rząd dobrał się w ten sposób do zarobków specjalistów, którzy mogą się nie martwić niską emeryturą, bo inkasują dziesiątki tysięcy złotych miesięcznie, płacąc przy tym na NFZ tyle samo (a czasem i mniej), co panie, które wieczorem odkurzają po nich biuro.

Przy okazji PiS próbował wdrożyć tzw. test przedsiębiorcy, jednak ostatecznie nawet ludzie tak niechętni swobodom obywatelskim jak środowisko Jarosława Kaczyńskiego musieli przyznać, że demokratyczne państwo nie jest w stanie odśiać prawdziwych mikroprzedsiębiorców od pracowników etatowych owiniętych →

→ dla niepoznaki w pozłotko przedsiębiorczości. A tym bardziej nie ma prawa zabraniać porzucania etatu na rzecz samozatrudnienia.

Z badania „Indeks przedsiębiorczości 2019”, przygotowanego na zlecenie firmy doradczej TaxCare, płynie jeszcze jeden smutny wniosek: większość samozatrudnionych z premedytacją ryzykuje własnym bezpieczeństwem socjalnym na emeryturze – dla szybkiej podwyżki tu i teraz. Aż 7 na 10 samozatrudnionych nigdy nie doświadczyło namowy do przejścia na działalność ze strony pracodawcy lub potencjalnego pracodawcy. Z kolei 2 na 10 spotkało się jedynie z taką sugestią, a tylko w 1 na 10 przypadków pracodawca wskazał, że jest to warunek bezwzględny.

W przypadku pracowników etatowych tylko 7 proc. spotkało się z propozycją przejścia na własną działalność, a jedynie 5 proc. zostało postawionych w sytuacji bez wyboru. Badanie nie pokazywało jednak innej możliwości, czyli stawiania przez pracodawcę warunku założenia własnej firmy już na etapie rozmowy kwalifikacyjnej.

Jeśli wyniki badania TaxCare nie zostały spreparowane pod zamówienie zleceniodawcy, to można z nich wyciągnąć wniosek, iż wielu mikroprzedsiębiorców czeka trudna starość – i to na własną prośbę.

Zakład do bicia

W Polsce zbudowano prężne instrumentarium do przekonywania opinii publicznej, że tzw. elastyczne formy zatrudnienia dają pracownikom jedynie korzyści. Dość spojrzeć na konstrukcję pierwszego lepszego internetowego kalkulatora wynagrodzeń, który pozwala szybko porównać, ile więcej zostanie „na rękę” po zamianie etatu na samozatrudnienie, ale nie podsuwa informacji, o ile skurczą się przez to comiesięczne wpłaty na konto ubezpieczonego w ZUS.

W poradnikach dla osób zakładających JDG ze świecą szukać wzmianki, że wymagana składka minimalna to stanowczo za mało, żeby na starość nie klepać

W latach 2020-2023
liczba osób zatrudnionych
w Polsce na umowę o pracę
wzrosła o 17,9 tys.

W tym samym czasie
**przybyło aż 161,9 tys.
samozatrudnionych.**

biedy i że warto, wraz z rozwojem biznesu, dobrowolnie ją podnieść. Łatwiej o prognozy inwestycyjnych guru, którzy przekonują, iż kapitał zamrożony w ZUS to pieniądze wyrzucone w błoto, czyli na pensje dla leniwych urzędników i siedziby przypominające pałace.

Jak jest w rzeczywistości? W 2023 r. koszty operacyjne ZUS wyniosły niemal 5,1 mld zł. Gdyby porównać je do sumy zebranych składek, okaże się, że koszty funkcjonowania pochłonęły zaledwie 1,4 proc. pieniędzy, które podatnicy przekazali Zakładowi. W przypadku większości dużych prywatnych towarzystw ubezpieczeniowych tę samą relację kosztów do wartości składek wyrażają tymczasem liczby dwucyfrowe; rekordzista przeznacz na ten cel aż 27 proc.

Osadzony w roli chłopca do bicia ZUS zachowuje się jednak nadzwyczaj biernie wobec tej narracji. Wyniki ankiety CBOS, która w 2022 r. pokazała, że Zakład plasuje się w czołówce instytucji publicznych, którym Polacy ufają najbardziej (oceniło go tak 49 proc. badanych, aż o 21 punktów proc. więcej niż w podobnej ankiecie z 2015 r.), zamieszczono po prostu na stronie ZUS, choć mogły stać się początkiem kampanii społecznej ukazującej go w korzystniejszym świetle.

Z punktu widzenia interesu publicznego takie działanie byłoby ze wszech miar uzasadnione. Przekonanie o słabości polskiego systemu ubezpieczeń społecznych jest bowiem klasyczną samosprowadzającą się przepowiednią. Im mniej jego uczestników i ich pieniędzy, tym większe

ryzyko, że wypłacane emerytury, zgodnie z wyobrażeniami płatników, nie wystarczą na nic więcej niż wegetację.

Smutna jesień

Przyszłość podopiecznych ZUS faktycznie nie rysuje się w ciepłych barwach i dotyczy to nie tylko samozatrudnionych. Z symulacji przygotowanych przez fundację GRAPE wynika, że po obniżeniu wieku emerytalnego do 60 lat dla kobiet i 65 dla mężczyzn niemal trzy czwarte osób urodzonych w latach 80. będzie mieć na starość emeryturę minimalną. Obecni 40- i 50-latkowie, urodzeni dekadę wcześniej, nie będą w dużo lepszym położeniu, bo średnio sześciu na dziesięciu też wyłąduje na emeryturze minimalnej.

Mało tego, już dziś spośród ponad 9,4 mln polskich emerytów aż 456 tys. dostaje emeryturę poniżej minimalnej, która wynosi niecałe 1781 zł brutto. W dodatku ich liczba dynamicznie rośnie – w ciągu ostatniej dekady przeszło dziewięciokrotnie. Rekordzistce w tej dyscyplinie, mieszkance Biłgoraja, co miesiąc wpływają na konto dwa grosze z ZUS. Ponury ślad po jednym dniu pracy, od którego kiedyś odprowadziła symboliczną składkę.

Tymczasem – jak wynika z ujawnionego właśnie raportu, mniej niż jeden procent samozatrudnionych dobrowolnie wpłaca dziś do ZUS składkę wyższą od wymaganego przepisami minimum! W tej podgrupie wyraźnie dominują młode kobiety, co autorzy badania łączą z planowanym przez nie urlopem macierzyńskim, którego wysokość zależy od wysokości uzbieranych składek. Po powrocie do pracy większość z nich ponownie zacznie rozliczać się z ZUS w oparciu o urzędowe minimum.

W narracji polskich mikroprzedsiębiorców składki na ubezpieczenie społeczne są zawsze zbyt wysokie i często pozbawiają działalność racji bytu. W rzeczywistości przeciętny polski samozatrudniony zarabia o wiele lepiej od statystycznego pracownika etatowego. Autorzy utajnionego przez ZUS raportu, na podstawie analizy dochodów 2400 reprezentatywnych JDG szacują, że „w 2022 r. przeciętny dochód samozatrudnionego stanowiący podstawę obliczenia składki zdrowotnej był większy o ok. 50 proc. od kwoty, od której obliczano składki pracownika”. Jednocześnie relacja ich składki na ZUS

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień
w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Stuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

w stosunku do najniższego wynagrodzenia za pracę w ciągu ostatnich dwóch dekad systematycznie spada. Jeszcze w 2003 r. minimalna danina dla Zakładu była równoważnością 163 proc. ówczesnego minimalnego wynagrodzenia. W 2013 r. ta sama relacja zmniejszyła się już do 139 proc., a w połowie ub. roku stopniała do 109,2 proc. najniższego wynagrodzenia za pracę.

Inwestycja czy relikw?

Preferencyjne traktowanie przez państwo JDG miało uwolnić pokłady przedsiębiorczości skumulowanej w Polakach przez półwiecze gospodarki centralnie sterowanej. Tak się istotnie stało i już kilka lat po reformach Balcerowicza mieliśmy nad Wisłą ponad trzy miliony mikrofirm. 30 lat później trzeba jednak zadać pytanie, czy tak silna preferencja dla tej grupy zawodowej ma wciąż sens.

Zwolennicy taniego państwa odpowiedzą zapewne, że to koszt, który społeczeństwo musi nadal ponosić w procesie modernizacji. Tyle że to nieprawda. Małe i średnie firmy wytwarzają ponad połowę PKB Polski, ale zestawianie podmiotów z tego sektora (czyli firm zatrudniających do 250 osób, z przychodami do 2 mln euro) z JDG trudno nazwać inaczej niż nieporozumieniem.

W rzeczywistości jednoosobowe działalności gospodarcze to relikw czarów raczkującego kapitalizmu lat 90., ulicznych straganów, agencji reklamowych i salonów paznokci otwieranych z dotacji z funduszu do walki z bezrobociem. W świecie wysoko konkurencyjnej gospodarki miejsca na samozatrudnienie będzie coraz mniej. Wśród dwunastu państw UE sklasyfikowanych jako „liderzy innowacyjności” tylko Niemcy i Belgia są dziś państwami, w których odsetek samozatrudnionych przekracza średnią unijną. Pozostałe siedem państw, w których udział JDG w rynku pracy jest wyższy od średniej, w tym Polska, plasuje się w dwóch najniższych kategoriach innowacyjności.

To chyba najlepsza odpowiedź na pytanie, czy powinniśmy nadal kroczyć tą ścieżką.

© P MAREK RABIJ



GRZEGORZ CELEJWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Karol Nawrocki podczas spotkania kibiców na Jasnej Górze. Częstochowa, 11 stycznia 2025 r.

Dzieci dla władzy

ANNA GOLUS

Politycy używają je do ocieplania swoich wizerunków, zwiększania zasięgów i uderzania w przeciwników. Za pełną zgodą rodziców.

JĘŻELI PAN ZOSTANIE PREZYDENTEM, CZY pan nie dopuści lewackiej ideologii do szkół? – zapytał 11-letni Xavier Karola Nawrockiego na spotkaniu, które odbyło się 11 stycznia podczas pielgrzymki kibiców na Jasną Górę. „Nieoczekiwanie pojawił się kandydat na prezydenta za 20 lat” – stwierdził prowadzący spotkanie ksiądz, a zgromadzony w sali o. Augustyna Kordeckiego tłum zaczął skandować: „Raz sierpem, raz młotem czerwona hołota!”. Nawrocki wysłuchał okrzyków z uśmiechem, po czym podziękował Xavierowi za pytanie – będące

według niego „głosem młodych obywateli zaniepokojonych tym, co dzieje się w polskich szkołach” – i zapewnił, że do tego nie dopuści.

Ojciec Xaviera nie chciał z nami rozmawiać, prosząc o wysłanie maila z pytaniami, którego potem zignorował. Nie dowiedzieliśmy się więc, czy chłopiec wystąpił przed agresywnym tłumem z własnej inicjatywy, czy w ogóle wie, co to jest lewacka ideologia, ani czy był świadomy, że zostanie nagrany, a jego upubliczniony wizerunek wywoła kontrowersje. To o tyle ważne, że sam tata 11-latek na stronie swojej szkoły piłkarskiej informuje, iż przez wiele lat pracował jako pedagog (szkolny i specjalny) i że „aktywnie działa na rzecz przeciwdziałania przemocy”.

Możemy jednak przypuszczać, że w jasnogórskim występie tata Xaviera nie widzi nic złego, skoro opublikował nagranie na swoim profilu na Facebooku, a fotografie – również na facebookowym profilu swojego projektu o nazwie „Inicjatywa Patriotyczna PiS Tczew”. Jest on skierowany do „młodych patriotów w wieku 16-30 lat”, ale na FB widnieją głównie zdjęcia inicjatora i jego 11-letniego syna, np. podczas oddawania hołdu śp. Lechowi Kaczyńskiemu pod tablicą pamiątkową.

→

→ Czy 11-latek rozumie, w co zaangażował go własny ojciec? I czy jeśli wyrazi kiedyś sprzeciw, dorośli w ogóle usłyszą jego „nie”?

Nie bać Tuska czy j***ć Tuska?

„Przepaść kulturowa pomiędzy konserwatystami a środowiskiem »ośmiu gwiazdek«” – napisała w serwisie X była ministra edukacji, europosłanka PiS Anna Zalewska, udostępniając fragment filmu z innego wiecu wyborczego Karola Nawrockiego (19 stycznia w Łęborku, gdzie również znajdowały się dzieci, ale o nic nie pytały). Na nagraniu widać uśmiechniętego kandydata na prezydenta i słychać okrzyki, które według jednych brzmią „Nie bać Tuska” (i takie słowa można przeczytać w napisach dodanych do filmu), a według innych – „J...ć Tuska”. Ci pierwsi przypominają tym drugim, że też wznosili przy dzieciach wulgarne okrzyki podczas licznych demonstracji przeciwników PiS. Obie strony wyzywają się od hipokrytów.

Podobne różnice w percepcji u osób znajdujących się po przeciwnych stronach politycznej barykady dotyczą nie tylko zmysłu słuchu, ale również wzroku. Jedni bowiem widzą w wystąpieniu Xaviera ważny głos młodzieży, inni – przeciwnie, uprzedmiotowienie dziecka. Do pierwszej grupy należy posłanka PiS Joanna Lichocka, która udostępniła film ze spotkania na Jasnej Górze, zachęcając do obejrzenia go słowami: „Zobaczcie głośną reakcję pełnej sali kibiców!!!”. Do drugiej – poseł PO Marcin Józefaciuk, który udostępnił ten sam film w serwisie X (nie

zamazując jednak wizerunku chłopca) i skomentował go pytaniem: „Gdzie są rodzice tego dziecka wykorzystanego do robienia polityki? (...) Gdzie są granice kampanii i etyki?”.

Co ciekawe, Lichocka i Józefaciuk zupełnie inaczej widzieli sprawę Sary, rówieśniczki Xaviera, która od lutego do lipca zeszłego roku pracowała jako „dziennikarka sejmowa” i o której zrobiło się głośno, gdy Jarosław Kaczyński odmówił kolejnej rozmowy z nią, stwierdzając, że wolność słowa nie jest dla dzieci. Józefaciuk złożył wówczas do Komisji Etyki Poselskiej wnioski o ukaranie prezesa PiS, ale sam nie widział nic złego w angażowaniu 11-latków w sprawy polityczne przez jej rodziców (o sprawie Sary pisaliśmy w artykule „Perspektywa ojca”, „TP” nr 32/2024). Poseł PO zapewniał nas, iż rozmawiał z dziewczynką oraz jej ojcem, i nie dostrzegł niczego niepokojącego. Lichocka natomiast wyraziła wówczas na Facebooku opinię, że Sara to „dziecko wykorzystywane do walki politycznej”, a „dzieciństwo to nie czas na wpłytywanie najmłodszych w indoktrynację polityczną”.

Przypominałam posłance PiS mailem te słowa, prosząc jednocześnie o opinię, czy według niej Xavier również nie jest dzieckiem wykorzystywanym do walki politycznej – nie otrzymałam odpowiedzi.

– Zwalczające się obozy polityczne wzajemnie się krytykują, ale robią dokładnie to samo, czyli używają dzieci po to, żeby ocieplić swój wizerunek i uderzyć w przeciwników, zupełnie nie myśląc o tym, jakie to może mieć konsekwencje dla tych dzieci. Wykorzystywanie ich w ten

sposób jest formą przemocy i świadczy o braku odpowiedzialności – mówi Aleksandra Rodzewicz, pedagogka z Instytutu Badań Edukacyjnych, która od lat apeluje o ochronę wizerunku dzieci w internecie.

Bo nie było PESEL-u

„Gdyby pan marszałek Sejmu wygrał wybory, to aduptyzm by się skończył?” – pytała Sara polityków Polski 2050 podczas grudniowej konwencji, inaugurującej kampanię prezydencką Szymona Hołowni. Dziewczynka nie pracuje już w Sejmie jako dziennikarka (w sierpniu, po naszym tekście, Kancelaria Sejmu postanowiła nie wydawać więcej kart prasowych dzieciom), ale jej rodzice nadal, tyle że w innych miejscach, nagrywają jej rozmowy – z politykami, prawnikami, a ostatnio z przedstawicielami gmin żydowskiej i muzułmańskiej w Gdańsku. Wciąż publikują też na kanałach „Perspektywa Sary” w mediach społecznościowych (z których ona sama nie korzysta i – jak zapewniali mnie w lipcu jej rodzice – nie będzie korzystać do 16. roku życia) oraz w serwisie iboma.media (który dał dziecku legitymację prasową) filmy nagrane między lutym a lipcem 2024 r. w parlamencie. Niekiedy też zamieszczają w opisach nieprawdziwą informację, że Sara wróciła do Sejmu.

Jedną z osób, które w to uwierzyły, jest Jarosław Pytlak, dyrektor Zespołu Szkół STO w Warszawie. W listopadzie – po obejrzeniu nagrania, na którym Antoni Macierewicz odpowiada na pytanie Sary o trzy pozytywne cechy Donalda Tuska i Jarosława Kaczyńskiego – wzburzony za-

Nasza pomoc dla walczącej Ukrainy

Trafity do ukraińskich obrońców, w tym także do kilkunastu szpitali polowych oraz do wojskowych służb medycznych wzdłuż całego frontu: od obwodu sumskiego przez Charków, Donbas i Zaporże po obwód chersoński – agregaty prądotwórcze, stacje zasilania i materiały medyczne podarowane przez czytelniki i czytelniczki „Tygodnika”, które zawieźliśmy w grudniu na Ukrainę. Łącznie były to trzy tony pomocy. W tym jeden potężny agregat o mocy 85 kVA, który dziś służy w obronie przeciwniczej we wschodniej Ukrainie (relacja o naszej akcji: powszech.net/pomoc-dla-ukrainy).

„Dziękujemy, że jesteście z nami” – to zdanie powtarzało się w rozmowach. Wraz z prośbą, aby to podziękowanie przekazać dalej. „Dziękujemy za Wasze braterstwo” – napisał starszy sanitariusz z frontu chersońskiego (jego szpital polowy otrzymał agregat). Wojna trwa, Ukraina broni się nadal – trwa więc także nasza akcja.

Zbiórkę prowadzi współpracujące z nami Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka, a „Tygodnik” jej patronuje.

Numery kont:

– w złotych:

20 1090 2590 0000 0001 5044 0623

– w euro:

64 1090 2590 0000 0001 5044 0898

Odbiorca:

Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka.

<https://inicjatywawasiedzka.org>

Dziękujemy!

„Tygodnik Powszechny”

i Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka

apelował na swoim blogu do premiera, by „położył kres obecności małoletniej dziennikarki wśród sejmowych polityków”.

To jednak są filmy archiwalne, a Sara ostatni raz była w Sejmie (razem z ojcem) 12 lipca 2024 r. Cóż z tego, skoro na grudniowej konwencji Hołowni w Gdańsku pojawiła się znowu jako oficjalnie akredytowana dziennikarka. Na opublikowanym przez jej rodziców filmie z tego wydarzenia znajdują się rozmowy z pięcioma posłami Polski 2050. Jeden z nich, wiceminister cyfryzacji Michał Gramatyka, w połowie pytania o adułyzm przerwał dziewczynce, mówiąc: „Marszałek wygra wybory. Musisz zapytać tak: »Kiedy marszałek wygra wybory, to...?«”. Sara powtórzyła jego słowa, wyjaśniła, że adułyzm to dyskryminacja młodzieży, i przypomniała, że przez kilka miesięcy przychodziła do parlamentu jako dziennikarka, po czym Hołownia jej tego zakazała. „Nie widzę żadnego adułyizmu. Gdyby taki był, to by cię tu nie było, prawda?” – odpowiedział poseł.

Na pytanie o akredytację Sary biuro prasowe Polski 2050 odpisało nam: „Zgłoszenie przez redaktora naczelnego »Redakcji Iboma« nie zawierało danych osobowych umożliwiających weryfikację wieku zgłaszanych osób (nie było numerów PESEL). Jako dziennikarze są oczywiście traktowane wyłącznie osoby pełnoletnie (bo tylko takie mają pełną zdolność do czynności prawnych) – gdyby w korespondencji było zaznaczone, że wnioskodawca jest niepełnoletni, akredytacja nie zostałaby udzielona”.

Bezprawna cenzura?

„W ocenie prawników Fundacji LEX NOSTRA Sara Małecka-Trzaskoś mimo młodego wieku jest Dziennikarką, a Marszałek Sejmu Szymon Hołownia – rękoma pracowników Kancelarii Sejmu – w istocie rzeczy knebluje usta dziennikarzom najmłodszego pokolenia. To, co formalnie robią najbliżsi współpracownicy Marszałka Szymona Hołowni to nic innego jak bezprawna cenzura” – napisała prezeska fundacji Lex Nostra Janina Lisowska, informując na stronie internetowej, że organizacja reprezentuje Sarę i jej rodziców przed Wojewódzkim Sądem Administracyjnym w Warszawie.

Pod koniec sierpnia, kiedy Kancelaria Sejmu odmówiła wydania dziewczynce karty prasowej, ojciec Sary złożył skargę.

Posłanka Lichocka z PiS uznała obecność 11-letniej Sary w Sejmie za wykorzystanie dziecka do walki politycznej, ale występ **Xaviera** na Jasnej Górze przyjął entuzjastycznie.

W listopadzie sąd ją odrzucił, ale reprezentowany przez prawnika z Lex Nostra ojciec dziewczynki złożył zażalenie, w którym najwięcej miejsca poświęcono faktowi, że zaskarżane postanowienie WSA zostało wydane przez neosędziego. Fundacja przedstawiła też sądowi opinię, wedle której „działanie Marszałka Sejmu Szymona Hołowni ma charakter dyskryminujący Skarżącą z uwagi na wiek oraz płeć. Marszałek (...) odmawiając Skarżącej dalszego jej uczestnictwa w relacjonowaniu posiedzeń Sejmu wykazuje brak empatii wobec kobiet. Ten brak empatii może w przyszłości skutkować urazem psychicznym, na dziś 11-letniej, dziewczyny”.

Premier wiernym słuchaczem

Sara, która przebywała w Sejmie jako 10-letnie dziecko, nie relacjonowała jednak posiedzeń parlamentu. Zadawała inne pytania, w rodzaju: „Co to jest manipulacja i czym się różni od propagandy?”. Posłów z Trójmiasta pytała o wspólny bilet metropolitalny, a jeden z nich – były prezydent Sopotu Jacek Karnowski – w listopadzie udostępnił rozmowę z Sarą na swoim Facebooku.

Jego film nie cieszy się jednak zbyt dużą popularnością; został odtworzony niespełna tysiąc razy. Znacznie więcej korzyści przyniosła dorosłym po obu stronach kamery rozmowa dziewczynki z Grzegorzem Braunem (czy raczej jego monolog wygłoszony w odpowiedzi na pytanie o manipulację i propagandę). Opublikowane w czerwcu nagranie ma dziś ponad 650 tys. odtworzeń na Facebooku Brauna i ponad milion na TikTok-owym koncie projektu „Perspektywa Sary”.

Braun – a także Lech Wałęsa, Donald Tusk i prezydentka Gdańska Aleksandra

Dulkiewicz – byli pytani przez Sarę (poza Sejmem) o odmowę wydania jej akredytacji do parlamentu. Braun powiedział, że „nie przejmowałby się niczym innym poza tym, czy prawa rodzicielskie są respektowane”. Na pytanie do Wałęsy: „Co ma pan do powiedzenia marszałkowi Hołowni, który ograniczył mi wolność słowa?”, były prezydent odrzekł, że jest zaskoczony, bo myślał, że „on jest bardziej wolnościowy”. I że „jak się samemu z wolności korzysta, nie należy zabraniać nikomu innemu”.

Tuska i Dulkiewicz zapytała: „czy dobrym pomysłem na zainteresowanie młodych polityką jest wyrzucenie najmłodszego dziennikarki, czyli mnie, z Sejmu z powodu wieku?”. Premier odrzekł, iż nie rozpoznał tej sprawy, nie jest odpowiedzialny za Sejm i że Sara ma w nim „wiernego słuchacza i widza”. Dulkiewicz natomiast powiedziała, że bardzo by chciała, aby Sara była w Sejmie codziennie, i udostępniła w serwisie X zdjęcie ukazujące ją w towarzystwie 11-latkę z legitymacją prasową na szyi i mikrofonem w ręku. „Wolność słowa jest dla dzieci! Dzięki za fantastyczną rozmowę Sara” – napisała prezydentka Gdańska.

Z oficjalnego portalu miasta usunięto jednak artykuł o najmłodszym dziennikarce sejmowej, która chce zostać posłanką. „Tekst ukazał się pod koniec marca 2024 r., po tym, jak do naszej redakcji zgłosił się tata Sary. Uznaliśmy to za ciekawostkę, o której warto napisać. Kolejne miesiące przyniosły jednak rosnące wątpliwości, czy cała sytuacja służy Sarze – stąd decyzja o ukryciu tekstu” – wyjaśnia Roman Daszczyński, redaktor naczelny gdansk.pl.

Kawał roboty

„Mam na imię Pola, mam 9 lat i chodzę do trzeciej klasy. Czy po 15 października będę żyła w bezpiecznym i szczęśliwym kraju?” – zapytała Donalda Tuska zestresowana dziewczynka podczas spotkania w Koninie przed wyborami w 2023 r. Tusk podszedł do płaczącej Poli, pocałował ją w głowę i zapewnił, że zrobi wszystko, by i ona, i jego wnuki żyli szczęśliwie. Następnie zwrócił się do tłumu: „Wiecie, ona bardziej przekona wątpliwości niż moje dwie godziny gadania. Zrobiłaś kawał, kawał wielkiej roboty”.

© ANNA GOLUS



RAFAŁ GUZ / PAP

Były minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro w studiu Telewizji Republika w Warszawie. 31 stycznia 2025 r.

Pegasus bez skrzydeł

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Za sprawą sejmowej komisji śledczej nie dowiedzieliśmy się wiele więcej o inwigilacji, jakiej poddawano polityków i prawników za rządów PiS. Skalę kompromitacji komisji podkreślił groteskowy spektakl wokół Zbigniewa Ziobry.

BYŁY MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI ZOSTAŁ namierzony przez policję w siedzibie TV Republika, a potem dowieziony do Sejmu na posiedzenie komisji śledczej ds. Pegasus. Ta jednak zamknęła obrady chwilę wcześniej z powodu „spóźnienia świadka”, składając zarazem wniosek o areszt dla Ziobry. On sam zaś, uwolniony przez patrol, mógł brylować na korytarzach sejmowych, udzielając wywiadów i sugerując, że nowa władza się go przestraszyła.

Czy warto było tworzyć komisję, by główny oskarżony o bezprawne inwigilowanie ludzi niechętnych poprzedniej władzy urządził sobie darmowy spektakl autopromocji?

Program Pegasus, którego zastosowanie w Polsce bada komisja, to w zasadzie

instrument-marzenie dla policji i tajnych służb na całym świecie, rodzaj „czapki-niewidki”. Izraelska firma NSO Group stworzyła go głównie do walki z terroryzmem i zorganizowaną przestępczością. Z jego pomocą można infekować smartfony, podsłuchiwać prowadzone rozmowy, uruchamiać kamerę i głośnik, a także uzyskać dostęp do wrażliwych danych z kodowanych komunikatorów, e-maili, zdjęć czy nagrań wideo. Na dodatek ingerencje te pozostawiają wyjątkowo mało śladów.

Narzędzie niszczenia opozycji

Właśnie ta ostatnia okoliczność mogła być kusząca dla rządzących Polską przez 8 lat polityków PiS, mających obsesję na punkcie demaskowania rzeczywistych

i urojonych knoń politycznych przeciwników. Za pomocą Pegasusu chciano kompromitować polityków konkurencji, tym samym zapewniając długotrwałe rządy partii Jarosława Kaczyńskiego.

Wiele wskazuje na to, że decyzja o zakupie programu zapadła podczas spotkania premier Beaty Szydło z premierem Izraela Benjaminem Netanjahu na szczycie Grupy Wyszehradzkiej w Budapeszcie w 2017 r. Sprawę załatwiono w tajemnicy, jednak dwa lata później wybuchła ogólnoswiatowa afera. Amnesty International nagłośniła sprawę nadużywania Pegasusu w różnych państwach, a szefowie koncernów technologicznych, których systemy łamano, wystąpili na drogę prawną przeciwko jego twórcom.

W tym samym czasie portal TVN24 ujawnił, że CBA również używa od dwóch lat Pegasusu, jednak szefowie polskich służb i członkowie rządu kategorycznie temu zaprzeczali. Dopiero gdy pod koniec 2021 r. grupa badaczy z Citizen Lab, działająca przy Uniwersytecie w Toronto, wskazała konkretne osoby inwigilowane w naszym kraju, a jego zakup potwierdzili kontrolerzy NIK, Jarosław Kaczyński potwierdził fakt używania tego programu – ale tylko do walki z przestępczością.

Tymczasem według Citizen Lab szpiegowane przy pomocy Pegasusu miały

być też osoby z różnych powodów niewygodne dla PiS: polityk PO Krzysztof Brejza, ale także prokurator Ewa Wrzosek i mecenas Roman Giertych. Przypadek Brejzy został najlepiej udokumentowany. Jego dwa telefony miały być inwigilowane między kwietniem i październikiem 2019 r., gdy pełnił funkcję szefa sztabu Koalicji Obywatelskiej w wyborach parlamentarnych. CBA penetrowało aparaty Brejzy 33 razy, dzięki czemu TVP mogła go oczerniać w trakcie kampanii wyborczej w 2019 r. Robiła to za pomocą wykradzonych z telefonu, a następnie zmanipulowanych SMS-ów.

Mechanizm inwigilacji Brejzy opisał w książce „Polska na podsłuchu” Michał Kokot. Z jego śledztwa wynika, że ówczesnego posła PO wmanewrowano wraz z ojcem, prezydentem Inowrocławia Ryszardem Brejzą, w aferę z fałszywymi fakturami w tamtejszym ratuszu. Obwiniona o to urzędniczka została nakłonią do obciążenia również Brejzów, i to właśnie dało formalną podstawę do uruchomienia wobec szefa sztabu KO programu Pegasus.

Z pieniędzy dla ofiar

Doniesienia o tych nadużyciach spowodowały, że strona izraelska unieważniła w 2021 r. polską licencję. Z kolei w styczniu 2022 r. raport NIK ujawnił, że Pegasus, którego licencja obejmowała prawo do równoczesnego podsłuchiwanie 40 numerów, został zakupiony w dwóch trzecich ze środków Funduszu Sprawiedliwości, założonego pierwotnie po to, by nieść pomoc ofiarom przestępstw i pomagać byłym więźniom wracać na łono społeczeństwa. CBA otrzymało z niego aż 25 mln złotych (samo dołożyło 8 mln), mimo że było to niezgodne z prawem, gdyż takich zakupów można dokonywać jedynie z budżetu. Ponadto program kupiono poprzez pośrednika – firmę Matic, należącą do dawnych funkcjonariuszy SB.

W styczniu 2022 r. powstała w Senacie (większość miała w nim ówczesna opozycja) nadzwyczajna komisja do badania inwigilacji Pegasusem. Choć nie miała uprawnień śledczych, a szefowie służb z PiS odmawiali stawania przed nią, w raporcie przyjętym we wrześniu 2023 r. uznano, że zakup Pegasusu był nielegalny. Zdaniem senatorów polskie prawo nie pozwalało na taką formę inwigilacji, a przy transakcji złamano m.in. ustawę

o CBA i przepisy o finansach publicznych. Komisja zawiadomiła prokuraturę o możliwości popełnienia przestępstwa, m.in. przez wiceministra sprawiedliwości Michała Wosia, szefa CBA (do 2020 r.) Ernesta Bejdę, ministra spraw wewnętrznych Mariusza Kamińskiego oraz prokuratora krajowego Bogdana Świączkowskiego (wtedy już sędziego TK).

Po wyborach 15 października 2023 r. i zmianie władzy w Sejmie powstała komisja śledcza, która miała zbadać legalność zakupu i celowości wykorzystywania Pegasusu oraz ustalić, kto był bezpośrednio odpowiedzialny za transakcję.

Komisja działa już rok, a w sejmowych kuluarach, także od posłów partii rządzących, można coraz częściej usłyszeć, że jej ustalenia są mniej niż skromne. Niedawno „Rzeczpospolita” ujawniła, że koalicja rozważa zakończenie prac w połowie roku, bo komisja kosztuje 200 tys. złotych miesięcznie, a efekty są niewielkie. Także dlatego, że posłowie napotykają na liczne przeszkody. Problemy są głównie z CBA, gdzie cały czas pracują funkcjonariusze rzekomo lojalni wobec poprzedników i niechętnie wydający dokumenty. Mimo to Marcin Bosacki z KO, który był przewodniczącym komisji senackiej i jest wiceszefem obecnej komisji w Sejmie, uważa, że dzięki uprawnieniom śledczym udało się ustalić sporo faktów, m.in. to, że w latach 2017–22 złożono wnioski o kontrolę operacyjną aż 578 osób.

PiS ignoruje posłów

Istotnym problemem w działalności komisji jest ignorowanie jej przez przedstawicieli PiS, powołujących się na orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego (którego legalność kwestionuje większość prawników) z 10 września 2024 r., uznające komisję za niekonstytucyjną. Po tym orzeczeniu delegaci PiS zrezygnowali z udziału w jej pracach, a świadkowie, byli szefowie CBA i były minister Ziobro, przestali reagować na wezwania.

Komisja w ostatni piątek odpowiedziała nerwowo, zamykając obrady i składając wniosek o 30-dniowy areszt dla Ziobry, mimo że w tym samym czasie był on już w budynku Sejmu w asyście policji. Na sali obrad czekał tylko Przemysław Wipler z Konfederacji (którego dotychczasowe wypowiedzi wcale nie plasują go w gronie zwolenników Ziobry), dzięki czemu były minister mógł odgrywać rolę

szeryfa, z którym boją się skonfrontować nawet dzierżący dziś władzę politycy.

Zanim wnioskiem o areszt zajmie się sąd, będzie musiał ustosunkować się do niego także Sejm, bo posła chroni immunitet. To niepotrzebne komplikowanie i tak już przydługiego spektaklu krytykuje wielu komentatorów i polityków. – Można było poczekać te 30 minut i rozpocząć przesłuchanie Ziobry, nie składając wniosku o areszt – komentowała obecna w piątek w Sejmie wicemarszałkini Senatu i kandydatka lewicy na prezydenta Magdalena Biejat. Podobne zdanie ma Wipler, uważający tak gwałtowne zakończenie obrad za ogromny błąd.

Szansą dla komisji ma być zapowiadane odtajnienie nowych dokumentów. Trwa to długo, a członkowie komisji skarżą się na „spychologię”, jaką w tej sprawie stosują służby (w których wciąż pracują ludzie powołani w epoce PiS) i prokuratura, wzajemnie wskazując na siebie jako na podmiot odpowiedzialny za odtajnienie akt. – Te dokumenty po zdjęciu klauzuli tajności mogą wielu pogrążyć – przyznaje jeden z członków komisji.

Być może chodzi o raport Służby Kontrwywiadu Wojskowego, wedle którego informacje pozyskane przez Pegasusu mogły trafiać do izraelskich służb. Mimo to SKW kupiła od CBA prawo do używania programu za 11 mln złotych, a podobnie zrobiła też ABW i policja – ponoć na wyrażone polecenie koordynatora służb specjalnych Mariusza Kamińskiego.

Członkowie komisji zaprzeczają dziś, jakoby miała ona szybko zakończyć pracę. – Efekty nie są spektakularne, ale nie powinniśmy się poddawać – przekonuje członek komisji Patryk Jaskulski z KO. Usprawnieniem prac ma być szykowana nowelizacja ustawy o komisji śledczej, zwiększająca jej uprawnienia. Ale wejdzie w życie tylko wówczas, gdy w Pałacu Prezydenckim pojawi się prezydent niezwiązany z PiS. ©



**DZIENNIKARZE I AUTORZY
„TYGODNIKA”** co tydzień
są gośćmi Roberta Łuchniaka

w Polskim Radiu RDC.

Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

Płock 101,9 FM

Konsument w sieci

JERZY DZIEKOŃSKI

Zima to czas poświęcanych promocji – i żniwa dla cyberoszustów. Ich możliwości techniczne rosną, a wiedza kupujących pozostaje – mimo licznych kampanii – na niskim poziomie.

PATRYK CHCIAŁ KUPIĆ BILETY NA koncert zespołu Lebanon Hanover, który już dawno został wyprzedany. Dołączył do facebookowej grupy „Bilety – Kupię, Sprzedam, Oddam, Zamienię” i zamieścił ogłoszenie. – W ciągu kilku minut odezwały się trzy osoby. Miałem im zapłacić blikiem, a bilety dostać mailem. Zauważyłem jednak, że profile, z których wysłano oferty, zostały założone ledwie kilka miesięcy wcześniej, miały ukryte informacje o znajomych i nie posiadały zdjęć. Kiedy zaproponowałem odwołanie kolejności: najpierw bilety i sprawdzenie ich legalności, a następnie płatność, kontakt się urywał. To był typowy scam, czyli oszustwo.

Michał Wnękowicz, ekspert Cyber-Akademii BGK prowadzący szkolenia z bezpieczeństwa w sieci, uważa, że kupowanie produktów z pominięciem sklepów internetowych może być bardzo ryzykowne. Podobnie jest z indywidualną sprzedażą, jeśli godzimy się na przekazanie towaru i płatność dopiero po jego odbiorze.

– Najlepszym rozwiązaniem jest wysyłka za pobraniem, a gdy nie ma zgody na taką formę płatności, może to wskazywać na próbę oszustwa. Jeśli już musimy dokonać zakupu poprzez media społecznościowe, powinniśmy zweryfikować profil sprzedającego. Kluczowe znaczenie ma jego dotychczasowa aktywność, jeżeli może się on wykazać pozytywnymi opiniami, prawdopodobieństwo oszustwa ulega znaczącej redukcji – tłumaczy Wnękowicz.

Sklepy polskie, sklepy chińskie

Opisane wyżej praktyki należą do tych najmniej wyrafinowanych. Znacznie bardziej rozbudowane są działania fałszywych sklepów internetowych. Na takich witrynach konsumenci mogą znaleźć wysokiej jakości produkty w bardzo

przystępnych cenach. Kiedy dochodzi do transakcji, towar nie jest jednak wysyłany, a nawet jeśli, jego jakość znacznie odbiega od opisu. Wystarczy spojrzeć na komentarze dotyczące jednego ze sklepów oferujących dresy: „Firma nie zwraca pieniędzy za zwrócone zamówienie. Nie czyta wysyłanych maili, a jeśli dostaje się odpowiedź, to automatyczną i od razu wiadać, że wysłana została gotowa formuła. Nie polecam” – napisała pani Julia.

W innej opinii czytamy: „Pierwszy raz wystawiam negatywny komentarz. Zamówienie złożone w połowie października, towar otrzymałam na początku grudnia. Zamówiłam dres w pięknym głębokim brązowym kolorze – otrzymałam kawowy. Wyglądało to na poliestr albo poliestr z domieszką bawełny. Dziś wyprałam dres – zrobiła się szmatka. Powinna go zwrócić, ale czytając negatywne opinie o długim oczekiwaniu na zwrot pieniędzy lub w ogóle ich brak – stwierdziłam, że dres zostawię – będzie do prac porządkowych”.

Można wymienić kilka sygnałów, które podczas zakupów w sklepach internetowych powinny wzbudzić naszą czujność. To np. liczne negatywne lub skrajnie różne opinie, albo kiepska jakość strony w sieci. Sposobem na jej weryfikację może być sprawdzenie autentyczności produktów poprzez wykorzystanie funkcji wyszukiwania za pomocą obrazu. – Pozwala to na identyfikację oryginalnego źródła zdjęć. Często nierzetelne sklepy wykorzystują fotografie oraz grafiki pochodzące z platform hurtowych w Chinach – tłumaczy Wnękowicz.

Podejrzane mogą być również ograniczone formy płatności. Akceptacja wyłącznie transakcji kartą może wskazywać na fałszywą witrynę, której celem jest wyłudzenie danych płatniczych. Należy też zweryfikować metody kontaktu ze sprzedawcą oraz politykę zwrotów. Jeśli jest

ona niejasna, sklep nie ma fizycznego adresu, numeru telefonu lub ogranicza komunikację do formularza kontaktowego czy maila, powinno nas to zaniepokoić.

– Niestety, klientów takich sklepów nie chronią przepisy polskiego i unijnego prawa konsumenckiego. Dlatego ważne jest, aby przed zakupem sprawdzić w regulaminie, kto tak naprawdę jest sprzedawcą i za co odpowiada sklep. Jeśli jest spoza Unii Europejskiej, musimy być świadomi, że możemy mieć problem z wyegzekwowaniem praw związanych m.in. z reklamacją – informuje Andrzej Janyszko z Departamentu Komunikacji UOKiK, gdzie trafiają skargi na opóźnienie lub brak dostawy zamówionego towaru, nierealizowanie prawa do odstąpienia od umowy, brak odpowiedzi na reklamacje oraz wysyłanie produktów złej jakości. – Tego typu sygnały nasiliły się w ostatnich miesiącach. Duża część z nich dotyczy sklepów „udających” polskie – dodaje Janyszko.

Pułapki na parkomatach

Zasadzki zastawiane przez oszustów czyhają nie tylko w witrynach sklepów internetowych czy w grupach sprzedażowych mediów społecznościowych, ale są też przesyłane za pomocą maili, esemesów, a nawet... parkomatów.

– Przystępcy umieszczają na nich specjalne kody QR, które kierują użytkowników do spreparowanych serwisów płatniczych. System w przypadku takich oszustw jest przemyślany: najpierw wymaga wprowadzenia numeru rejestracyjnego pojazdu, co ma uwiarygodnić transakcję. Końcowym etapem jest pozyskanie danych karty płatniczej, co z kolei umożliwia przestępcom dostęp do pieniędzy ofiary – tłumaczy Michał Wnękowicz dodając, że inna wariacja tego oszustwa to wkładane za wycieraczki fałszywe mandaty z kodami QR. Dalszy sposób działania jest identyczny jak w przypadku parkomatów.

Kolejnym stosowanym przez przestępców sposobem (od czasów pandemii) jest rozsyłanie esemesów z informacją o niezbędnej dopłacie do paczki. Często ma to być zaledwie kilka złotych, ale gdy klikniemy w załączony link, po czym podamy dane niezbędne do płatności – damy oszustom złoty klucz do naszego konta. Przystępcy wykazują się przy tym ogromną pomysłowością, podając np. nu-



FIZKES / SHUTTERSTOCK

mer telefonu rzeczywistej firmy kurierskiej.

Dla zapobiegnięcia kradzieży danych z karty bankowej stosuje się obecnie model kilkusetapowego uwierzytelniania transakcji, z potwierdzeniem zakupu metodą 3-D Secure. Jej stosowanie nie jest jednak standardem – wiele witryn internetowych nie wymaga uwierzytelniania poprzez kod przesłany esemesem czy potwierdzenie w aplikacji. I tę lukę wykorzystują przestępcy.

Bogna Niklasiewicz, dyrektorka działu Trust&Safety w Allegro, przestrzega, że taki model działania wykorzystywany jest najczęściej w okresie wzmożonych zakupów, np. przed świętami lub w czasie nasilonych promocji. – Przestępcy zakładają, że właśnie wtedy kupujący mogą mieć obniżoną czujność, więc wysyłają im wiadomości, w których pojawia się informacja o niedoręczonej przesyłce, wraz z wyjaśnieniem przyczyny. To np. problemy techniczne, rzekomy błąd w adresie lub konieczność uiszczenia dodatkowej opłaty. Nawet jeśli jest to niska kwota, pamiętajmy, że treść wiadomości ma skłonić odbiorcę do kliknięcia w link, który prowadzi do strony wyłudzaającej dane dostępne do bankowości internetowej lub do płatności kartą. Jak w każdym innym phishingu, zalecam dokładną weryfikację adresu, do którego kieruje link. Jeśli mamy jakiegokolwiek wątpliwości, najlepiej od razu zrezygnować – radzi Niklasiewicz.

Warto również zwracać uwagę na maile z linkami do zapłaty; często imitują adresy np. operatorów sieci komór-

kowych albo firm sprzedających prąd. – W obiegu pojawiają się wiadomości informujące o niewielkim zadłużeniu, wraz z ostrzeżeniem o potencjalnym wstrzymaniu dostaw energii – opowiada Wnękowicz, dodając, że wśród ofiar procederu są m.in. sprzedawcy przedmiotów w serwisach aukcyjnych. Zdarza się, że otrzymują oni esemesa, w którym znajduje się informacja, iż wystawiony przedmiot został kupiony, ale żeby odebrać płatność, należy kliknąć w link albo zeskanować kod QR przekierowujący do fałszywego serwisu płatniczego.

AI w rękach oszusta

Przy wyłudzaniu pieniędzy stosowane są niejednokrotnie najnowsze zdobycze technologii. Coraz częstsze są m.in. cyberataki skierowane do rodziców. Przestępcy, podszywając się pod dzieci, proszą o pilne wsparcie finansowe: nie tylko za pomocą wiadomości tekstowych, ale i przy użyciu sztucznej inteligencji – umożliwiała ona precyzyjne klonowanie głosu.

– Warto pamiętać, że oszuści mogą wymagać od nas dodatkowych danych, których nigdy nie należy podawać, jak kod PIN, login i hasło do konta w banku, numer PESEL. Jeśli będziemy nieostrożni, nie tylko nie otrzymamy towaru, ale jeszcze ryzykujemy utratą dużych środków finansowych – ostrzega Niklasiewicz. – Korzystajmy więc ze sklepów, które oferują transfer pieniędzy poprzez certyfikowanych operatorów płatności, jak PayU, P24 czy PayPal. W takim przypadku transakcje chronione są za pomocą za-

awansowanego szyfrowania i obsługiwane przez autoryzowane systemy płatności, co znacznie ogranicza ryzyko, że zostaną przechwycone.

Warto również upewnić się, czy połączenie sieciowe, z którego korzystamy, jest szyfrowane. Wtedy przy adresie strony widnieje tzw. kłódka, która informuje o bezpiecznym połączeniu. Jeśli wybieramy płatność kartą i z jakiegoś powodu transakcja się nie powiedzie, ale pieniądze zostaną pobrane z konta, powinniśmy taką sytuację zgłosić natychmiast w swoim banku i skorzystać z procedury zwrotu środków, czyli tzw. *chargeback*. Nie należy też używać opcji zapamiętywania danych z karty w przypadku sklepów, w których robimy zakupy pierwszy raz.

CERT Polska, czyli państwowy zespół reagujący na zdarzenia naruszające bezpieczeństwo w internecie, szczególnie przestrzega przed reklamami pozornie intratnych inwestycji, wyświetlanymi w sieci (np. poprzez Google) oraz w serwisach społecznościowych. Za ich pośrednictwem dystrybuowane są linki do oszukańczych stron internetowych, posty zaś starają się zachęcać użytkowników do kliknięcia, kusząc sensacyjnymi i krzykliwymi nagłówkami. A czasem wręcz podszywając się pod znane portale informacyjne. Aby podbić zainteresowanie, oszuści wykorzystują wizerunki znanych polityków, przedsiębiorców, celebrytów etc.

Kliknięcie w wyświetlany link prowadzi do strony z informacjami o wyjątkowej inwestycji oraz do formularza kontaktowego. Po jego wypełnieniu na nasz numer telefonu oddzwania podstawiony „konsultant”, który nakłania użytkownika do podpisania umowy, zarejestrowania konta na fałszywej platformie i przelewu środków. Ale to nie koniec. Najbardziej nieostrożni użytkownicy godzą się na zainstalowanie (rzekomo dla sprawniejszej „obsługi” klienta) oprogramowania pozwalającego na zdalny dostęp do komputera. W ten sposób przestępcy mogą nie tylko ukraść pieniądze, ale też zaciągnąć pożyczkę na konto ofiary i posłużyć się jej wizerunkiem do kolejnych oszustw.

Analitycy CERT Polska każdego dnia blokują niemal 250 domen. W ciągu całego ubiegłego roku było to w sumie ponad 80 tys. stron, w tym aż 32 tys. fałszywych domen inwestycyjnych. ©

GRA O ZDROWIE

Gier wideo używa się nie tylko w ćwiczeniach pamięci, koordynacji ruchowej i refleksu, ale też przy terapii syndromu stresu pourazowego, depresji i ADHD.

MICHAŁ WALKIEWICZ



NIE BĘDĘ SIĘ MĄDRZYŁ NA TEMAT NERWICY NATRĘCTW, zwłaszcza własnej i niezdiagnozowanej. Coś jest jednak na rzeczy, skoro poduszkę muszę obrócić przed snem dokładnie trzy razy, przestrzeń wokół siebie aranżuję w symetryczne wzory, a przymus rozpoczynania każdej czynności o pełnej godzinie zamienia „spontaniczny spacer” w wyprawę do piekła.

Niektórzy, odsyłani na terapię, odpowiadają, że w trakcie lądowania w Normandii nie było terapeutów. W moim przypadku to raczej wypadkowa lenistwa, skąpstwa oraz przeświadczenia, że ocali nas wyłącznie pasja; najlepiej zogniskowana wokół kultury, pozwalająca zafiksować się na sztuce jako na jedynym pewnym punkcie odniesienia. Zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, jak wiele innych jednostek chorobowych, których nie nazywam w obawie przed tym, że staną się prawdą, leczę za pomocą gier wideo. Im więcej w nich losowości, strukturalnego nieporządku i algorytmów przegrywających z chaosem, tym lepiej. I gorzej – to przecież jakiś rodzaj konfrontacji z własnym lękiem. Ryzykowna, lecz w moim przypadku skuteczna strategia jest symptomem szerszego zjawiska.

Wierzcie lub nie, ale z pomocą gier wideo leczy się dziś ludzi. Działają w służbie terapii behawioralnej, wykorzystuje się je jako narzędzia w walce z depresją, syndromem stresu pourazowego i mózgowym porażeniem dziecięcym. Z czego wynika ich potencjał w praktyce psychologicznej oraz tradycyjnej medycynie? I dlaczego bywają lepszym narzędziem pomocniczym w rozmaitych ćwiczeniach terapeutyczno-rehabilitacyjnych niż kino, literatura albo sztuki plastyczne?

Nie możesz wszystkiego

Zła wiadomość: żeby to wszystko zrozumieć, najpierw wypadłoby trochę pograć. Dobra wiadomość: nie trzeba oddawać grom całego życia. Większość z nich pozostaje zawołowanym autotematycznym komentarzem. Zazwyczaj wystarczy podrapać celofan.

Weźmy „Amplitude”, nieskomplikowaną grę zręcznościową, w której, sunąc statkiem kosmicznym po trzech równoległych liniach melodycznych, tworzymy własną muzykę. Na jednej z szyn ulokowane są basy, na drugiej tony wysokie, a na



MATERIAŁY PRASOWE SONY PLAYSTATION

Kadr z gry „Bioshock”, 2020 r.

trzeciej fragmenty wokalne. Choć decydując o wyborze ścieżki oraz o nagłych zmianach pomiędzy nimi, tworzymy „własny” utwór, całość naszych wysiłków mieści się w ramach odgórnie narzuconej, pozbawionej ornamentów kompozycji.

To świetna metafora gier wideo jako medium. Jego sednem jest stosunek napięć pomiędzy swobodą wynikającą z interaktywności zabawy a przymusem związanym z ograniczeniami tekstu.

Tam, gdzie umizgi do okrzepłych sztuk w rodzaju kina czy literatury są wyraźniejsze, ta sama metafora przybiera znacznie ciekawsze kształty. Akcja kultowej gry „Bioshock”, czyli luźnej adaptacji powieści „Atlas zbuntowany” Ayn Rand, rozgrywa się w podwodnym mieście Rapture. Zaludniona przez niepokornych artystów, przedsiębiorców i naukowców metropolia jest spełnieniem libertariańskiego snu o społeczeństwie wyzwolonym z okowów jakiegokolwiek instytucjonalnej kontroli. Zwiędzamy ją w ciele rozbitka, którego przez mroczne labirynty prowadzi facet o pseudonimie Atlas – świadek krwawej rewolucji, przeprowadzonej przez lokalnego gangstera, który za pomocą

prochu i pięści wykoleił cały system. Jak okazuje się w toku akcji, niewinna z pozoru fraza „Would You Kindly?”, której namiętnie używa Atlas, to wyrafinowane narzędzie kontroli – i nad bohaterem, i nad graczem. Po tym twiście „Bioshock” staje się opowieścią o tym, że wolna wola to w grach wideo kolejny, precyzyjnie napisany scenariusz.

Choć „iluzja kontroli” jest pojęciem wyrażającym logikę totalitaryzmu, w grach wideo może być sednem dobrej zabawy. I zarazem kluczem do zrozumienia ich terapeutycznego potencjału. Sama struktura rozgrywki jako opowieści z początkiem, środkiem i zakończeniem, to coś, co łączy je z klasycznie pojmowaną sztuką. Interaktywność przekierowuje z kolei naszą uwagę na utylitarno-rozrywkowy charakter gier. Gdy wykorzystuje się je jako narzędzia terapeutyczne, obydwa te elementy powinny działać w perfekcyjnej symbiozie.

Dobry przeptyw

W zindeksowanej przez Amerykańską Bibliotekę Kongresu pracy naukowej autorstwa Francesca Bocciego, Ambry Ferrari →

→ i Marcella Sarniego „Putting the Gaming Experience at the Center of the Therapy” termin „Video Game Therapy” jest znakiem towarowym. Oznacza to, ni mniej, ni więcej, że teoria stosowania gier wideo w medycynie i psychologii jest na tyle rozwinięta, by stać się przedmiotem autorskich opracowań. W tym przypadku jej fundamentem są dwa pojęcia z psychologii pozytywnej, czyli „przepływ” oraz „ustawienia relacyjne”. Ten ostatni termin mylimy często z ustawieniami helingerowskimi, czego, generalnie, lepiej nie robić. Gry wideo nie zasłużyły na tak złą prasę.

Z grubsza wygląda to tak: „przepływ” oznacza jak najpełniejsze zaangażowanie się gracza w wirtualne środowisko gry. Z kolei ustawienie relacyjne to związek lekarza z pacjentem – im głębszy, tym lepszy przepływ. W pracy włoskich naukowców czytamy: „Doświadczenie przepływu aktywuje i stymuluje naszą pamięć roboczą, przestrzenną i wzrokową podczas gry, słowem – wszystko, co wpływa na stopień naszego zaangażowania. Z drugiej strony, ustawienie relacyjne umożliwia głęboką więź między pacjentem a terapeutą, dzięki czemu lekarz może prowadzić pacjenta przez grę niczym przez tradycyjny proces terapeutyczny. Z tej perspektywy mówimy o podejściu, które integruje różne techniki oraz narzędzia psychologiczne w ramach pojedynczej ścieżki wsparcia i terapii”.

Korzyści płynące z integracji mogą być nie do przecenienia. Gry uczą systematyczności i skupienia, mogą być dobierane indywidualnie do potrzeb pacjentów, ale nadają się również do terapii grupowych. Zaś przede wszystkim, jak podkreślają praktykujący terapię za pomocą gier psychologowie oraz teoretyzujący na ten temat naukowcy, są bezpieczną przestrzenią, w której łatwo jest pracować z użyciem znaków zarezerwowanych dla języka sztuki: metafor, porównań, wszelkich figur *pars pro toto*.

Nic dziwnego, że coraz częściej gier używa się nie tylko w neurorehabilitacji – ćwiczeniach pamięci, koordynacji ruchowej, refleksu czy umiejętności logicznego myślenia – ale też przy terapii zaburzeń psychologicznych, od syndromu stresu pourazowego, przez depresję, po ADHD.

W kapitalnej analizie tych praktyk, opublikowanej w magazynie Polskiego Towarzystwa Badania Gier UAM „Homo Ludens” i obejmującej lata 1988-2020, Marcin Mateusz Granat wylicza jeszcze więcej schorzeń: schizofrenię, alkoholizm, stany pozawalowe, dziecięce porażenie mózgowe, zaburzenia widzenia, fugę dysocjacyjną czy udar mózgu. Choć w większości przypadków nauka zatrzymała się w połowie drogi między teorią a praktyką, to atomy powoli zaczynają się ścierać. W Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych są to badania wspierane zarówno instytucjonalnie, jak i przez organizacje pozarządowe, fundacje oraz prywatnych inwestorów.

Życie na farmie

Jeśli traci to wszystko czarną magią, to pewnie dlatego, że status gier wideo w kulturze głównego nurtu wciąż jest owocem dziwnego kompromisu. Teoretycznie, w świecie po „Wied-

Status gier wideo w kulturze głównego nurtu wciąż jest owocem dziwnego kompromisu.

Czy na pewno wiemy, że mamy do czynienia z czymś więcej niż książka „na długi jesienny wieczór”?

minie”, „The Last of Us”, spełnionych adaptacjach Lovecrafta oraz interaktywnych dialogach z Umberto Eco, mamy świadomość, że gry poruszają „poważne tematy” i uznajemy je za coś na kształt autonomicznego języka. W praktyce traktujemy je jednak jak film „na randkę” albo książkę „na długi jesienny wieczór”. Choć medialne nagonki są pieśnią przeszłości, kręgi na wodzie wciąż się rozchodzą – ważniejszy od tematu le-

czenia uzależnień za pomocą gier jest temat uzależnienia od gier, z kolei samo medium wciąż uszlachetnia się poprzez porównania do kina czy literatury.

W kontekście potencjału narzędzi terapeutycznych gry mają jednak nad siostrzanymi sztukami zasadniczą przewagę. Primo, są interaktywne. Secundo, jakość stymulacji intelektualnej i emocjonalnej nie są w ich przypadku zależne od budżetu, marketingu albo artystycznej swobody.

W remake’u kultowego japońskiego horroru „Silent Hill 2” autorstwa krakowskiego studia Bloober Team podążamy śladami Jamesa Sunderlanda. W zgodzie z definicją zaproponowaną przez Billy’ego Bakera z „Boston Globe”, czyli twórcę słynnego artykułu o epidemii męskiej samotności, James to najbardziej samotny facet na świecie.

W zamglonym i pełnym krwiożerczych monstrów miasteczku James szuka zmarłej przed laty żony. I choć natura małżeńskiej relacji pozostaje centralną zagadką fabuły, jeszcze ważniejsze wydają się inne postaci. Ich losy układają się w katalog niewybaczalnych grzechów oraz nieprzepracowanych traum, ale też uleczalnych chorób ducha. To lustra, w których mogą się przejrzeć i James, i gracz. Zaś na równych prawach – element fabuły wysokobudżetowego horroru „na każde podniebienie”; gry za duże pieniądze, która musi spełnić kryteria wypłacalności.

W kinie taka strategia artystyczna to mimo wszystko rzadkość – wszelkie programy kinoterapii zogniskowane są wokół bardzo konkretnego modelu kina, które, mówiąc krótko, nie kosztuje cysterny dolarów. Tymczasem w świecie gier wideo to typowy wtorek. Nawet więksi wydawcy albo branżowi giganci mają w swoim portfolio tak wyjątkowe produkcje jak hiszpańskie „GRIS” – interaktywną opowieść o stracie, ilustrowaną przepięknymi metaforami kolejnych stadiów żałoby. Albo nagrodzone Paszportem „Polityki” w 2016 r. „Bound” Michała Staniszewskiego o stopniowej erozji rodzinnych więzi.

Co do zasady, łączenie przyjemnego z pożytecznym jest nieco łatwiejsze z rynkowej perspektywy. Sztandarowym przykładem podobnego tytułu z głównego nurtu jest „It Takes Two” Josefa Faresa z Hazelight Studios. Na pierwszy rzut oka to przyjemna platformówka dla dwojga graczy. W istocie to interaktywna terapia małżeńska, dzięki której uczymy się słuchać, nazywać ulotne stany i emocje, a także ubierać niewysłowione żale w jakąś strukturę narracyjną.

Psycholog kliniczny Alexander Kriss z nowojorskiego Uniwersytetu Columbia od lat analizuje „Silent Hill 2” pod kątem terapeutycznego potencjału. Zwraca uwagę, że kluczowy nie jest sam scenariusz gry, ale sposób, w jaki z nim obcujemy. Na co zwracamy uwagę, w jaki sposób prowadzimy narrację we-

GRY, KTÓRE LECZĄ



MATERIAŁY PRASOWE
THATGAMECOMPANY / SCE

■ **JOURNEY** (2012). Twórcy: thatgamecompany / SCE. Medytacyjna pielgrzymka przez ruiny dawnej cywilizacji. Cel pozostaje nieistotny. Liczy się sama droga. Niby o życiowym znoju, ale też o licznych epifanijskich momentach, dla których warto trzymać się ścieżki.



MATERIAŁY PRASOWE
HAZELIGHT STUDIOS

■ **IT TAKES TWO** (2021). Twórcy: Josef Fares / Hazelight Studios. Przepiękna metafora związku, czyli codzienności rozpisanej na malutkie akty współpracy i rebelii, gesty frustracji i solidarności. Nie tylko wypada, ale nawet trzeba grać z drugą połówką. Na dobre i na złe, sporo się o sobie dowiecie.



MATERIAŁY PRASOWE
KOJIMA PRODUCTIONS

■ **DEATH STRANDING** (2019). Twórcy: Hideo Kojima / Kojima Productions. Przed pandemią – narracyjny eksperyment z pogranicza gry wideo oraz kina kontemplacji. Po pandemii – opowieść o pokoleniowym doświadczeniu oraz o tym, jak sobie z nim (nie) poradziliśmy. To również gra, w której meksykański reżyser Guillermo del Toro bierze z graczem prysznic. Warto.



MATERIAŁY PRASOWE
NOMADA STUDIO

■ **GRIS** (2018). Twórcy: Nomada Studio. Szok, zaprzeczenie, złość, negocjowanie, depresja, testowanie, akceptacja... Siedem stadiów żałoby. Jedna przepiękna opowieść o ich nieuchronności.

wnątrz sztywnych ram tekstu, jak hierarchizujemy potrzeby innych postaci, które sceny i sekwencje wywołują w nas określone uczucia. Rozgrywkę traktuje jako seans werbalizowania naszych potrzeb, lęków i pragnień.

Założę się, że niezłym poligonem była w tym przypadku pandemia. Uwielbiam obrazek-mem, na którym otoczony skalistymi graniami parowiec przeciska się wąskim przesmykiem. Po jednej stronie napis: „Świat walący się w gruzy”. Po drugiej: „Służba zdrowia w rozsypce”. Zaś na parowcu: „Ja, chłopaki i nasze gry wideo”.

Alternatywna rzeczywistość, do której zaprosili nas twórcy gry „Animal Crossing” (to, w dużym uproszczeniu, symulator farmerskiego życia), pozwoliła poradzić sobie z trudami izolacji ponad sześćdziesięciu milionom ludzi. Na wirtualnych farmach organizowali imprezy, zdalne lekcje, a nawet... śluby. Niektórych odwiedził aktor Elijah Wood. Podobno był miły, zawsze dziękował za sadzonki i głąskał pieska na pożegnanie.

Globalny kryzys zamienił „Death Stranding” Hideo Kojimy w arcydzieło sztuki szybkiego reagowania. Opowieść o kurierze przyszłości, który w postapokaliptycznym świecie zbiera do kupy zatamizowane społeczeństwo, to nie tylko celna metafora pandemicznego doświadczenia. To również wyraz tęsknoty za międzyludzką bliskością; gra, w której przez przypadki odmienia się rozmaite „łączniki”, „sploty”, „ścięgna”, „nici” i „kłacze”. Na pewno pomógł też fakt, że za deklinację biorą się cyfrowe odpowiedniki gwiazd kina: Madsa Mikkelsena, Guillerma del Toro, Nicolasa Windinga Refna i Léi Seydoux.

Teoria chaosu

Pojęcie „gamifikacji” zostało ukute w 2008 r., lecz jako koncept istnieje przynajmniej od lat 60. ubiegłego wieku. Ma swoje źródła w szeroko rozumianej teorii gier i oznacza wykorzystywanie elementów gier w innych dziedzinach życia: psychologii, biznesie, ekonomii, edukacji. Oczywiście to, jakie gry są na tych polkach wykorzystywane, zmienia się wraz z rozwojem technologii – pokonałszy tu drogę od gier abstrakcyjnych i towarzyskich, przez planszówki, Uno oraz tradycyjne systemy *role playing*, aż do współczesnej elektronicznej rozrywki (włączając w to technologie wirtualnej oraz rozszerzonej rzeczywistości). Celem gamifikacji jest – z grubsza – zachęcanie człowieka do dynamiczniejszego działania oraz efektywniejszego rozwiązywania problemów. Brzmi złowieszczo. Ale się przydaje.

Gamifikacja wkraczająca do takich stref jak życie społeczne czy medycyna działa na zasadzie sprzężenia zwrotnego – w końcu skomplikowana rzeczywistość za oknem zaczyna w równym stopniu wpływać na gry wideo. „Opcje dostępności”, pozwalające cieszyć się rozgrywką osobom z niepełnosprawnościami, były niegdyś mrzonką. Dziś powoli stają się normą – zarówno w wysokobudżetowych tytułach, jak i w mniejszych, niezależnych produkcjach. To zresztą paradoks, że medium, które odpowiada za ewolucję paru chorób cywilizacyjnych, jest dziś jedną z najbardziej inkluzywnych przestrzeni dialogu o zdrowiu psychicznym oraz równych szansach.

Z perspektywy kogoś, kto używa gier wideo do świadomego wprowadzania chaosu we własne życie, mogą dodać jedynie tyle: żeby ich nie lekceważyć. Po pierwsze, sporo nas jeszcze naucza. Po drugie, z terapeutą czy bez, jest to chaos kontrolowany.

© MICHAŁ WALKIEWICZ



Rekolekcje z o. Adamem Szustakiem w parafii św. Królowej Jadwigi w Krakowie, 14 marca 2023 r.

MILION WIERNYCH OJCA SZUSTAKA

Jest najpopularniejszym polskim ewangelizatorem
– jego kanał na YouTube subskrybuje prawie milion osób.
Co im mówi i dlaczego tak chętnie go słuchają?

ARTUR SPORNIAK



ARTUR WIDAK / NURPHOTO / GETTY IMAGES

TO TAKI DUCHOWY McDrive – jesteś w podróży, zaczynasz odczuwać głód, odnajdujesz okienko, dostajesz szybko proste, smaczne jedzenie – możesz jechać dalej – mówi Bartek Lech. Filmy o Adamie Szustaku pomogły mu zwłaszcza wtedy, gdy z rodzinnego Torunia wybierał się na studia psychologiczne w Warszawie. Przywiodły go też do dominikańskiego duszpasterstwa akademickiego. Teraz – gdy ma 25 lat – czyta Tischnera, Bonhoeffera, Simone Weil. – „McDonald” to nie jest wykwinna restauracja – dopowiada: – Ale na pewno pomaga, jak się jest na pewnym etapie drogi.

„Langusta na palmie”, internetowa platforma o Szustaku, ma dziś 931 tys. subskrybentów. Od chwili powstania, w grudniu 2012 r., zanotowała 643 mln odtworzeń – jest na 168. miejscu wśród najchętniej oglądanych polskich kanałów na YouTube. Rankingów stron religijnych nie ma, ale niewątpliwie wśród katolickich youtuberów dominikanin jest najpopularniejszy.

Jego zasięgi zresztą przekraczają granice Kościoła katolickiego. Zosia Żółtko-Horyza wychowała się w rodzinie chrześcijan ewangelikalnych. Szustak pomógł jej przede wszystkim w kontakcie z Biblią. – Kiedyś jako nastolatka postanowiłam sobie urządzić dzień bez telefonu z czytaniem ewangelii. Po kilku godzinach wytrzymałam. Nie rozumiałam, po co była tak okrutna ofiara Jezusa. Złamałam postanowienie i sięgnęłam po telefon – weszłam właśnie na stronę z filmami Szustaka.

W rozmowach o nim pojawia się opinia, że jest jak religijna wersja Roberta Makłowicza – trudno się na niego nie natknąć. Maciek, studiujący obecnie w Krakowie filozofię i teologię, nigdy nie miał potrzeby zaglądać na „Langustę na palmie”. Ale opowiada: – Gdy miałem 17 lat, dostałem od mojego niewierzącego taty zaskakującego maila. Polecał mi filmy o Szustaku, bo koleżanka z pracy go przekonała. „Zobacz, jakie fajne” – napisał.

– Drugie moje „spotkanie” z Szustakiem – dopowiada Maciek – było podczas warsztatów liturgicznych. Zapamiętałem, że prowadzący je ksiądz mówił, że jeśli ktoś trafia do niego do konfesjonału po długim okresie niesповідania się, zwykle stoją za tym konferencje o Adama.

Nie dziwi więc, że działalnością kaznodziei zainteresowali się też naukowcy: medioznawcy, socjologowie, psychologowie, językoznawcy. Wskazują, że sukces dominikanina – który unika mediów tradycyjnych, ale niezwykle biegle eksperymentuje z kanałami internetowymi – to zasługa jego charyzmatycznej osobowości oraz tego, co mówi i jak się pokazuje.

ZDANIEM SOCJOLOGÓW | „»Chcę mieć tylu obserwujących na YouTube, co o. Adam Szustak«. Kiedy znajomy o ambicjach politycznych stwierdził to w internecie, oboje zaczęliśmy oglądać jego filmy z socjologiczną fascynacją” – tak rozpoczynają swój artykuł o Szustaku Barbara

Thériault z Uniwersytetu w Montrealu i Konrad Pędziwiatr z Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. Ich zdaniem dominikanin, który przedstawia się jako „zwykły”, „normalny” i „autentyczny”, odwołuje się do aspiracji i zainteresowań młodych katolików w sytuacji, gdy Kościół w Polsce staje się coraz bardziej „polityczny”.

Dzięki zabawnym filmom widzowie Szustaka towarzyszą mu w codziennym życiu. Zakonnik nie jest ascetą: podczas nagrania pije kawę i je śmieciowe jedzenie, żartując ze swojej wagi. Filmuje się w samochodzie i w samolocie, ogląda Netfliksa i gra w gry wideo. Jest zapracowany, a w jego życiu względy ekonomiczne czy ekologiczne nie odgrywają dużej roli. Widzimy go zmęczonego – ziewającego, drapiącego się po głowie, i bezbronnego – gdy płacze. Wygląda jak „facet z sąsiedztwa” – ma brodę i ogoloną głowę, nosi dżinsy i trampki, chodzi w bluzach z kapturem. Z dużą pewnością mówi widzom, jak mają sobie radzić w relacjach – jako partnerzy, rodzice i katolicy. Umiejętnie zaciera granicę między *profanum* a *sacrum* oraz znaczeniami słów „postępowy” i „konserwatywny”. Sukces Szustaka polega na tym, że czyni wyjątkowym to, co jest zwyczajne. („Uczynić zwyczajne wyjątkowym: sukces polskiego zakonnika z Youtuba”, RASCEE nr 14/2021).

Jak to się zaczęło

Konkluzja socjologów jest trafna, ale nie odpowiada na pytanie, dlaczego jego normalność świeci blaskiem wyjątkowości. Próbując zrozumieć fenomen „Langusty na palmie”, nie uciekniemy więc od religijnej interpretacji.

Adam Szustak urodził się w 1978 r. w Myszkowie. Wstąpił do seminarium w Częstochowie, jednak po dwóch latach przeniósł się do dominikanów. Świecenia otrzymał w 2004 r. W międzyczasie przez dwa lata był też studentem PWST w Krakowie. W tym mieście prowadził również, w latach 2007–2012, duszpasterstwo akademickie Beczka.

W 2008 r. 30-letni dominikanin przeżył doświadczenie mistyczne pod wpływem modlitwy, jaką odmówili nad nim dwaj kontrowersyjni księża charyzmatycy: Enrique Porcu i Antonello Cadeddu, misjonarze z Brazylii. Czuł, jakby

→ wyjmowali jego serce kamienne i wkładali serce z ciała (metafora biblijna). Opowiedział o tym szczegółowo w świadectwie opublikowanym we wrześniu 2015 r.

Od tego momentu, który nazywa nawróceniem, z wielką energią poświęcił się duszpasterstwu. Początkowo chciał założyć wspólnotę, ale nie pozwolili mu na to zakonni przełożeni. W 2012 r. trafił do dominikańskiego ośrodka w Łodzi i został wędrownym kaznodzieją. W tym samym roku wystartowała jego internetowa platforma „Langusta na palmie”.

Filmy, jakie tam publikuje, są różnorodne. Szustak towarzyszy swoim subskrybentom od rana do wieczora – komentuje Biblię, czyta bajki, recenzuje filmy, poleca książki, odpowiada na przysyłane pytania. W pandemii grał w gry wideo i komentował je, odwołując się do Biblii. Nagrał blisko 8,5 tys. takich filmów.

Pomaganie i zarabianie

Jako duszpasterz o. Szustak nie ogranicza się do rzeczywistości wirtualnej. Jest zapraszany na rekolekcje i spotkania w Polsce i za granicą. W kraju organizuje spotkania modlitewno-muzyczne „Technie-nia”, w których uczestniczą tysiące osób. W ramach tego projektu przejechał już ponad 8 tys. km i był w 21 miastach. Prowadzi także akcje charytatywne. Niedawno, wraz z zaprzyjaźnionym chirurgiem, zorganizował zbiórkę pieniędzy i wysłał kontener sprzętu medycznego do szpitala w Zambii, prowadzonego przez polskie zakonnice.

W 2017 r. na patronite.pl pojawiła się zbiórka na „Langustę na palmie”. Obecnie platforma ma 1995 patronów i zarabia 51 tys. zł miesięcznie (od momentu założenia otrzymała już 5,4 mln zł). Z „Langustą” powiązany jest także sklep internetowy, w którym można kupić książki, audiobooki i bluzy. Jak podaje socialblade.com, z reklam publikowanych przed każdym filmem platforma otrzymuje miesięcznie od 4,4 do 73,5 tys. zł – w zależności od tego, ile reklamodawcy płacą za 1000 oglądających).

ZDANIEM JĘZYKOZNAWCÓW | Charakterystyczne dla homilii o. Szustaka jest prowadzenie dialogu wirtualnego. Kaznodzieja formułuje, w imieniu słuchaczy, różne problemy i stawia pytania o kwestie budzące powszechne wątpliwości.

Odbiorcy identyfikują się z nimi, oczekują odpowiedzi i rozwiązania. Czują, że realnie współuczestniczą w homilii i ją współtworzą, choć nie wypowiadają słów. Charakterystyczne elementy takiego dialogu to np. zwroty skierowane do słuchaczy („kochani”), czasownikiowe operatory kontaktu („zobaczcie”, „jak wiecie”). Skutecznym elementem dialogizującym homilię są też pytania retoryczne, które zawierają w sobie odpowiedź, oraz pytania „medytatywne”, wskazujące na wątpliwości i wspólne poszukiwanie odpowiedzi przez kaznodzieję i wiernych.

Dla Szustaka charakterystyczne są też liczne dygresyjne wtrącenia w zadaniach wielokrotnie złożonych. Język jest mówiony i potoczny, niedbający o wymowę i składnię, pełen wykrzykników („I teraz uwaga!”), kolokwializmów i wyrażen emocjonalnie nacechowanych („Czemu ten głupi wstęp wam mówię?”). Ale językoznawcy usprawiedliwiają takie podejście: „Potoczność w sytuacjach religijnych może być akceptowana, jeśli wyrasta z doświadczeń i potrzeb człowieka”. (Wiesław Przyczyna, Magdalena Jankosz, „Forma, język i styl homilii ojca Adama Szustaka...”, „Stylistyka” nr 29/2020).

Anna

W oparciu o statystyki kanału „Langusta na palmie”, komentarze do filmów oraz pogłębione wywiady socjologowie opracowali portret typowego subskrybenta o. Szustaka. Jest nim kobieta, bo na dziesięciu subskrybentów tylko trzech to mężczyźni. Subskrybentka „Anna”, jak ją przykładowo nazwali, mieszka w mieście, ma ok. 30 lat (największą, ponad 25-procentową grupę odbiorców tworzą ci między 25. a 34. rokiem życia), jest katoliczką „postępową”, chociaż niechętnie użyłaby tego określenia. „Anna” niemal codziennie ogląda kilkunastominutowy materiał udostępniany przez dominikanina, na który składają się dwa, trzy, a nawet cztery filmiki. Zaczyna od „Wstawaka” – kilkuminutowej pogadanki na dzień dobry.

Dlaczego je ogląda? Bo dają jej jasne wskazówki, jak prowadzić „dobre życie” w zgodzie z Bogiem. „Anna” lubi też, gdy podróżujący zakonnik zabiera ją w różne ciekawe miejsca. Uważa, że sposób,

w jaki dominikanin mówi i jak wygląda, jest normalny i autentyczny. Socjologowie podkreślają, że Szustak rozmawia ze swoimi widzami jak przyjaciel, serdecznie i z poczuciem humoru, co daje im poczucie wspólnoty.

Film programowy

W sierpniu 2020 r. o. Szustak nagrał programowy odcinek „Katolik kontra świat”. Wyróżnia w nim kilka reakcji ludzi Kościoła na zmiany zachodzące wokół nas. Przekonuje, że każda prowadzi donikąd.

Pierwszą jest próba dostosowania się do świata, mówienie: „Zgódźmy się, że miłość homoseksualna jest taka, jak Pan Bóg chce; że w niektórych przypadkach można by dzieciom nienarodzonym odebrać życie; że nierozzerwalność małżeństwa może nie jest taka do końca nierozzerwalna; że można z byle powodu małżeństwo unieważnić”. Zdaniem Szustaka oznacza to rezygnację z tego, co o miłości nauczał Jezus. A chrześcijanin powinien zawsze iść w poprzek tego świata.

Drugą błędną drogą jest ruch tradycjonalistyczny, który próbuje ożywić to, co było, i czego świat już kompletnie nie rozumie. Trzecią drogą jest propagowanie w tym świecie „wartości i zasad chrześcijańskich”, czyli „lajtowa wersja tradycjonalizmu”, którą – zdaniem dominikanina – próbuje iść większość polskich biskupów. Wartości te są prawdziwe i dobre, ale próba nawracania na nie świata prowadzi donikąd, bo świat rozumie je już po swojemu. Czwartą drogą jest tworzenie Kościoła-enklawy, czyli porzucenie wszelkich starań spotkania ze światem – „trochę jak amisze”. Ostatnia zaś to droga rezygnacji i obojętności.

Co ma zatem zrobić chrześcijanin, by iść drogą biblijną? Najpierw powinien zdetronizować w swoim życiu siebie, a w to miejsce wstawić Boga. Głosić kerygmat, czyli prawdę o Jezusie, który zbawia. Świadczyć o zbawieniu w swoim życiu i wprowadzać w życie społeczne wartości chrześcijańskie, ale na miarę swoich możliwości.

A jak sprawdzić, „czy twoje iście w poprzek temu światu jest ewangeliczne?”. Kaznodzieja podaje trzy kryteria: 1. Czy jesteś pokorny, czy – przeciwnie – są ludzie, którymi gardzisz? 2. Czy jesteś człowiekiem, który potrafi uznać, że błędzi? 3. Jakie są owoce twojego działania – czy ludzie się nawracają, przestają np. grzeszyć?

Wygląda na to, że właśnie taki program sam sobie wyznaczył o. Adam Szustak.

Zakręty

Szustak unika bezpośrednich dyskusji. Nie godzi się na rozmowy z mediami. Owszem, chętnie odpowiada na zadawane mu w internecie pytania, ale tylko wtedy, gdy może je wybrać i przemyśleć. Być może chroni w ten sposób swój czas i unika rozproszeń. Unika też wyzwań.

Pomijając kilka wywiadów w dominikańskim miesięczniku „W drodze”, tylko raz zgodził się na rozmowę. Wybrał niewierzącego influencera o dużych zasięgach, Karola Paciorka. Rozmowa ukazała się w maju 2021 r. na kanale „Imponderabilia”. Wcześniej na swoim kanale Szustak wyjaśnił, że poważniejsze rozmowy muszą mieć odpowiedni klimat i zagwarantowane poczucie bezpieczeństwa. Co się udało w rozmowie z Paciorkiem, ale i zemściło: dominikanin tak swobodnie i bezpiecznie się poczuł, że przy komentowaniu tego, co polski Episkopat uznał za najważniejsze podczas wychodzenia z pandemii, powiedział: „No do k***y nędzy, w takim razie mi ręce opadają. (...) Ja nie mam już żadnej nadziei w tych gościach, skoro dla nich najważniejsze teraz jest to, żebyśmy wrócili do kościoła”.

Po emisji programu abp Stanisław Gądecki, ówczesny przewodniczący Episkopatu, zaprosił zakonnik na rozmowę. Opowiadając o tym spotkaniu – w jednym z kolejnych filmów – o. Szustak mówił, że przeprosił hierarchę i przyznał, że nieewangelicznie jest tracić nadzieję w kogokolwiek. Mówił także o znacznych różnicach w poglądach na to, co w dobie kryzysu Kościół powinien robić. To był kolejny zwrot w życiu dominikanina – postanowił nie liczyć na zmiany w Kościele, tylko samemu działać.

Zaproszenie na dywanik do Gądeckiego nie było jedynym efektem rozmowy z Paciorkiem. W czerwcu na konserwatywnym portalu Christianitas ukazał się „List zwykłych katolików do ojca Szustaka”, którymi okazali się byli subskrybenci „Langusty”, zniesmaczeni poparciem, jakiego Szustak udzielił Szymonowi Hołowni w wyborach prezydenckich w 2020 r. oraz... głoszeniem przez dominikanina nadziei pustego piekła („Nie może ojciec zaprzeczyć, że Jezus ostro straszył piekłem!” – pisali).



BEATA ZAWRZEŁ / REPORTER

O. Adam Szustak na Mercy Festival. Kraków, 22 lipca 2016 r.

Paciorek też go o to pytał. Chciał wiedzieć, czy Szustak nie mówi ludziom tego, co chcą usłyszeć, czyli innymi słowy, czy nie głosi „pluszowego chrześcijaństwa”? Jego pytanie współbrzmiało z diagnozą socjologów, że dominikanin zaciera znaczenie słów „postępowy” i „konserwatywny”. Wydaje się jednak, że o. Szustak dobrze wie, które tematy należą do doktryny Kościoła – i w nich jest „konserwatywny”, a które są z pogranicza czy wręcz z teologicznych rubieży – i w nich jest „postępowy”.

ZDANIEM PSYCHOLOŻKI | – Moja znajomość z nauczaniem o. Szustaka zaczęła się bardzo źle. Kilko moich pacjentów dokonało samouszkodzenia po odsłuchaniu jego konferencji, skierowanej do osób samotnych. Twierdzili, że „pokazał im prawdę i odebrał nadzieję” – mówi „Tygodnikowi” Katarzyna Sikora, psycholożka i psychoterapeutka, specjalizująca się w terapii osób z tendencjami samobójczymi i dysregulacją emocji. – Natychmiast po powrocie do domu obejrzałam nagranie. Co zobaczyłam? Bardzo intensywny kontakt z uczestnikami. Miałam wrażenie, że o. Szustak mówi nie tylko wprost „do mnie”, ale „do nas”, tworząc na tę krótką chwilę coś w rodzaju wspólnoty. Rzuciły mi się w oczy nie tylko nadzwyczajne zdolności oratorskie, ale przede wszystkim bardzo silna osobowość. O. Szustak zna Prawdę i ma Rację. Bardzo trudno byłoby z nim dyskutować. I tutaj widzę problem.

– Wielu z nas pragnie przewodnika, który powie nam, „jak jest” – kontynuuje Sikora. – Jeśli ta osoba mówi pewnie, dając jednoznaczną odpowiedź na nasze pytania, to czujemy się bezpiecznie prowadzeni. Możemy jednak poczuć się też postawieni przed wymaganiami, których nie sposób spełnić. Niezrozumiani w naszych wątpliwościach. Niezdolni i nieuprawnieni do dyskusji. Dlaczego moi pacjenci się uszkodziли? Usłyszeli, że w ich samotności nie ma dla nich nadziei i że muszą ją zaakceptować w ciągu dwóch miesięcy. Czy o. Szustak to powiedział? Nie do końca. Ale to właśnie usłyszeli: wymaganie nie do spełnienia. Czy kaznodzieja musi przejmować się każdym ze swoich słuchaczy? Nie. Ale z pacjentami czytałam potem przypowieść o zagubionej owcy.

Nauczka

We wspomnianej przez psycholożkę dwuczęściowej konferencji „Młodość mija a ja niczyja” o. Szustak odwołuje się m.in. do kontrowersyjnej biblijnej opowieści o córce Jeftego, którą ojciec złożył w ofierze, dając jej wcześniej dwa miesiące na opłakanie swego dziewictwa. Konferencja nagrana została dawno – w lutym 2014 r. W tamtym okresie dominikanin posługiwał się ryzykowną metodą przykładania do życia literalnej wykładni Pisma Świętego. I rzeczywiście robił to z dużą pewnością siebie. Spotykała go za to krytyka. Ale gdy prześledzi się sposób jego mówienia w dłuższym okresie, widać, że krytyki słucha i zmienia pod jej wpływem podejście. Pokażę to na przykładzie, w którym „Tygodnik” miał swój udział.

Pod koniec 2016 r. o. Szustak opublikował film z serii Q&A (pytanie i odpowiedź) na temat homoseksualizmu. Przyznał, że długo się do niego przygotowywał. Jak się jednak okazało, zapoznał się wyłącznie z literaturą nieuznaną w świecie nauki. Stąd dziwne tezy w filmie: dominikanin mówił o homoseksualizmie jako „ranie płciowej”, która rodzi się z „pustki płciowej i marzenia o męskości czy kobiecości”. Przekonywał, że wykreślenie homoseksualizmu z listy chorób przez Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne w 1973 r. było działaniem politycznym i lobbystycznym, a nie naukowym.

→ Na stronie „TP” opublikowaliśmy wówczas komentarz dr. hab. Grzegorza Iniewicz, psychologa z UJ, który poka-
zywał, że o. Szustak mówi rzeczy szko-
dliwe i niezgodne z aktualnym stanem
wiedzy. Sprowokowało to dużą dysku-
sję w internecie.

O. Szustak nie porzucił tematu. W jego kolejnych wypowiedziach wi-
dać, że nie chce wykraczać poza naucza-
nie Kościoła potępiające współżycie ho-
moseksualne, ale z drugiej strony chce
być maksymalnie empatyczny wobec
homoseksualistów. W maju 2020 r. en-
tuzjastycznie skomentował wydaną
przez dominikańskie wydawnictwo
„W drodze” książkę „Dlaczego nie nazy-
wam siebie gejem” – świadectwo homo-
seksualisty, który zaakceptował swoją
orientację jako niezmienną, ale chce żyć
zgodnie z „Bożym planem dla siebie”, za-
chowując wstrzemięźliwość. Domini-
kanin przypomniał, że już kiedyś wy-
powiadał się na ten temat i wzbudziło
to sporo sprzeciwu. „Od tamtego czasu
dużo sobie myślę o tej dziedzinie” – przy-
znał. Przeciwwstawiał postawę autora
książki swojemu własnemu dawnemu
myśleniu (nie przyznając tego wprost)
– „takiemu katolickiemu uładowanemu
gadaniu o tym, że to jest tylko jakieś za-
mieszanie i można sobie to zanegować”.

W styczniu 2021 r. z kolei – powołu-
jąc się na papieża Franciszka – opowie-
dział się za zabezpieczeniem ochrony
cywilno-prawnej związków homoseks-
ualnych. A kilka dni temu, w filmie
„O Bogusi, co jej córka chłopcem się
stała”, z cyklu „Historie potłuczone”,
podczas których czyta otrzymane listy,
mówił: „Ja w takich sytuacjach potra-
fię tylko być, tylko towarzyszyć. Bo nie
mam żadnego innego pomysłu, żadnej
innej odpowiedzi”. I dodał: „I też nie
wiem, czy mam mieć”.

Z drugiej strony, trudno mu uwol-
nić się od popularnego wśród polskich
księży przekonania, że walka o prawa
dla osób LGBT to „lewicowe szaleń-
stwo”, będące w istocie działaniem sza-
tana. Nie dostrzega, że z taką insynu-
acją nie da się sensownie polemizować.

W każdym razie od kilku lat częstym
refrenem w jego filmach zaczęły być
słowa, które dawniej w ogóle się nie
pojawiały: „Mogę się mylić”.

Ewangelizator

Wydaje się zatem, że tajemnica suk-
cesu o. Szustaka polega na tym, że po-
trafi pokazać bliskość Boga w codzien-
ności. Odpowiada na religijne potrzeby
młodych ludzi w sposób prosty, kon-
kretny i od razu dostępny. Nie jest to za-
cieranie granicy między *profanum* i *sa-
crum*, jak sądzą socjologowie, ale wska-
zywanie, w przekonujący sposób, obec-
ności *sacrum* w *profanum*.

Czy celne? Na pewno ryzykowne
– jak widzieliśmy – tam, gdzie codzien-
ność mierzona jest zbyt literalnym od-
czytywaniem Biblii. Ale wypada do-
strzec, że zwłaszcza ostatnio popularny
kaznodzieja internetowy stara się niu-
ansować swój przekaz.

Jak więc można go określić – czy jest
współczesnym prorokiem?

Pod wpływem zakonnych przełożo-
nych zrezygnował z aspiracji bycia re-
ligijnym liderem i to chyba mu wyszło
na dobre. Nie traktuje też siebie jako
proroka, który słucha tylko Boga i głosi
religijny przekaz, pozostając niewraż-
liwym na życiowe okoliczności. Szu-
stak słucha także ludzi i chętnie przed-
stawia się jako ewangelizator głoszący
Dobrą Nowinę na największej ambo-
nie świata, czyli w internecie. I w isto-
cie nim jest.

© © ARTUR SPORNIAK

Parytety Ducha Świętego

CETTINA MILITELLO, TEOLOŻKA:

**Na placu św. Piotra stał przede-
mną protonotariusz apostolski
w purpurowej sutannie i birecie
z czerwonym pomponem. Kogo
reprezentuje człowiek, który się
tak ubiera? W dodatku jego strój
kosztował prawie 20 tys. euro.**

PIOTR DZIUBAK: Jak to jest – być
pierwszą teolożką we Włoszech?

CETTINA MILITELLO: Jeśli już, to pierwszą
kobietą, która studiowała na kościelnym
wydziale teologicznym. Byłam pierwszą
studentką na Papieskim Uniwersytecie
św. Tomasza z Akwinu, potocznie nazy-
wanym Angelicum. No, może drugą, bo
nieco wcześniej w Instytucie Biblijnym
pojawiała się Maria Luisa Rigato, zmarła
kilka lat temu biblistka. Ale ona była naj-
pierw tylko tzw. wolną słuchaczką. Ko-
biety zaczęły studiować na uniwersyte-
tach kościelnych w 1966 r., i to był owoc
Soboru Watykańskiego II.

Pani miała wtedy 21 lat.

Urodziłam się w 1945 r., czyli rok po
wojnie, bo u nas, na Sycylii, wojna skoń-
czyła się wcześniej, wraz z przybyciem ar-
mii amerykańskiej.

**Jak to się stało, że młoda dziewczyna
z Sycylii zaczęła studiować teologię
w Rzymie?**

Pochodzę z wierzącej rodziny, byłam
katechetką, chodziłam na wykłady z teo-
logii organizowane w naszej diecezji. Ale
od samego początku problematyzowa-
łam wiarę.

Co to znaczy?

Problemem dla mnie nie była sama
wiara, tylko nadanie jej treści i znalezie-
nie motywacji do aktu wiary. Dlatego

Marcinie,

dziękujemy za Twoje książki, wrażliwość i zaufanie.
Niczego nie wyrzucimy.

Marto, jesteśmy myślami z Tobą i Waszymi córkami.

PRZYJACIELE Z WYDAWNICTWA KARAKTER



Kobieta ze społeczności rdzennej udziela komunii podczas mszy w gminie San Juan Sacatepéquez. Gwatemala, 20 sierpnia 2023 r.

czym jest dla mnie. Na tym pytaniu egzamin się skończył. Otrzymałam tytuł.

Jakie było wtedy nastawienie do świeckich i do kobiet w Kościele?

To był czas ogromnej kreatywności. Bardzo aktywnie działały rady duszpasterskie i rady kapłańskie. Świeccy byli zapraszani do prac nad planami duszpasterskimi. Biskupem Palermo był kard. Salvatore Pappalardo, który mocno promował świeckich, także kobiety. Miejscowym księżom to się oczywiście nie podobało, ale my byliśmy szczęśliwi. Czuliśmy, że mamy coś do powiedzenia. Napisałam dla kard. Pappalardo wiele dokumentów, które podpisał. Ufał mi i podzielał moje poglądy. Gdy później opublikowano zbiór jego kazań, z przyjemnością znalazłam w nich wiele moich sugestii.

Problemy pojawiły się później, w latach 80. Wprawdzie wciąż proszono świeckich o opinię, ale było wiadomo, że decyzje i tak podejmie biskup. Krok po kroku zaczęły znikać rady duszpasterskie. Biskupi stali się biurokratyczni i rygorystyczni.

Myślę, że synodalność daje nam ponownie impuls do działania.

Dziś kobiety zostają prefektkami w kurii rzymskiej, uczestniczą w synodzie.

Zacznijmy od tego, że to jednak jest nieporozumienie. Papież i jego współpracownicy uznali, że wystarczy zrobić kobietę prefektką dykasterii, zwłaszcza takiej, w której nie musi tej funkcji sprawować biskup – i po problemie. A przecież pozycja świeckiego w Kościele, czy to mężczyzny, czy kobiety, zawsze będzie słabsza niż prezbitera czy biskupa. Dopóki Watykan nie rozwiąże problemu święceń kobiet, jakkolwiek zaproponowana im władza będzie fragmentaryczna, bo wobec biskupa czy papieża ich głos i tak nie będzie się liczył, choćby nie wiem jak wysokie stanowiska zajmowały. Jeśli naprawdę chcemy, żeby w Kościele zaistniał parytet, musimy zrozumieć, że Duch Święty nie odmawia swoich darów ani mężczyznom, ani kobietom. Wie pan, skąd pochodzą te słowa? ➔

najpierw, po szkole średniej, poszłam na filozofię. W 1968 r. zbierałam z koleżanką materiały do pracy magisterskiej, jeździliśmy po całych Włoszech. I gdzie nie przyjechaliśmy, zastawałyśmy wydział filozofii zamknięty, bo to był czas studenckiej rewolty. Ale dzięki temu poznałam miejsca, w których wykładano teologię i postanowiłam się jej poświęcić.

Bardzo chciałam studiować w Rzymie, na prowadzonej przez jezuitów Università Gregoriana, tylko że tam warunkiem było zaliczenie wcześniej przynajmniej dwóch lat filozofii na uczelni kościelnej, a ja miałam co prawda magisterium, ale na uniwersytecie państwowym. Zapisalam się więc na Angelicum i powiedziałam władzom Gregorian, że za rok do nich wrócę. I tak się stało. To duża uczelnia, w tamtym czasie bardzo oblegana, a były na niej tylko trzy dziewczyny, wraz ze mną. Pamiętam te wielopoziomowe sale wykładowe – i my, zawsze w pierwszym rzędzie. Nie dało się nie zauważyć naszej nieobecności. Każdy mógł nie przyjść na wykład, tylko nie my. Byłam też wykorzystywana, że tak powiem żartobliwie, przez profesorów, bo kazali mi czytać książki, którymi nie mieli czasu się zająć, i robić dla nich notatki. W taki sposób poznałam np. dzieła Romano Guardiniego.

To były cudowne lata. Dopiero co skończył się Sobór. Byliśmy w euforii.

Nowa eklezjologia, reforma liturgiczna... Wszystko działało się tak szybko. Oczywiście, Paweł VI trochę ostudził nasze głowy, zostawiając dla siebie trzy najbardziej palące kwestie. Ale przynajmniej, że bez tej decyzji Sobór trwałby pewnie kolejne trzy, cztery lata.

Łatwo było potem znaleźć pracę?

Gdy kończyłam studia, otwierano Instytut Teologiczny św. Jana Ewangelisty dla zachodniej Sycylii. Zaproponowano mi posadę wykładowcy eklezjologii. To była pierwsza połowa lat 70. Pewnie wolałabym wyklądać co innego, ale zgodziłam się i z czasem eklezjologia stała się moją pasją. Pracowałam, żeby się utrzymać, a wieczorami pisałam doktorat. Zajęło mi to siedem lat. Obroniłam się w 1979 roku.

Napisała Pani doktorat o roli kobiety w Kościele. Nie było z tym problemów?

Pisałam w oparciu o dzieła Jana Chryzostoma. Podczas obrony znalazłam się w krzyżowym ogniu pytań. Trwało to półtorej godziny, cios za ciosem. Broniłam się zębami i paznokciami, bo sugerowano mi, że to, co napisałam, to nie jest teologia, albo że moje podejście do tematu jest błędne. W pewnym momencie przewodniczący komisji, który zwykle nie zabiera głosu, zapytał, czy ja w ogóle wiem, co to jest teologia. Powiedziałam,

→ **Nie.**

Z formularza święceń diakonatu kobiet. Biskup odmawiał nad diakonisią taką modlitwę: „Święty i Wszechmogący Boże, przez narodziny Twojego Jedyne Syna, naszego Boga, z Dziewicy według ciała, uświęciłeś płęć żeńską. Udzielaj nie tylko mężczyznom, ale także kobietom łaski zstąpienia Ducha Świętego. Modlimy się do Ciebie, Boże, weź pod uwagę tę Twoją wierną służebnicę i poświęć ją dla Twojego diakonatu, obdarz bogatym i obfitym darem Twojego Ducha. Zachowaj ją, aby zawsze wypełniała Twoją posługę z pełną wiarą i nienagannym postępowaniem, zgodnie z Twoją wolą”.

Po tych słowach biskup zakładał kandydatce stułę i podawał kielich.

Nie wiedziałem, że jest taki formularz.

Oczywiście, że jest. Można go znaleźć w watykańskim archiwum, w greckim Kodeksie Barberiniego, pod numerem 336. Zachował się w wersji spisanej przez kopistów w XIV w., choć samych święceń już wtedy nie praktykowano. Diakonisy święcono do wieku VIII.

To formularz bizantyjski?

Tak. Zachód w zasadzie nigdy diakonis nie pokochał, był bardziej mizoginistyczny niż Wschód. Zresztą w Kościele wschodnim rola diakonis też zaczęła maleć, gdy rozpowszechniły się chrzty dzieci. Bo jednym z ważniejszych zadań diakonis było namaszczenie ciała kobiety olejem na koniec obrzędu chrzcielnego. Opiekowały się też chorymi kobietami, pomagały biednym i potrzebującym. Robiły dokładnie to samo, co diakoni mężczyźni. Diakonisa Olimpia współpracowała z Janem Chryzostosem, patriarchą Konstantynopola. Pomagała mu w wyborze kandydatów na biskupów. Była w środku polityki eklezjalnej.

Jan Paweł II uznał jednak *ex cathedra*, że sprawa święceń kobiet jest zamknięta.

Żeby można było mówić o nauczaniu *ex cathedra*, muszą zostać spełnione określone warunki, np. konieczne są konsultacje ze wszystkimi biskupami świata. Papież musi też wyraźnie stwierdzić, że naucza *ex cathedra*. Jan Paweł II zagrał nie *fair*, bo użył formuły „na podstawie danej mi władzy”, a procedury, o której



PROF. CETTINA MILIETTO – ur. w 1945 r., teolożka, wykładowczyni eklezjologii, mariologii, eschatologii i liturgiki na wydziałach teologicznych w Palermo i w Rzymie. Przedmiotem jej zainteresowań naukowych były też ekumenizm, teologia laikatu i kobiet.

wspomniałam, nie przeprowadził. Nie ma zatem żadnego orzeczenia *ex cathedra* w kwestii święceń kobiet. Każdy, kto zajmuje się teologią zawodowo, dobrze o tym wie.

Można jednak usłyszeć, że Pan Jezus wybrał na apostołów samych mężczyzn.

To też nieprawda. Apostoł to termin teologiczny, wymyślony przez ewangelistę Łukasza. A w bliskim kręgu Jezusa byli i mężczyźni, i kobiety. Były Marta i Maria, dwie siostry. Były kobiety u stóp krzyża. Była Samarytanka, która „postaawiła swój dzban z wodą i pobiegnęła, aby to oznajmić”... I najważniejsza z nich – Maria Magdalena. Tyle że później, gdy trzeba było się uwiarygodnić przed tymi, którzy wyznają jedynie słuszne myślenie, przeważała opcja męska. Dostosowano się do powszechnego zwyczaju. Kobiety uważano za niezdolne do rozumienia i pragnienia. Nie posiadały osobowości prawnej. Nie były wiarygodne – nie mogły składać przysięgi, być świadkiem. To wszystko zawarte jest w terminie „*ratio servitutis*”, którym uzasadniano zakaz wyświęcania na kapłanów kobiet, niewolników, dzieci czy osób z demencją. Uważano, że istnieje ontologiczna różnica między mężczyzną a kobietą. Dziś mówienie czegoś takiego wywołuje śmiech, choć przecież ciągle taki tok myślenia powielamy. Mówi się, że kobieta została stworzona na podobieństwo Boga, ale jako człowiek, nie jako kobieta. Że ten

obraz i podobieństwo odnoszą się do jej człowieczeństwa, a nie płci.

Przeciwnicy święceń kobiet przekonują, że Kościół protestancki, który na to pozwolił, przeżywa kryzys.

Bo problemem nie jest misja kobiet, które posługują jako pastorki, ale sama posługa. Wciąż traktujemy posługę kapłańską jako element struktury władzy, widzimy jej świętą wszechmoc. Dopóki posługa nie zacznie być traktowana jako służba, dopóty będziemy mieć kryzys.

Jak to zrobić?

Po pierwsze, pozamykać wszystkie seminaria, bo to wylęgarnie klerykalizmu. Młodym seminarzystom od początku pierze się mózgi, że są inni, wybrani, ważniejsi od świeckich, bo poświęcają swoje życie dla Chrystusa i bliźnich. Że istnieje ontologiczna różnica pomiędzy nimi, wyświęconymi, a pozostałymi wierzniymi. Wykładałam eklezjologię, więc to wiem. Choć starałam się zawsze uczyć w oparciu o dokumenty Soboru Watykańskiego II.

W październiku byłam na kanonizacji Eleny Guerry na placu św. Piotra. Stał przede mną protonotariusz apostolski, który wyglądał jak Pulcinella [jedna z charakterystycznych postaci włoskiej komedii dell'arte – przyp. red.]. Ubrany w purpurową sutannę, na głowie miał bilet z czerwonym pomponem. Pomyślałam: co reprezentuje człowiek, który się tak ubiera? Pominę fakt, że cały ten ubiór kosztuje prawie 20 tys. euro.

Prefekt Dykasterii Spraw Kanonizacyjnych, przedstawiając nową świętą, powiedział, że papież Leon XIII zachęcił ją do pobożności do Ducha Świętego. A było zupełnie odwrotnie – to Elena Guerra przekonała Leona XIII, by zainicjował nowennę do Ducha Świętego i napisał encyklikę. Takie fałszowanie historii – no bo przecież kobieta nie mogła wpływać na papieża – pokazuje mentalność, jaka ciągle panuje w Kościele.

Pontyfikat Franciszka niczego nie zmienił?

Papież Franciszek ma tę zasługę, że pozwolił odkryć Kościołowi synodalność. Choć według mnie nie rozróżnił wystarczająco dwóch rzeczy: instytucji synodu biskupów i synodalności rozumianej jako styl działania Kościoła. Rozszerzył

pojęcie synodu biskupów, pozwolił na uczestnictwo ojców i matek synodalnych, ale opinia synodu jest wciąż tylko doradcza. Decyzje podejmuje papież.

Synodalność to bardzo poważna sprawa. Powinna poprowadzić lud Boży do dyskusji o prawdziwych problemach. Nie przekonuje mnie więc odesłanie dziesięciu najważniejszych tematów do komisji. Taki los spotkał także kwestię święceń kobiet. Kościół zamiast dzielić się prorocstwem, że w Jezusie Chrystusie nie ma kobiet ani mężczyzn, niewolników i ludzi wolnych, Greków ani Żydów, traci czas na głupoty.

Może dlatego ludzie coraz bardziej zniechęcają się do Kościoła.

Coraz mniej wiernych uczestniczy we mszy. Mało kto słucha, co mówi papież.

W czasie covidu ludzie odkryli mszę w telewizji, myślą, że to im teraz wystarczy. Może więc trzeba zadbać o Kościół w domach?

Co to znaczy?

Wszyscy ochrzczeni są Kościołem. Możemy własnymi siłami, bez czekania na nie wiadomo jakie błogosławieństwa czy pozwolenia, tworzyć wspólnoty modlitwy, czytania Słowa Bożego, katechizowania – nie szkolnego, ale domowego, w sposób odpowiedni dla dzieci czy dorosłych.

To może odmienić chrześcijaństwo. Wystarczy, by spotkało się razem kilka rodzin. Takie domowe Kościoły mogą uczestniczyć we wspólnej eucharystii niedzielnej w parafii. A w dni powszednie, gdy w świątyniach pojawia się raptem pięć osób, księża powinni odprawiać msze w Kościołach domowych, gdzie zamiast ołtarza jest zwykły stół, przy którym gromadzi się rodzina. Jak w starożytnych wspólnotach.

Można odprawiać mszę w mieszkaniach?

A kto tego zabrania? Ciągle mam nadzieję na takie zmiany, bo przecież Duch Święty nie opuszcza Kościoła. Ale chciałabym zobaczyć jakiś mały znak, zanim pójdę do niebieskiego Jeruzalema.

© Rozmawiał PIOTR DZIUBAK



Droga krzyżowa z udziałem dzieci i młodzieży. Wybrzeże Kości Słoniowej, 15 kwietnia 2022 r.

Bunt księży

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

W walce o utrzymanie celibatu afrykańscy biskupi są bardziej papiescy od papieża. Boją się, że Watykan obetnie im fundusze i uzna afrykańskich księży za słabszych od duchownych z innych regionów świata.

SPORY O PRZESTRZEGANIE CELIBATU w Kościele katolickim – także wśród kleru – nie są niczym nowym. Ale w przypadku diecezji Man (na zachodzie Wybrzeża Kości Słoniowej) sprawy zaszły bardzo daleko. O czym donoszą frankofońskie media.

„Krucjata” biskupa

Jak przypomina francuski dziennik katolicki „La Croix” w swojej afrykańskiej edycji, konflikt zaczął się w styczniu ubiegłego roku. Bp Gaspard Béby Gnéba, ordynariusz diecezji Man, zaapelował w liście do wiernych, by „mieli odwagę” informowania go o przypadkach księży, którzy są w związkach z kobietami, mają dzieci, dopuścili się nadużyć seksualnych lub przestępstw finansowych. Biskup uznał, że milczenie w takich sytuacjach to „grzech współwiny w obliczu Boga, papieża i Kościoła”. Ubolewał też,

że niektórzy duchowni „zachowują się, jakby celibat został zniesiony, a wstrzeźliwość (seksualna) była kwestią wyboru”.

Hierarcha powoływał się przy tym na papieża Franciszka, który miał mówić o „tolerancji zero wobec takich księży” (choć nie podał źródła tej informacji). Jednocześnie wezwał wszystkich księży, którzy mają żony, partnerki lub dzieci, by opuścili stan kapłański. „Niech przyjdą do mnie jak najszybciej, aby zgłosić swoją rezygnację” – pisał w liście, odczytanym w diecezjalnej stacji radiowej.

Oskarżający i oskarżany

List biskupa wywołał oburzenie wielu księży i parafian. Według „La Croix Africa”, jeszcze przed jego publikacją duchowni skarżyli się na sposób zarządzania diecezją (Béby Gnéba kieruje nią od 2007 r.), zarzucając hierarsze

LUC GNAGO / REUTERS / FORUM

→ brak szacunku, nadużycia władzy i złe gospodarowanie środkami finansowymi. Oskarżali go też, że „nie zachowuje się wobec nich jak ojciec”. Portal Mondeafrique twierdzi wręcz, że oskarżenia o seksualne relacje z kobietami dotyczyły w przeszłości także biskupa.

Gnéba nigdy nie odniósł się do tych zarzutów, choć księży oskarżających go o niewłaściwe postępowanie przyjął i wysłuchał. Wspomniany list miał być konsekwencją tego właśnie spotkania.

Wkracza Watykan

Zbuntowani duchowni diecezji Man zażądali od biskupa publicznych przeprosin, których ten odmówił. Konflikt trwa więc już od wielu miesięcy.

Księża z 54 parafii założyli własne „bractwo”, odmawiając posłuszeństwa swojemu ordynariuszowi. Poprosili też o pomoc episkopat Wybrzeża Kości Słoniowej i papieskiego nuncjusza, domagając się usunięcia biskupa z urzędu.

Pół roku temu Stolica Apostolska wysłała do diecezji Man misję pojednawczą w osobie abp. Rogera Houngbédji z Kotonu (Benin), który spotkał się z obiema zwaśnionymi stronami. Mediacje prawdopodobnie nie przyniosły rezultatu, bo pod koniec grudnia papież Franciszek zdecydował się mianować dla diecezji Man administratora apostolskiego *sede plena* (łac. przy obsadzonej stolicy). Został nim, 27 grudnia minionego roku, kardynał Jean-Pierre Kutwa, emerytowany arcybiskup Abidżanu, przejmując zarządzanie diecezją na czas nieokreślony. Z informacji pozyskanych przez dziennikarzy „La Croix Africa” bp Béby Gnéba udał się na „duchowy odpoczynek”. Formuła *sede plena* oznacza jednak, że – być może – w przyszłości będzie mógł powrócić do pełnienia swojej funkcji.

Przepraszamy za skandal

Po objęciu funkcji przez administratora apostolskiego, przedstawiciele zbuntowanych księży z diecezji Man wydali oświadczenie, w którym „wyrazili najgłębszy żal za wszystko, co się stało”.

„Prosimy o przebaczenie za skandal, który wywołał w ciągu ostatniego roku. Głęboko przepraszamy za próbę, jakiej poddana została nasza rodzina diecezjalna w związku z tą sytuacją i powieramy się waszym modlitwom” – napi-

Celibat nie jest w Afryce
wysoko ceniony,
bo tradycyjnie mężczyzna
powinien mieć żonę.
To problem dla księży.

sali w liście „skruszeni” duchowni (cytat za agencją katolicką ACI Afrique).

Podziękowali też biskupom i arcybiskupom z Wybrzeża Kości Słoniowej za pomoc w rozwiązywaniu konfliktu, wyrażając nadzieję, że kryzys został już zażegnany.

Jednak, jak podaje Mondeafrique, pojednawcza w tonie deklaracja nie oddaje prawdziwych nastrojów wiernych i dużej części kleru. Według poufnych źródeł, cytowanych przez portal, zbuntowani duchowni nie wyobrażają sobie, by bp Béby Gnéba mógł powrócić na swoje stanowisko.

Męskość i czystość

Historia z Wybrzeża Kości Słoniowej, na pozór odległa od problemów polskiego Kościoła, wpisuje się w szerszy kontekst sporów o celibat w Kościele katolickim.

Na kontynencie afrykańskim ta kwestia jest dużo bardziej paląca – i widoczna – bo męskość tradycyjnie wciąż utożsamiana jest z założeniem rodziny i posiadaniem potomstwa. Jeden z największych magazynów francuskojęzycznych w Afryce, „Jeune Afrique”, przytaczał w tym kontekście wypowiedź jednego z europejskich duchownych pracujących w Czadzie.

„Oczywiście są tu księża, którzy dochowują ślubów czystości – mówił kapłan – ale dla wielu z nich jest to ogromnie trudne”. Dlatego – dodaje duchowny – „biskupi czy kardynałowie afrykańscy są w tych sprawach bardziej papiescy niż sam papież. Wynika to po części ze strachu, że Watykan obetnie im fundusze, ale też z dumy – bo nie chcą, by myślano, że księża afrykańscy są słabsi niż ci z innych regionów świata”.

Za i przeciw

Wśród hierarchów katolickich pochodzących z Afryki jest wielu znanych i zago-

rzałych zwolenników utrzymania celibatu w Kościele. Wystarczy wspomnieć choćby kard. Roberta Saraha z Gwinei (sąsiadującej z Wybrzeżem Kości Słoniowej), bliskiego współpracownika Benedykta XVI, który prowadził akcję „oczyszczania” szeregów duchownych z tych, którzy łamią celibat.

Za pontyfikatu Ratzingera Sarah doprowadził z tego powodu do dymisji kilku wysokich hierarchów kościelnych, m.in. z Republiki Środkowoafrykańskiej, Beninu i Demokratycznej Republiki Konga, zarzucając im, że przymykali oczy na powszechną w tamtych krajach praktykę życia księży z ich żonami i dziećmi na oczach parafian.

Z Zambii pochodził też Emmanuel Milingo, były emerytowany arcybiskup Lusaki – słynny swego czasu uzdrowiciel i egzorcysta, który nie tylko domagał się zniesienia celibatu, ale w 2006 r. zerwał z Watykanem i założył ruch pod nazwą „Żonaci księży teraz”. Został ekskomunikowany i wykluczony ze stanu kapłańskiego.

Co na to Franciszek?

Od lat toczy się dyskusja, na ile realne jest zniesienie przez Watykan celibatu albo udzielanie święceń żonatym mężczyznom, przygotowanym i wypróbowanym pod względem doktrynalnym i moralnym (tzw. *viri probati*).

Spodziewano się, że papież Franciszek uchylił tu furtkę przy okazji synodu specjalnego dla Amazonii w 2019 r. Tak się nie stało. Sprawę znów odsunięto w czasie. Na jak długo?

Abp Charles Scicluna z Malty, jeden z najważniejszych urzędników Dykasterii Nauki Wiary, wyraził opinię, że Kościół powinien na nowo przemyśleć, czy warto zachować obowiązek celibatu. „Dlaczego mielibyśmy stracić młodego człowieka, który byłby dobrym księdzem, tylko dlatego, że chce się ożenić? Celibat był opcją do wyboru w pierwszym tysiącleciu chrześcijaństwa” – mówił w wywiadzie dla dziennika „Times of Malta” (w styczniu 2024 r.).

Przypadek Wybrzeża Kości Słoniowej, wcale nie odosobniony, pokazuje, że hierarchowie walczą – przynajmniej słowem – z podwójnym życiem księży. A tylko nieliczni odważają się na refleksję na temat jego przyczyn albo postulowanie zmian.

© SZYMON ŁUCYK

TOMASZ

Stawiszyński: Nadchodzi maszyna



WIELKIE ZAMIESZANIE I DEZORIENTACJA zapanowały na technologicznych rynkach, kiedy pojawił się nowy model językowy o nazwie DeepSeek. Opracowano go, tak przynajmniej głosi wersja oficjalna, w krótkim czasie i za niewielkie pieniądze, marne 6 milionów

dolarów, a dostępny jest na zasadach *open source*, czyli używać go może każdy do woli, przynajmniej na razie. Piszę, że tak głosi wersja oficjalna, bowiem szybko się okazało, że za DeepSeek stoi potężny fundusz High Flyer, który od dawna inwestuje w chińskie projekty sztucznej inteligencji. Ile zatem tak naprawdę DeepSeek kosztował, tego na sto procent nie wiemy, można jednak przypuszczać, że więcej, niż gloszą deklaracje.

A zamieszanie stąd się właśnie wzięło (tak przynajmniej głosi wersja oficjalna), że szybkości i taniości nikt się ponoć nie spodziewał. Za marne 6 milionów dolarów postawić superinteligentnego czata, który rachować i kombinować będzie z podobną efektywnością co, dajmy na to, osławiony ChatGPT? To się do czasu premiery chińskiego modelu wydawało niektórym niemożliwe. W związku z tym natychmiast drastycznie poszybowały w dół akcje firmy Nvidia, produkującej drogie procesory gwarantujące odpowiednią moc obliczeniową, która, jak zakładano, jest podstawą innowacyjności w dziedzinie AI. Chiński model pokazał, że nie jest to aż tak kluczowa sprawa i dlatego właśnie Nvidia w ciągu doby straciła ponad 500 miliardów z kapitalizacji rynkowej (czyli łącznej wartości wszystkich pozostających w obrocie akcji). Masywne spadki zanotowały również korzystające z tych samych procesorów firmy zajmujące się „kopaniem” bitcoinów. Nic dziwnego zatem, że wybuchła panika, przykrywana co i rusz rozmaitymi, zupełnie nieprzekonującymi oświadczeniami, że wszystko jest jak najbardziej w porządku.

Niezależnie jednak od tej paniki, wielu ekspertów podkreśla, że stało się to, co było nieuchronne: pękła wreszcie nadmuchana do niebotycznych rozmiarów bańka AI. Jak wiadomo, sfera start-upów i nowych biznesów wychylonych w przyszłość opiera się w znakomitej mierze na imaginacji. Nie na rzeczywistości, lecz na tym, co sobie jesteśmy w stanie na jej temat wyobrazić. Aż do momentu, naturalnie, w którym ktoś – lub coś – powie „sprawdzam”. Pomimo wielu takich spektakularnych weryfikacji, ta struktura wciąż ma się dobrze.

Ale to kwestia poboczna. W kwestii wielkiego wyścigu o stworzenie prawdziwej sztucznej inteligencji – nie najpotężniejszego żonglera słów i liczb, lecz właśnie inteligencji – dwa inne

wątki, notowane na gorąco, zdają mi się dzisiaj wyjątkowo istotne.

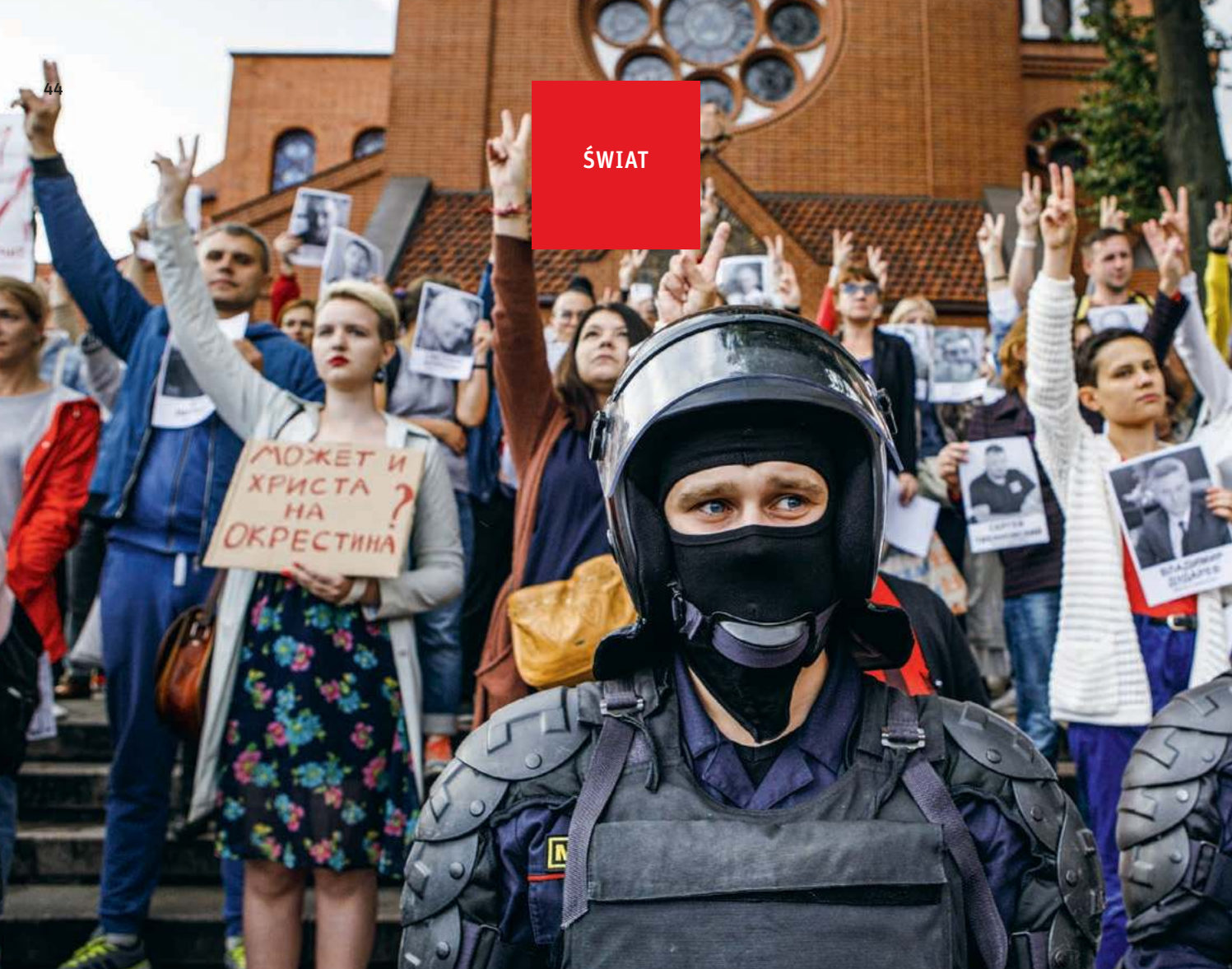
Po pierwsze, głównymi rozgrywającymi na polu tej kluczowej dziś technologii są Stany Zjednoczone i Chiny. A zatem mocarstwa, których mimetyczna rywalizacja – by się posłużyć niepokojącym sformułowaniem René Girarda – jest zasadniczą osią, wokół której obraca się geopolityczna maszynieria. Podobnie jak w sferze militarnej, Europa nie ma tu, przynajmniej na razie, wiele do powiedzenia, nie funkcjonuje autonomicznie, nie rozdaje kart. Może się co najwyżej przyglądać, jak technologiczni giganci prześcigają się w tworzeniu coraz do doskonalszych wynalazków. I jak – z pomocą sprawnych i wpływowych środowisk lobbystycznych – implementują swoje rozwiązania w kolejnych obszarach życia społecznego, ekonomicznego i kulturowego. Żeby się temu realnie przeciwstawić, wiadomo: potrzeba europejskiej konsolidacji i silnych instytucji. Wyłączenie w ten sposób można ograniczać biznes, który – nie demonizując go bynajmniej, ale też nie popadając w naiwną mitologię „niewidzialnych rąk” – z natury dąży do maksymalnego zysku, nie zaś do budowania pomyślnie działającej wspólnoty. Po prostu, zysk często osiąga się kosztem dóbr niezdalnych do monetyzacji: jakości więzi, racjonalności życia publicznego, politycznego itd.

Po drugie, zjawiska, o których tu piszę, są częścią niemożliwego już najprawdopodobniej do zatrzymania i odwrócenia procesu mechanizacji kultury. W cyklu znakomitych esejów (które ukażą się we wrześniu w książce pod tytułem „Against the Machine”) zwrócił na to niedawno uwagę brytyjski pisarz Paul Kingsnorth, niedysiejszy zaangażowany ekolog, dziś nawrócony na prawosławie chrześcijański apologeta i krytyk kultury. Co cechuje ową wielką, potężną „maszynę”, w którą zmienia się nasza kulturowa rzeczywistość? M.in. systematyczne przestranianie każdej sfery życia na policzalność, szybkość, efektywność, automatyzm. Zastępowanie nie tyle nawet ludzi, ile ludzkiej wrażliwości i perspektywy (w tym także wrażliwości moralnej) beznamietnością algorytmu. Bez wątpienia sztuczna inteligencja odgrywa tutaj rolę kluczową. A jeśli, co wydaje się wysoce prawdopodobne, wkrótce dołączy do niej także komputer kwantowy – obdarzony mocą zdolną w mgnieniu oka złamać kody do wszystkich kont bankowych na świecie, ale także wszystkich najtajniejszych i najniebezpieczniejszych danych i zasobów – znajdziemy się nagle w zupełnie innej rzeczywistości.

Nie chodzi tu jednak o to, znowu, żeby demonizować czy straszyć, a jedynie o to, by przeciwstawić się naiwnej idealizacji czy niefrasobliwemu optymizmowi. Zarówno w stosunku do technologii, jak i polityki. Wbrew stereotypowi, oba te obszary są ze sobą ściśle sprzężone. Tym bardziej poważnie powinniśmy traktować stawki, o które toczą się dzisiaj polityczne, biznesowe i technologiczne gry.

©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podcastu „Skądinąd”. Autor książki, m.in. „Potyczek z Freudem”, „Ucieczki od bezradności”, „Reguła na czas chaosu” i „Powrotu fatum”.



HISTORIA ZATACZA KOŁO

Areszty, inwigilacja, wymuszona emigracja duchownych, zamykanie świątyń. Sytuacja Kościoła katolickiego na Białorusi jest gorsza niż w czasach późnego Związku Sowieckiego. Co na to Watykan?

WOJCIECH KONOŃCZUK

WYROK JEST DRAKOŃSKI: 30 GRUDNIA 2024 r. sąd w Mińsku uznał ks. Henryka Okołotowicza, proboszcza parafii w 10-tysięcznym miasteczku Wołożyn, za winnego „zdrady państwa” i skazał na 11 lat więzienia o zaostrzonym rygorze. Szczegóły nie są znane, proces utajniono. To pierwszy na obszarze posowieckim przypadek skazania katolickiego duchownego na karę więzienia z powodów politycznych.

64-letni duchowny polskiego pochodzenia to znacząca postać w białoruskim Kościele. Zaliczany jest do jego części niezłomnej, której reżim Łukaszenki nienawidzi najbardziej. O postawie ks. Okołotowicza niech świadczy to, że w 1984 r., tuż po przyjęciu święceń, był pierwszym księdzem, który po wojnie odprawił mszę w lesie katyńskim.

Skazanie ks. Okołotowicza to wprawdzie najbardziej drastyczny, ale jeden

z wielu przykładów represji wymierzonych w Kościół katolicki. Przytoczmy kilka wybranych.

Fala represji

W maju 2024 r. zatrzymano księży Pawła Lemecha i Andrzeja Juchniewicza ze zgromadzenia oblatów, którzy posługują w sanktuarium Matki Boskiej Fatimskiej w Szumilinie (obwód witebski). Pierwszego skazano na 10 dni aresztu za „nie-



Demonstranci na stopniach „czerwonego kościoła” w Mińsku, 27 sierpnia 2020 r. Dwa lata później świątynię zamknięto pod pretekstem pożaru.

„rozpowszechniania materiałów ekstremistycznych” zatrzymano ks. Jurego Baranoua, proboszcza w Królewszczyźnie (obwód witebski); dostał 10 dni aresztu.

Totalitaryzacja

Od sierpnia 2020 r., gdy po sfałszowanych wyborach prezydenckich w kraju wybuchły masowe protesty, przez areszty przeszło lub nadal w nich pozostaje 31 duchownych katolickich. Co najmniej kilkunastu innych z obawy przed aresztowaniem uciekło za granicę (wśród nich księża z Polski).

Na Białorusi jest mniej niż 500 księży katolickich, represje dotknęły więc przynajmniej co dziesiątego. Międzynarodowa organizacja Pomoc Kościołowi w Potrzebie ocenia, że tylko w Nikaragui więcej księży poddawanych jest szykanom i aresztom z powodów politycznych.

Represje przeciw Kościołowi są częścią działań wymierzonych w społeczeństwo obywatelskie, zmierzających do spacyfikowania wszelkich przeciwników (realnych i wymagowanych) bądź też tych, którzy mogliby stać się nimi w przyszłości. Skala represji na Białorusi jest większa niż w Rosji.

Reżim nieustannie przykręca śrubę, zastrzegając prawo, zamykając tysiące ludzi do więzień i wymuszając emigrację dziesiątków tysięcy. Codziennością są zastraszanie, cenzura, ideologizacja szkolnictwa i drakońskie kary choćby za oglądanie zakazanych mediów w sieci.

W sytuacji postępującej totalitaryzacji reżimu byłoby dziwne, gdyby nie ucierpiały również Kościoły i inne związki wyznaniowe. Władze najłatwiej poradziły sobie z Cerkwią prawosławną: jeszcze w 2020 r. wymieniono jej zwierzchnika, a nielicznych niepokornych duchownych spacyfikowano. W efekcie białoruski dyktator może liczyć na lojalność Cerkwi.

Za to Kościół katolicki został uznany za poważniejszego przeciwnika.

Z Polski na pomoc

Cofnijmy się o 35 lat. Z okresu sowieckiego Kościół katolicki na Białorusi wyszedł w ciężkim stanie. Przetrwiała garstka księży, kilkadziesiąt otwartych

świątyń, setki zniszczonych, zateizowane społeczeństwo. Trzeba było zaczynać niemal od początku.

Przez kolejne lata Kościół katolicki, liczący tu dziś ok. 1-1,5 mln wiernych, przeszedł długą drogę. Jego odbudowa byłaby niemożliwa bez wsparcia z Polski. Na Białoruś (podobnie jak na Ukrainę) przyjechały setki duchownych i siostr zakonnych z Polski, przyczyniając się do stopniowego odrodzenia życia religijnego. Ich olbrzymia rola wciąż pozostaje słabo znana i zbadana.

Prowadzono więc ewangelizację, remontowano i budowano kościoły, powstały dwa seminaria duchowne.

Z czasem białoruski Kościół katolicki stał się Kościołem narodowym, marginalizując swoje polskie korzenie i przechodząc na pozycję białoruskie. Nie odbywało się to zresztą bez kontrowersji i sprzeciwu mniejszości polskiej (to jednak temat na inną opowieść).

Wraz z narastającym od połowy lat 90. autorytaryzmem, reżim Łukaszenki zaczął coraz podejrzliwiej patrzeć na księży z Polski. Zaczęto ich usuwać: coraz trudniej było im uzyskać wizę, niektórym nakazano wyjazd. Liczba duchownych z Polski stopniała do 202 w 2005 r., 120 w 2016 r. oraz zaledwie ok. 50 obecnie.

Powrót do przeszłości

W kraju rządzonym przez Łukaszenkę, podobnie jak w czasach sowieckich, Kościół katolicki stał się podejrzany o „działania na szkodę państwa” (utożsamionego z reżimem). Z jednej strony problemem dla władz byli księża-Polacy (przyjezdni i miejscowi), mniej lub bardziej otwarcie oskarżani o agenturalność. Z drugiej zaś podporządkowanie Kościoła zwierzchnictwu Watykanu, który w Mińsku budzi podejrzliwość przeplataną z fascynacją.

Władze zaczęły przykręcać śrubę nie tylko księżom, w szczególności uderzając w najbardziej charyzmatycznych duchownych, cieszących się autorytetem wiernych. Celem było podważenie popularności Kościoła w społeczeństwie i jego spacyfikowanie – zwłaszcza po tym, jak w 2020 r. śmiał on zabrać głos w obronie bitych demonstrantów.

Reżim musiał pokazać, że nie żartuje i wymierzył cios w zwierzchnika: abp Tadeusz Kondrusiewicz, zasłużony dla odbudowy życia religijnego na Białorusi →

legalne pikiety”. Z obawy przed dalszym prześladowaniem, po jakimś czasie ratował się wyjazdem do Polski.

Ks. Juchniewiczza władze nie wypuściły. Jego „winą” było to, że wyraził solidarność z narodem ukraińskim i publicznie modlił się o zakończenie wojny. Kilukrotnie przedłużano mu areszt. Wreszcie reżim przestał bawić się w pozory i wszczął wobec niego sprawę karną, pod nieujawnionym zarzutem. Dopiero 27 grudnia okazało się, że księdza – mającego nieposzlakowaną opinię – oskarżono o przestępstwa „przeciw integralności seksualnej nieletnich”. Jest tajemnicą poliszynela, że służby zwykły szantażować duchownym, grożąc im postawieniem takich zarzutów.

Z kolei ks. Paweł Jaroszewicz z Pruzany (obwód brzeski) został aresztowany w sierpniu 2024 r. za subskrybcję „ekstremistycznych mediów”. Po kilku dniach wyszedł, ale musiał zapłacić grzywnę. Natomiast w październiku pod zarzutem

→ i w Rosji, nie został wpuszczony do kraju (choć jest obywatelem białoruskim), gdy w końcu sierpnia 2020 r. wracał z krótkiego wyjazdu do Polski. Wprawdzie po trzech miesiącach wymuszonej emigracji pozwolono mu wrócić (po interwencji Watykanu), ale ceną była jego rezygnacja ze stanowiska głowy białoruskiego Kościoła.

Skoro można było uderzyć w abp. Kondrusiewicza, to KGB (tajna policja nazywa się tu tak samo jak w czasach sowieckich) i inne służby tym bardziej dostały zielone światło do uderzenia w zwykłych księży.

Represyjne prawo

W grudniu 2023 r. reżim znowelizował ustawę „O wolności sumienia i organizacjach religijnych”, która już wcześniej drastycznie ograniczała – i tak już nieznańczącą – wolność działania wspólnot wyznaniowych. Wszystkie otrzymały nakaz, aby do lipca 2025 r. przejść ponowny proces rejestracji, przy tym dotyczy to każdej parafii oddzielnie. Nowe regulacje znacząco to utrudniły, zarazem zwiększając kontrolę nad życiem religijnym. Niezmieniony pozostał zapis o „szczególnej roli Cerkwi prawosławnej”.

Choć proces ponownej rejestracji parafii katolickich (jest ich ok. 500) wciąż trwa, już wiadomo, że będzie ich znacznie mniej. W obwodzie witebskim w ciągu roku 2024 ich liczba spadła z 94 do 85, a w mińskim z 98 do 97 parafii. W kraju jest wiele parafii z małą liczbą wiernych i nie wszyscy są w stanie uporać się z nowymi skomplikowanymi procedurami. Mniej parafii to mniej pracy dla KGB.

Nowe prawo uderzyło też w seminarium w Pińsku, istniejące w latach 1925-39, a następnie reaktywowane w 2001 r. Wygląda na to, że instytucja ta, cierpiąca ostatnio na niewielką liczbę kandydatów na duchownych, nie przeszła procesu rejestracji. W kraju zostało już tylko seminarium w Grodnie. W 2024 r. wstąpiło do niego 10 kleryków, w porównaniu z czterema w 2023 r. i czterema rok wcześniej.

Zamknięta świątynia

Jeszcze przed przyjęciem represyjnego prawa władze postanowiły – podobnie jak w przypadku abp. Kondrusiewicza – pokazać, że nie żartują, i zamknęły kościół św. Symeona i św. Heleny w Mińsku. Ta jedna z najważniejszych świątyń



Ks. Okołotowicz dostał wyrok 11 lat więzienia

na Białorusi, zamknięta w latach 1932-90, stała się symbolem odrodzenia katolicyzmu po okresie komunizmu. Zbudowany z czerwonej cegły na początku XX w., kościół cudem przetrwał epokę sowiecką, choć tuż obok wzniesiono budynki rządowe i wielki pomnik Lenina.

We wrześniu 2022 r. w kościele wybuch niewielki pożar, zaproszony w dziwnych okolicznościach. Władze natychmiast wydały nakaz jego zamknięcia, a po kilku dniach odebrały parafii – jednej z największych w kraju (ok. 10 tys. wiernych) – prawo jego użytkowania.

Odtąd wierni słyszą, że aby otworzyć na nowo kościół, niezbędny jest remont – choć stan techniczny świątyni był bardzo dobry. Do dziś jest ona zamknięta naглуcho. Ponadto w połowie 2024 r. władze wymusiły dymisję ks. Władysława Zawalniuka, od 1990 r. niezmiennie proboszcza tej parafii i kolejnego zasłużonego kapłana białoruskiego Kościoła.

Co myślał papież?

Jaką postawę wobec tej sytuacji zajmuje Stolica Apostolska? Przywołajmy jedno wydarzenie. 19 września 2024 r. w Watykanie miało miejsce spotkanie młodych biskupów z papieżem. Jeden z nich powiedział: „Wasza świętobliwość, jestem Andriej Znosko, biskup z Białorusi, niewielkiego kraju graniczącego z Rosją i Ukrainą. Zostałem wyświęcony zaledwie tydzień temu i chciałem poprosić o radę. Nie możemy i nie chcemy zmieniać swoich sąsiadów. Co powinniśmy zrobić, aby zakończyła się wojna między naszymi sąsiadami?”.

Papież odparł, że zna Białoruś, pamięta o wyświęceniu dwóch nowych biskupów dla tego kraju i poprosił o „przekazanie pozdrowień Łukaszence”. Dodał też: „Wy na Białorusi świetnie wiecie, że nigdy nie można zamykać drzwi dla negocjacji, i że należy trzymać je otwarte. Dobre efekty

można osiągnąć tylko będąc gotowym słuchać i słyszeć się nawzajem”.

Czy Franciszek miał na myśli relacje rosyjsko-ukraińskie, czy sytuację Kościoła na Białorusi? Można tylko spekulować.

Faktem jest, że w ostatnich latach Watykan nigdy nie zabrał głosu w obronie białoruskich księży i wiernych. Wpisuje się to w długą tradycję polityki wschodniej dyplomacji watykańskiej (przerwaną tylko pontyfikatem Jana Pawła II), której znakiem rozpoznawczym jest silne, graniczące z naiwnością przekonanie, że należy za wszelką ceną utrzymać kanały dialogu – kiedyś z reżimem sowieckim, dziś z posowieckimi.

Trudno jednak nie widzieć, że z każdym kolejnym rokiem Kościołowi na Białorusi żyje się trudniej, a Watykan – utrzymując demonstracyjnie poprawne relacje z reżimem – nie jest w stanie tego zmienić.

„Efektywna współpraca”

Kilka miesięcy wcześniej Łukaszenka przesłał papieżowi życzenia na rocznicę jego pontyfikatu, uznając stosunki Mińska z Watykanem za przykład „najbardziej efektywnego sposobu współpracy”. Padły też słowa o „wspólnych celach”, jak obrona tradycyjnej rodziny.

W grudniu 2024 r. Mińsk podjął decyzję o otwarciu ambasady przy Watykanie, co zwyczajowo uznaje się za demonstrację dobrych relacji. Jednocześnie reżim zwiększa presję na białoruski Kościół – uznając, że powinien być on całkowicie lojalny, a nawet że powinien stać się częścią maszyny kontroli nad społeczeństwem.

Niedługo po tym, jak papież pozdrowił Łukaszenkę, abp Kondrusiewicz, który kilka miesięcy wcześniej przeżył zawał serca, wraz ze wspomnianym ks. Zawalniukiem odwiedził sanktuarium w Szumilinie – parafię więzionego ks. Juchniewicza. W kazaniu były już zwierzchnik białoruskiego Kościoła, który pozostaje jego sumieniem, przywołał tajemnice fatimskie, przypominając, że się sprawdziły: „Bez rozlewu krwi, bez wielkich wstrząsów, Związek Sowiecki rozpadł się. Otrzymałmy wolność wyznania”. Słowa o uderzającej dwuznaczności.

© WOJCIECH KONOŃCZUK

Autor jest dyrektorem Ośrodka Studiów Wschodnich.



Od lewej: szkolenie żołnierzy batalionu „Szkwał”, złożonego z byłych więźniów, gdzieś w obwodzie donieckim. „Fil”, rocznik 1997. Jesień 2024 r.

Nie czuję się mięsem

TEKST I ZDJĘCIA **ANTONINA PALARCZYK**
Z OBWODU DONIECKIEGO (UKRAINA)

W ukraińskiej armii służy kilka tysięcy byłych więźniów: na wojnę zgłosili się na ochotnika. Co ich motywuje? Oto opowieść jednego z nich.

MAM PSEUDONIM „FIL”, JESTEM Z ROcznika 1997. Pseudo nosiłem, zanim trafiłem do wojska. Tak wołali na mnie na dzielnicy.

Gdy 24 lutego 2022 r. zaczęła się inwazja, chciałem walczyć. Ale nie mogłem zostawić żony z synkiem. Nie wtedy. Nasz Maksym urodził się kilkanaście dni wcześniej, 6 lutego.

Wcześniej dobrze zarabiałem, życie się układało. Ale przyszła wojna, straciłem pracę. Przeprowadziliśmy się do teściów. To był ciężki czas, męczyło mnie życie na cudzym. W końcu żona pojechała do Polski, tam bezpiecznie, a ja do Kijowa, żeby zarobić.

OD JEJ WYJAZDU zaczęły się problemy. Klóciliśmy się dużo przez telefon. Ona zazdrosna i ja zazdrosny. W końcu uznaliśmy, że się rozwodzimy. Jak na złość

chwilę po tym opublikowała swoje zdjęcie z jakimś typem. Przybiło mnie to. Zacząłem pić. Miesiąc piłem, narozrabiałem w markecie z artykułu 185. Posadzili mnie na sześć lat. Przesiedziałem siedem miesięcy, aż pojawiła się możliwość zaćnięcia się.

Przychodzili do nas ludzie z różnych brygad. Wahałem się. Możliwości było wiele. Czekałem na 3. Szturmową, ma opinię jednej z najlepszych. Ale nie doczekałem się. Trafiłem na 28. Brygadę. Najpierw była wojskowa komisja lekarska, która zwykle stwierdza przydatność do służby. Po komisji sąd, a potem słynna Desna, ośrodek szkoleniowy.

Desna jak to Desna, bardziej wychowuje w dyscyplinie, niż uczy czegoś przydatnego. Wojaczki nauczyłem się dopiero od instruktorów w brygadzie, w batalionie „Szkwał”, w całości złożonym z byłych więźniów. Nauczyłem się robić wszystko machinalnie. To ratuje życie, bo gdy wali w twoją stronę wszystko, z czego da się strzelać, nie możesz być sparaliżowany przez strach. Działasz według automatyzmów.

Ale i doza strachu jest potrzebna. Znałem dwóch takich, byli zbyt pewni siebie. Niech będzie im dane królestwo niebieskie. Za bardzo się wychylili.

DZIŚ W NOCY wróciłem z pozycji. Na naszym odcinku daliśmy Rosjanom wciry. Naprawdę konkretny rezultat. W dwa dni odbiliśmy dwie ulice. Stracili 40 ludzi. Co do przeciwnika: duża część Rosjan to więźniowie. Ale to my jesteśmy już prawdziwymi eks-więźniami. Zresztą

nie używamy tego słowa. Teraz jesteśmy w Zbrojnych Siłach Ukrainy.

Podoba mi się, że jestem w oddziale w całości złożonym z chłopaków, którzy wiedzą, gdzie i po co przyszli. Nie ma tu nikogo z ulicznej łapanki zarządzanej przez komisje uzupełnień. Z kimś, kto nie trafił do wojska dobrowolnie, nie poszedłbym na szturm.

W naszym batalionie wszyscy są zmotywowani. Pokazaliśmy, na co nas stać. Trudno to powiedzieć o rosyjskich zekach [od *zakłujczonnyj*, zamknięty; tak w więziennym żargonie określa się osadzonych – red.]. Oni nie wiedzą, po cholere są tutaj. Jednorazowi żołnierze, jednorazowo rzućni do szturmu. Rozmawiałem z tymi, których wzięliśmy do niewoli.

DWA DNI TEMU zginął u nas chłopak, który siedział przedtem w więzieniu na okupowanym terytorium. Niech mu będzie dane królestwo niebieskie. Mówił, że gdy Rosjanie zajęli ten teren, rozstrzelali połowę więźniów. Dużej części z pozostałych udało się uciec. On też uciekł. Trafił na naszych z obrony terytorialnej. Prosił ich: zabierzcie mnie, chcę walczyć, chcę wrócić i powyrzynać tych, którzy nas rozstrzelali! O tak, chłopak miał motywację. I udowodnił to na pierwszym zadaniu, sam położył paru kacapów! Głupio zginął. Zbyt się odprężył, zbyt rwał do przodu. Wojna to nie strzelanka online.

Śmierć brata z oddziału to najcięższe z doświadczeń. Zdążyłem pożegnać kilku. Ostatni to Roma. Byliśmy w jednej drużynie. Na zadaniu zaszła nam w plecy czwórka Rosjan, wbiegli do piwnicy. Nasi

→ operatorzy dronów nakierowali na nich naszą drużynę. Nieźle się natrudziliśmy, by znaleźć ich w zgliszczach, które kiedyś były wioską. Wrzuciliśmy im do piwnicy granaty. Ich dowódcę rozsmarowaliśmy na ścianie piwnicy, a trzej się poddali.

Dostałem rozkaz, żeby ich ode-skortować. Pozostali z naszej grupy, w tym Roma, mieli zostać i się ukryć. Nie zdążyli. Nie wiem, czy to los, czy co innego. Roma miał najlepszą kamizelkę, ze wszystkimi bajerami. Nie uchroniła go.

ARTYKUŁ 115. KODEKSU KARNEGO – morderstwo z premedytacją. Nie wiem, czy tam na górze zastanawiają się nad przyjmowaniem do wojska także tych, co siedzą z artykułu 115. Sądzę, że byliby z nich zmotywowani żołnierze. Ci ludzie siedzą za naprawdę ciężkie przewinienia. Dla nich byłaby to okazja, aby odpokutować. Dać sobie szansę.

Więzienie degraduje. Dla mnie to była męka. W zamknięciu niszczejesz. Zaczynasz przypominać wściekłego psa. Więzienie nie przystosuje cię do powrotu do społeczeństwa, przeciwnie: wyjdiesz i będziesz znów zajmować się tym samym gównem.

Widzę wielką motywację u chłopaków, żeby wyrwać się z tego. Połowa z siedmiuset osadzonych w „Martusiwce” – Boryspolskiej Kolonii nr 119, gdzie siedziałem – wnioskuje o dołączenie do armii. Ja sam myślę, żeby zostać tu na długo.

JEST COŚ, co powiedziałbym każdemu z więźniów, który się waha, czy się zgłosić: kurwa, chłopaki, jeśli pójdziecie walczyć, znów poczujecie się ludźmi! Jeśli przeżyjecie – bo to nie takie proste – ale jeśli przeżyjecie, czeka was jakaś przyszłość.

Są brygady, które chłodno odnoszą się do byłych więźniów. Bywa ciężko. Poginęło już tyłu z nas. U nas, dzięki Bogu, wszystko zajebicie. Nie taki czort straszny, jakim go malują. I udało nam się z dowództwem. Może to jest najważniejsze: dowództwo. Dobra, jak chcecie, chłopaki, to chodźcie do nas, do 28. Brygady. Tu nie rzucają ludzi na szturm jak jakimś armatnim mięsem. © ANTONINA PALARCZYK

Zamiana ról nad Dniestrem

PIOTR OLEKSY

Unia Europejska dostarczy gaz do Naddniestrza – prorosyjskiej republiki, od 1 stycznia pozbawionej jego dostaw z Rosji.

To przełomowa decyzja i szansa: może doprowadzić do wypchnięcia Moskwy z tego regionu.

CIAĞNIE SIĘ PRZEZ PONAD 200 KM – wężsiutki, bo na szerokość liczący nie więcej niż 35 km pas ziemi, przyklejony do południowego (Henryk Sienkiewicz napisałby: multańskiego) brzegu wijącego się tutaj Dniestru.

Naddniestrze, zamieszkane przez niepełna pół miliona ludzi, istnieje jako parapaństwo już ponad 30 lat. Formalnie region ten, którego „stolicą” jest Tyraspol, należy do Mołdawii. Ale faktycznie ode-rwał się od niej na początku lat 90. XX w., po rozpadzie Związku Sowieckiego – i od-tąd jest pod kontrolą Rosji oraz miejscowych oligarchów.

W ostatniej dekadzie funkcjonowanie Naddniestrza opierało się na trzech filarach: obecności rosyjskiego wojska, bezpłatnych dostawach gazu z Rosji i relacjach handlowych z Zachodem. Teraz kontrolę nad sektorem energetycznym Naddniestrza przejmie Unia Europejska.

O co chodzi w tej grze? Dlaczego może to być punkt zwrotny dla całego regionu?

Energetyczny kryzys

Cofnijmy się o miesiąc. Od 1 stycznia tego roku w Naddniestrzu z powodu braku gazu stoją prawie wszystkie fabryki, nie działa większość instytucji publicznych (w tym szkół i przedszkoli), ludzie są pozbawieni ciepłej wody w kranie, a mieszkania muszą dogrzewać piecykami elektrycznymi.

O tym, że problem z dostawami gazu do tego regionu może się pojawić, było wiadomo już od końca sierpnia 2024 r. Wówczas to Kijów zapowiedział, że nie przedłuży umów z Gazpromem na jego tranzyt przez swoje terytorium – w tym na tranzyt do Naddniestrza.

W Mołdawii do tej zapowiedzi podchodzono z dużym spokojem, wycho-

dząc z przekonania, że jest kilka sposobów na rozwiązanie problemu. Rząd w Kiszyniowie już od dwóch lat nie kupuje gazu z Rosji na własny użytek. Prywatni użytkownicy i firmy korzystają z surowca kupowanego na rynkach europejskich.

Jednak przez cały czas Mołdawia utrzymywała relacje z Gazpromem – właśnie po to, by zaopatrywać Naddniestrze, za które czuje się mimo wszystko odpowiedzialna. Większość mieszkańców tego obszaru ma mołdawskie obywatelstwo.

Korzystny układ (do czasu)

Do tej pory gospodarka i budżet Naddniestrza były całkowicie uzależnione od gazu z Rosji – głównie dlatego, że parapaństwo nie musiało za niego płacić. Dzięki temu lokalne fabryki mogły oferować konkurencyjne ceny, a oligarchowie z holdingu „Szeryf” – kontrolują oni cały region – mogli rozwijać swoje interesy.

Warto zaznaczyć, że pośrednio na całym tym układzie korzystała również Mołdawia. Do niedawna 80 proc. energii elektrycznej, zużywanej przez to państwo, pochodziło bowiem z elektrowni Mołdawska GRES, która znajduje się na terenie Naddniestrza. Dzięki darmowemu gazowi z Rosji elektrownia oferowała Mołdawianom bardzo korzystne ceny.

W listopadzie 2024 r. Kiszyniów zwrócił się do Moskwy z propozycją, by dostawy do Naddniestrza kontynuować drogą okrężną: przez Turcję i Bałkany. Rosja uzależniła jednak zmianę drogi dostaw od spłaty rzekomego długu (ponad 700 mln dolarów), jaki według Gazpromu ma u niego rząd Mołdawii (w istocie niezależny audyt wykazał, że zadłużenie to wynosi raptem kilka milionów dolarów).



Walentyna Hora (z lewej), lat 65, używa latarki w smartfonie, aby obsłużyć klientów w swoim sklepie. Wyłączenia prądu dotknęły także jej wioskę Varnița w Naddniestrzu. 17 stycznia 2025 r.

Był to oczywisty pretekst Kremla do wstrzymania dostaw – i przez to do wywołania kryzysu politycznego w Mołdawii. Bo rosyjskie i naddniestrzańskie media, a także część mołdawskiej opozycji, o całą sytuację obwiniały prozachodni rząd w Kiszyniowie. Do tego Mołdawska GRES wstrzymała sprzedaż prądu, więc Kiszyniów musiał przestawić się na droższą energię importowaną z Rumunii.

Moskwa liczyła, że wszystko to doprowadzi do takiego kryzysu, iż prozachodni obóz przegra wybory parlamentarne, które odbędą się w Mołdawii jesienią tego roku.

Odwracanie zależności

Gdy więc 1 stycznia gaz przestał płynąć do Naddniestrza, nad regionem zawisła groźba wręcz katastrofy humanitarnej. Zapobieżono jej na razie dzięki zgromadzonym wcześniej zapasom węgla – pozwalają one nadal wytwarzać prąd. Dopóki jest on w gniazdkach, dopóty działają piecyki elektryczne. Szacowano, że węgla starczy na 50 dni.

Z kolei minimalne zapasy gazu, które już są na wyczerpaniu, pozwalają zaopatrzyć domowe kuchenki – można więc gotować. Te jednak się kończą, co grozi także poważnymi skutkami technicznymi: jeśli system gazociągowy „zapowietrzy się”, to do jego ponownego uruchomienia będzie potrzebne kilka miesięcy.

Wywołany przez Rosję kryzys od początku był postrzegany przez Zachód jako szansa na zmianę zależności energetycz-

nej Naddniestrza. Kiszyniów oferował Tyraspolowi pomoc w zakupach i w dostarczaniu gazu, stawiając przy tym tylko jeden warunek: musi się to odbywać na rynkowych zasadach. Innymi słowy, za ten gaz Naddniestrze musiałoby płacić.

Jednak tamtejsi oligarchowie odmawiali, licząc na pomoc Moskwy. Interes strategiczny Kremla był jak dotąd zgodny z ich interesem ekonomicznym. O ile dla Rosji Naddniestrze było narzędziem nacisku na Mołdawię (i Ukrainę), o tyle dla oligarchów była to prawdziwa maszyna do zarabiania pieniędzy – tyle że właśnie kosztem uzależnienia od rosyjskiego gazu.

Odwrocenie zależności energetycznej wymusiłoby więc zmianę całego modelu gospodarczego – dodatkowo uzależniając Naddniestrze od relacji z Kiszyniowem.

Bruksela wchodzi do gry

Ponieważ kryzys trwał kolejne styczniowe tygodnie i narastał, Rosja postanowiła zweryfikować swoje podejście. Wadim Krasnosielski, faktyczny lider nieuznanej republiki, po wizycie w Moskwie ogłosił, iż Naddniestrze otrzyma gaz od Rosji jako pomoc humanitarną. Po jakimś czasie okazało się jednak, że „pomoc” zamieniła się w kredyt, za który Tyraspol miałby kupować gaz na rynkach europejskich (za pośrednictwem Kiszyniowa). Do tego Rosja chciała stawiać Mołdawii warunki odnośnie do sposobu realizowania tych transakcji.

Zwrot akcji nastąpił w poniedziałek 27 stycznia: Komisja Europejska zapro-

ponowała, że wydzieli 30 mln euro na zakup gazu dla Naddniestrza na okres od 1 do 10 lutego. Za tę kwotę miałyby zostać zakupiona ilość gazu wystarczająca dla wznowienia pracy elektrowni Mołdawska GRES na pełnej mocy, co pozwoli na dostarczanie prądu również dla Mołdawii.

Jasne jest też, że po tym okresie próbnym współpraca może być kontynuowana – Bruksela zapowiedziała szeroki i wieloletni pakiet wsparcia dla sektora energetycznego w Mołdawii, którym może zostać objęte również Naddniestrze.

Co więcej, już teraz Kiszyniów pożyczyl Tyraspolowi 3 mln metrów sześciennych gazu, które mają pozwolić utrzymać ciśnienie w systemie, aby uniknąć wspomnianego „zapowietrzenia”.

■ ■ ■

Zdecydowany ruch Brukseli to szansa na trwałą energetyczną reorientację Naddniestrza i jeszcze ściślejsze związanie go z Mołdawią oraz Unią. Jeśli ten model współpracy się utrzyma, lokalna gospodarka będzie zależna od Unii, a nie od Rosji. Byłby to znaczący krok w stronę reintegracji państwa – i poluznienia relacji Tyraspola z Moskwą.

A do całej tej sytuacji przyczynił się sam Kreml – licząc na to, że za sprawą kryzysu energetycznego doprowadzi do zmiany władzy w Mołdawii. ©

Autor pracuje na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu i w Instytucie Europy Środkowej w Lublinie; stały współpracownik „TP”, autor książki o Naddniestrzu i wyspie Wolin.



Wirus wraca na globalną agendę

AGATA KAŻMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Znów mamy spór o przyczynę epidemii covidu. Mianowany przez Donalda Trumpa nowy szef CIA uważa, że wirus powstał sztucznie i wydostał się z laboratorium w Wuhan.

W CIĄGU PIĘCIU LAT, JAKIE MIJĄ właśnie od wybuchu globalnej pandemii koronawirusa, Centralna Agencja Wywiadowcza powtarzała, iż nie ma dowodów, aby jednoznacznie stwierdzić, czy wirus ten pojawił się na rynku w chińskim Wuhan, czy też rozprzestrzenił się w wyniku wypadku – wycieku z Instytutu Wirusologii, który ma siedzibę w tym mieście. Za bardziej prawdopodobną CIA uważała jednak dotąd hipotezę o naturalnym pochodzeniu Covid-19.

Dzisiaj ta główna amerykańska agencja wywiadowcza zmienia zdanie – choć nadal przyznaje, że „nie ma żadnych nowych informacji w tej sprawie”, zaś opublikowane właśnie jej ustalenia mają „niską pewność”. Co oznacza, że dowody są niepełne, niepewne lub wewnętrznie sprzeczne.

NOWY SZEF, NOWA OCENA | Temat pochodzenia wirusa SARS-CoV-2 jest w świecie cały czas żywy. Podnoszony był także przed oraz po ostatnich wyborach prezydenckich w USA. Odchodząca administracja prezydenta Joeego Bidena ogłosiła więc kilka tygodni temu, że nie ma nic

przeciwko ponownemu przeglądowi dowodów w sprawie źródeł pandemii.

Tymczasem 24 stycznia stanowisko nowego szefa CIA objął John Ratcliffe – polityk Partii Republikańskiej, w przeszłości członek Izby Reprezentantów. Podczas poprzedniej kadencji Donalda Trumpa był już dyrektorem wywiadu narodowego. Teraz, zaraz po odtajnieniu nowego raportu CIA – z nową już oceną – Ratcliffe powiedział (w wywiadzie dla portalu Breitbart News), że nie chce, „aby CIA stała na uboczu debaty o początkach pandemii”.

W minionych czterech latach, gdy prezydentem był Biden, Ratcliffe oskarżał CIA o – jego zdaniem – ukrywanie prawdy na ten temat. Np. w swoim tekście, opublikowanym na portalu Fox News w 2021 r., stwierdził, że „prawdziwy problem” nie tkwi w tym, iż CIA nie wie, że „wirus, który zabił ponad milion Amerykanów, pochodził z laboratorium kontrolowanego przez chińską partię komunistyczną, które pracowało także dla chińskich sił zbrojnych”, ale że to odkrycie ma „ogromne konsekwencje geopolityczne, którym administracja Bidena nie chce stawić czoła”.

Ówczesny prezydent Trump i prezydent Chin Xi Jinping. Autor tego muralu, namalowanego w pierwszych miesiącach pandemii, chciał zwrócić uwagę na temat covidu, który obaj przywódcy początkowo ignorowali.

Mauerpark w Berlinie, 27 kwietnia 2020 r.

„CHINY ZAPŁACĄ” | W zasadzie to samo mówił i mówi Donald Trump, którego – gdy był wcześniej prezydentem, do stycznia 2021 r. – oskarżano o katastrofalne błędy w pierwszej fazie walki z pandemią (m.in. proponował stosowanie w leczeniu środków do dezynfekcji). Trump od lat oskarża Chiny o wywołanie pandemii; w przeszłości domagał się już ich ukarania.

Dzisiaj wtórują mu inni przedstawiciele amerykańskich władz. Nowy doradca ds. bezpieczeństwa narodowego Mike Waltz oświadczył, że „ci, którym przyklepiono łatę zwolenników teorii spiskowych” w sprawie Covid-19, „cały czas mieli rację”. Z kolei szef senackiej komisji wywiadu, republikanin Tom Cotton, stwierdził wręcz, że należy upewnić się, iż „Chiny zapłacą za wypuszczenie na świat tej zarazy”.

Amerykańskie agencje wywiadowcze – w sumie jest ich osiemnaście – nie mają jednoznacznego zdania odnośnie pochodzenia pandemii. W raporcie na ten temat, który został opublikowany w sierpniu 2021 r. (już za rządów Bidena) przez Biuro Dyrektora Wywiadu Narodowego, za wersją o laboratoryjnym pochodzeniu wirusa opowiadał się jedynie wywiad Departamentu Energii. Rok później dołączyło do niego Federalne Biuro Śledcze (FBI).

Nawet jednak w tym „laboratoryjnym” scenariuszu nie ma mowy o tym, że jest to broń biologiczna, a jedynie, że możliwe jest, iż powstały w sposób naturalny wirus był badany w Instytucie Wirusologii w Wuhan, i że wskutek błędu lub usterki technicznej mogli się zarazić nim ludzie tam pracujący.

PEKIN SIĘ PRZYŁOŻYŁ | Hipotezę, że wirus, który wywołał pandemię, został wyprodukowany w laboratorium, zdecydowanie odrzucają naukowcy. Badania wykazują jednoznacznie, że powstał on w wyniku ewolucji, a nie inżynierii genetycznej (w naturze istnieją co najmniej trzy wirusy w 96 proc. identyczne z SARS-CoV-2, których nosicielami są nietoperze).

Co więcej, publikowane w literaturze naukowej analizy przestrzenne rozprzestrzeniania wirusa na terenie Wuhan także dość jednoznacznie wskazywały, że pierwsze przypadki choroby skupiały się wokół targu, a nie Instytutu Wirusologii.

Do podsycania teorii, że wirus powstał w laboratorium, przyłożyli się jednak sami Chińczycy. Jeszcze w czasie pandemii utrudniali pracę międzynarodowych ekspertów wysłanych do Wuhan i nie chcieli wpuścić ich do niektórych laboratoriów Instytutu. Latem 2021 r. Tedros Adhanom Ghebreyesus, dyrektor generalny Światowej Organizacji Zdrowia (WHO), przyznał, że nie można wykluczyć, iż źródłem pandemii był laboratoryjny wypadek, bo Chińczycy nie dzielą się wszystkimi posiadanymi danymi.

31 grudnia 2024 r. – dokładnie pięć lat po tym, jak Miejska Komisja Zdrowia w Wuhan ogłosiła, że w mieście pojawiła się „znaczna liczba przypadków wirusowego zapalenia płuc” – WHO zaapelowała do Pekinu, by ten wreszcie podzielił się swoimi danymi o początkach pandemii. „W dalszym ciągu wzywamy Chiny do udostępnienia danych i zapewnienia nam dostępu, byśmy mogli zrozumieć źródła Covid-19” – pisze WHO. I dodaje: „To imperatyw moralny i naukowy. Bez transparencji i współpracy świat nie może odpowiednio przygotować się do przyszłych epidemii i pandemii”.

Do dziś na świecie odnotowano 777 mln zachorowań na covid; ponad 7 mln ludzi zmarło.

DLACZEGO TEMAT ODŻYŁ? | Z jakiego powodu nowy szef CIA wraca teraz do tematu przyczyn pandemii? Coraz bardziej wojowniczy język nowej administracji USA może sugerować, że kwestia pochodzenia wirusa mogłaby być wykorzystywana przez Waszyngton jako narzędzie w narastającym konflikcie z Pekinem. A to, w przypadku np. nałożenia na Chiny obostrzeń handlowych, które mogłyby utrudnić życie także Amerykanom, pomoże je usprawiedliwić. Przynajmniej przed własną opinią publiczną. ©

Giganci znad Nilu

ZBIGNIEW ROKITA Z SUDANU POŁUDNIOWEGO

Wygrał niepodległość, ale przegrał pokój: Sudan Południowy, najmłodszy kraj świata, doświadcza wojny, korupcji i głodu. Gdy zapytać miejscowych o pozytywne historie, mówią o swojej reprezentacji w koszykówce.

BYŁ ROK 2021, GDY MIEJSCOWY KOMIK, przedstawiający się jako AK Danc, tak wspominał (w podkaście BBC Africa Daily) początki całej tej historii: „Koszykówka ogarnęła nasz kraj błyskawicznie, jak burza. Gdy po raz pierwszy mówiłem o koszykówce rok temu, nikt nie miał pojęcia o tych dzieciakach, koszykarzach. Pojawili się nagle i rozbili bank”.

I dalej: „Koszykówka rozprzestrzeniła się jak choroba, z prędkością pandemii. Dziś koszykówka jest wszędzie. Wcześniej na ulicy mówiło się o polityce, dzisiaj o koszu”.

Jak to się zaczęło

– To wielka historia, a stoi za nią Luol Deng – mówi mi Biar Mōfrika, pasjonat tego sportu i autor profilu na Instagramie poświęconego koszykówce w Sudanie Południowym „The Nile Giants” (Giganci znad Nilu).

40-letni dziś Luol Deng to zawodnik. Kiedyś był gwiazdą amerykańskiego zespołu Chicago Bulls, dwukrotnym uczestnikiem meczu gwiazd NBA. Był także ulubionym zawodnikiem prezydenta USA Baracka Obamy, prywatnie kibica „Byków”.

Jego rodzina uciekła przed wojną domową z dzisiejszego Sudanu Południowego, zanim w 2011 r. powstało to państwo. Byli w gronie kilku milionów ludzi, którzy opuścili wówczas domy. Deng dorastał w Wielkiej Brytanii (później występował także w jej reprezentacji).

Po zakończeniu kariery w NBA postanowił stworzyć drużynę Sudanu Południowego. W 2019 r. został prezydentem tutejszej federacji koszykarskiej i asystentem trenera.

To wówczas zaczęła się ta historia.

– Luol Deng wszystko robił od zera i za wszystko zapłacił z własnej kieszeni. ➔

Mecz między reprezentacjami Sudanu Południowego i Serbii podczas igrzysk olimpijskich w Paryżu. 3 sierpnia 2024 r.



→ Zebrał drużynę, nie było żadnej infrastruktury, niczego – opowiada MōFrika.

– Historia tych koszykarzy to również moja historia – zaznacza instagramer. – Większość życia spędziłem w Kenii i Ugandzie na uchodźstwie. Jako naród dopiero przywykamy do posiadania własnego państwa.

Hymn z YouTube'a

Można powiedzieć, że Deng stworzył drużynę uchodźców.

Większość moich rozmówców w tym kraju była albo uchodźcami, albo dziećmi uchodźców. Gdy na olimpiadzie w 2016 r. stworzono międzynarodową reprezentację uchodźców z całego świata, połowa występujących w niej sportowców pochodziła właśnie z Sudanu Południowego.

MōFrika opowiada mi, że do kraju przyjechał w 2012 r. – zaraz po tym, jak Sudan Południowy w końcu formalnie oderwał się od Sudanu i ogłosił niepodległość. Hymnu uczył się z YouTube'a.

Wspomina: – Byłem podekscytowany. Pamiętam moment, gdy przekroczyłem granicę. To była radość! Byłem z powrotem w domu, po raz pierwszy w życiu byłem we własnym kraju. Zawsze zastanawiałem się: jak to jest, że policjant jest twoim współobywatelem? A tu od samej granicy widziałem, że policjanci są moimi ludźmi, prezydent jest mój, moi ludzie są w telewizji, mam własny paszport i flagę.

Jednak już rok później kraj znów osunął się w wojnę domową.

Duma i wizytówka

Biar mówi, że żyjąc wśród licznych plag, Południowi Sudańczycy pragnęli czegoś, z czego mogliby być dumni – i to dała im koszykówka, 10 lat po zdobyciu niepodległości. Mówi też, że ostatni raz ludzie byli tu tak poruszeni, gdy przemawiał przywódca ruchu wyzwolenieckiego John Garang (zmarł w 2005 r.). Teraz czują podobne emocje, widząc Luola Denga i koszykarzy.

– Tak, po niepodległości najlepszą rzeczą, jaka się tu przydarzyła, jest koszykówka. Nieważne, wygramy czy przegramy. Dla nas to więcej niż gra. To jedno czy ludzi. Nieważne, z jakiego są plemienia. To nasza wspólna drużyna – mówi MōFrika.

Słowa, że dla nich to więcej niż gra, powtarzają wszyscy, łącznie z Dengiem. Jest ono dla tej historii kluczowe.



BIAR MŌFRIKA: Historia koszykarzy to moja historia. Większość życia byłem uchodźcą.

Sudan Południowy jest dziś na 23. miejscu w rankingu Międzynarodowej Federacji Koszykówki (FIBA). Sprawdzam potencjał gospodarczy poprzedzających go 22 krajów, według wskaźnika PKB na głowę mieszkańca – okazuje się, że wszystkie drużyny są w pierwszej osiemdziesiątce najbogatszych państw. Tymczasem Sudan Południowy jest drugim najbiedniejszym krajem świata, z rocznym dochodem PKB *per capita* niższym niż 1500 złotych.

Jednak Luol Deng miał wizję. Przekonał koszykarzy i trenera – Roya Iveya, także byłego zawodnika NBA. Stworzył drużynę, dziś największą dumę i wizytówkę państwa, które nawet w Afryce kojarzy się jak najgorzej.

Mój wychowanek

Mimo niskiego wzrostu, także Wal Deng Mayen w przeszłości grał w kosza (w Sudanie Południowym i Ugandzie). Dziś jest trenerem „Lisów”, najlepszego klubu w kraju. Spotkamy się w stołecznej Dżubie, do której przyjechał z Bor, oddalonego o 200 km.

Całe szczęście, dojechał bezpiecznie. Choć chciałem odwiedzić Bor, uznałem, że ryzyko jest zbyt duże. Niedawno przy tej drodze doszło do starć o bydło, zginęły w nich 22 osoby, a policja na kilka dni zamknęła drogę.

– Poza jednym wyjątkiem, nikt z narodowej kadry nie wychowywał się w Sudanie Południowym – mówi mi Wal Deng Mayen. – Ale chcieli grać dla swojej reprezentacji. Np. Sunday Dech dostał ofertę, by grać w reprezentacji Australii, siódmej drużynie świata, ale wołał grać dla swojego kraju. Za darmo, bo Deng nie miał już pieniędzy, by płacić pensje zawodnikom.

Mayen został trenerem w 2015 r. Żył wtedy w Ugandzie, gdzie było wiele dzieci z Sudanu Południowego, które lu-

biły grać w kosza. Część była uchodźcami, a część rodzice wysłali do szkół w Kampali, stolicy Ugandy.

– Uznałem, że muszę pomóc rodakom. Miejscowi trenerzy czasem nie rozumieli tych dzieci, nie wiedzieli, dlaczego są złe, nie rozumieli ich doświadczeń. A ja wiedziałem, przez co przeszły – wspomina Mayen.

W 2017 r. założył w Ugandzie akademię kosza, głównie dla Sudańczyków z Południa.

– Tym wspomnianym jedynym zawodnikiem reprezentacji Sudanu Południowego, który wychował się w kraju, jest najmłodszy gracz: Khaman Maluach, rocznik 2006. To jeden z tych, którzy byli w mojej akademii w Ugandzie. Mój wychowanek – wspomina Mayen.

Pierwsze sukcesy

Później Wal Deng Mayen wrócił do ojczyzny i pracował przy powstającej reprezentacji.

Z jakiego miejsca zaczynali? – W całym kraju nie było ani jednej hali – mówi Mayen. – Pierwsza powstała dopiero kilka miesięcy temu. Ale nie należy do federacji, lecz do banku.

Gdzie więc trenowały kluby? – Na zewnątrz. Choć to niełatwe: długa pora deszczowa, skwar. Ale to problem całego kontynentu. Może kilkanaście afrykańskich klubów koszykarskich ma swoje hale.

Reprezentacja trenowała więc za granicą, głównie w Rwandzie. Finansował to Luol Deng. Skorumpowane i autokratyczne państwo południowosudańskie na sport nie łożyło. Zaczęło dopiero niedawno, gdy władze spostrzegły, jakie sukcesy ma ich drużyna – dziś najwyżej sklasyfikowany zespół wśród 54 państw Afryki.

Pierwsze sukcesy przyszły szybko. W latach 2020-21, niedługo po objęciu federacji przez Denga, zegrali dobre eliminacje do mistrzostw Afryki i awansowali na nie, po raz pierwszy w historii. W 2021 r. na mistrzostwach pewnie wyszli z grupy, następnie w jednej ósmej pokonali Kenię, aby w jeden czwartej ulec Tunezji (późniejszym mistrzom).

W latach 2021-23 w eliminacjach do mistrzostw świata Sudan Południowy zachwylił jeszcze bardziej: wygrał 16 z 17 spotkań i jako jedna z pięciu afrykańskich drużyn dostał się na turniej. Tam też debiutował.

– Zostaliśmy najlepszą drużyną Afryki i po raz pierwszy w naszej historii awansowaliśmy na olimpiadę – podsumowuje Mayen.

Zakwalifikowali się na igrzyska jako prawdopodobnie pierwsza w najnowszej historii koszykówki drużyna reprezentująca kraj, w którym nie było ani jednej koszykarskiej hali.

O włos

Latem 2024 r., na kilka tygodni przed rozpoczęciem igrzysk w Paryżu, Sudan Południowy rozgrywał serię meczów towarzyskich: pokonał Portugalię i Wielką Brytanię (swoją byłą kolonialną metropolię) oraz uległ Argentynie. W ostatnim spotkaniu miał zmierzyć się ze Stanami Zjednoczonymi – najlepszą drużyną świata i późniejszą złotą medalistką olimpiady. Powszechna była opinia, że Afrykanie są skazani na porażkę.

Ale wszystko potoczyło się inaczej. Przez większość spotkania Sudańczycy z Południa prowadzili z Amerykanami, którzy wcale nie wystawili tego dnia rezerwowych. W połowie meczu prowadzili już czternastoma punktami. Później co prawda ich przewaga stopniała, ale na kilka sekund przed ostatnią syreną wciąż prowadzili jednym punktem.

Cios zadał im LeBron James, najlepszy gracz ostatnich kilkunastu lat na świecie: zapakował piłkę do kosza i Stany wygrały 101:100.

Południowi Sudańczycy byli więc o włos od odniesienia nie tylko najbardziej spektakularnego zwycięstwa w historii swojej koszykówki, ale i południowosudańskiego sportu w ogóle.

Za to po tym meczu na paryskie igrzyska jechali z wielkimi apetytami.

Przedstawić się światu

Latem 2024 r. cały Sudan Południowy zamarł. Zaczęły się igrzyska w Paryżu: pierwsze w historii, w których brała udział drużyna tego kraju – nie tylko koszykarska, ale jakakolwiek (do dziś poza koszykarzami pod flagą południowosudańską na olimpiadach wystąpiło jedynie kilkoro biegaczy).

W Paryżu trafiają do trudnej grupy: z Puerto Rico i dwiema drużynami najwyższej dziś klasyfikowanymi w rankingu FIBA – USA i Serbią. Luol Deng mówi wtedy telewizji CNN: „Gramy, by wygrać, nie zadowolimy się samym byciem



WAL DENG MAYEN: *Kibicowali nam nie tylko rodacy, kibicowały dzieci w całej Afryce.*

tutaj. (...) Reprezentujemy cały kontynent i chcemy go reprezentować w dobry sposób”.

– Ludzie w całym kraju zbierali się na ulicach przy ekranach – mówi mi MöFrika. – Każdy się zatrzymywał i oglądał.

W pierwszym meczu wygrywają jedenastoma punktami z wyżej sklasyfikowanym Puerto Rico. Organizatorzy popełniają jednak błąd: puszcza hymn nie Sudanu Południowego, lecz Sudanu, z którym Południe toczyło przez kilka dekad wojnę o niepodległość. Symboliczny moment został popsuty.

– Sudanowi Południowemu kibicowali nie tylko tutejsi, kibicowały dzieci w całej Afryce – mówi mi Mayen.

W drugim spotkaniu mierzą się z Amerykanami i ulegają. O awansie do najlepszej ósemki świata zadecyduje więc ostatni mecz: z Serbią. Ta okazuje się jednak zbyt silna. Przez trzy kwarty mecz jest wyrównany, ale w ostatniej Południowi Sudańczycy ulegają.

Mimo wszystko – odnieśli największy sukces sportowy w historii swojego kraju. I nie tylko sportowy: za sprawą ich udziału w igrzyskach wielu ludzi na świecie po raz pierwszy lokalizuje ten kraj na mapie. (Podobnie było na olimpiadzie w 1992 r., gdy to Litwini przedstawili się światu, zdobywając brąz w koszykówce i złoto w lekkoatletyce; choć były to ich jedyne medale).

Ogromna luka

Ta historia nie zakończyła się w Paryżu. Być może dopiero się tam rozpoczęła.

Pytam Wala Denga Mayena, co składa się na ich sukces. – Odnosimy go, bo jesteśmy najwyżsi w Afryce. Drudzy po nas są Senegalczycy. Poza tym szybko się uczymy. Po trzecie, jesteśmy atletycznie zbudowani. Nie jesteśmy umięśnieni jak

Kongijczycy, ale szczupli i zwinni. I po czwarte, mamy serca do walki. Możesz mieć znakomitego gracza, ale w decydującym momencie nie da rady – mówi Mayen na koniec naszej rozmowy.

I dodaje: – Pojutrze zaczynają się kwalifikacje do kolejnych mistrzostw Afryki. Chcemy wygrać ten turniej. Po igrzyskach staliśmy się faworytami.

W tej beczce miodu jest też trochę dziegieciu: istnieje ogromna luka między reprezentacją złożoną z graczy wytrenowanych poza krajem a koszykówką w kraju. Od 2022 r. z powodu konfliktu klubów z federacją nie jest nawet rozgrywana liga krajowa. Wciąż brakuje infrastruktury.

Gdy jednak o ósmej rano w niedzielę (to dobra pora, przed największymi upałami) idę, aby pograć ze znajomymi z Dżuby w koszykówkę, cztery boiska są zajęte. Dziesiątki miejscowych od rana grają w kosza. Sport ten uprawia coraz więcej osób.

Mimo przeciwności

– Koszykówka pokazała nasz potencjał. Nie tylko w sporcie, ale w ogóle. Pokazaliśmy, że gdy pojawia się charyzmatyczna postać z wizją, wówczas niezależnie od przeciwności możemy odnieść sukces niemal we wszystkim. Koszykówka inspiruje nas do bycia najlepszymi. Możemy dać światu coś, czego ludzkość nigdy nie widziała – mówi mi Biar MöFrika.

A jaka przyszłość czeka Luola Denga, twórcę reprezentacji Sudanu Południowego? Dziś nic nie wskazuje na to, aby miał pójść w ślady na przykład George’a Weaha – wybitnego piłkarza i jedyne Afrykanina wśród zdobywców Złotej Piłki, który w swoim czasie był prezydentem Liberii.

W kraju, który wciąż czeka, aby go stworzyć, Deng jest jednak zapewne najpopularniejszą postacią.

Tymczasem kilka dni po naszej rozmowie z Biarem i Wal Dengiem Południowi Sudańczycy grają swój pierwszy mecz w eliminacjach do mistrzostw Afryki. Wysoko pokonują Maroko. W kolejnych meczach też spiszą się nieźle. Historia „Gigantów z Nilu” trwa nadal.

© ZBIGNIEW ROKITA

Autor jest reporterem, stałym współpracownikiem „TP”. Autor książek, m.in. „Kajś” i „Odrzania”. W Sudanie Południowym był na zaproszenie Polskiej Akcji Humanitarnej, która działa tam od 19 lat.





3



4



5

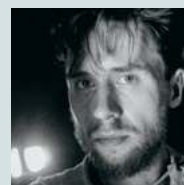
Powrót do Syrii

ZDJĘCIA I TEKST MACIEJ MOSKWA

W najnowszej historii Syrii 8 grudnia 2024 r. zapisze się jako data upadku dyktatury. Rodzina Assadów rządziła krajem od zamachu stanu w 1970 r. Arabska Wiosna z 2011 r. przyniosła do Syrii rewolucję antyrządową, ta zaś przeistoczyła się w krwawą wojnę domową i konflikt ścierających się w regionie potęg. Niektóre źródła mówią o przeszło pół milionie zabitych – tak jakby gwałtownie przestał istnieć cały Gdańsk. Sąsiednia Turcja przyjęła ponad 3 miliony uciekających przed koszmarem wojny.

Bab al-Hawa znaczy „Brama Wiatrów” (2). Tak się nazywa przejście graniczne po syryjskiej stronie granicy, w którego kierunku wędrują tysiące ludzi pragnących wrócić do domu. Mijają wcześniej Reyhanli, tureckie miasteczko (1, 4), które stało się „małą Syrią”. Na bazarach można tam kupić syryjski tymianek, kawę z kardamonem, papierosy Alhamraa. Kobiety chodzą w nikabach, a mężczyźni głośno wykrzykują nazwy produktów na sprzedaż.

W grudniu 2024 r. przez Reyhanli i „Bramę Wiatrów” wracało do Syrii ok. 3,5 tysiąca ludzi dziennie. Pod przejście podjeżdżali taksówkami, ktoś przez tły udzielał wywiadu, dziękował Turcji za opiekę i mówił „wahid-wahid” – jesteśmy jednością, tacy sami, ludzie to ludzie. Ktoś inny krzyczał, żeby dziennikarze pokazali, jak na ostatniej prostej Syryjczycy są grabieni przez nieuczciwych taksówkarzy. Tragarze z ciężkimi wózkami zabierali nawarstwiony dobytek spięty gumami, ukryty w pękających walizkach (3). Zdobiony delikatną arabeską Koran ktoś wcisnął sobie pod pachę. Rodzice ciągnęli dzieci za ręce, oczy tym ludziom błyszczały, chyba od nadziei. Nawet ci, którzy wracali do zniszczonych domów, mówili, że staną na nogi, inszallah z pomocą Unii Europejskiej. Ojciec trzymający malca na rękach nie miał czasu na rozmowę: spieszył się do Aleppo, do matki i ojca. Niektórzy zabierali ze sobą flagę nowej Syrii (5), można ją było kupić od uśmiechniętego Turka. ©



Maciej Moskwa jest fotoreporterem, współzałożycielem kolektywu TESTIGO.

Od kilkunastu lat relacjonuje konflikt w Syrii.

WARTO WIERZYĆ

Osoby religijne odczuwają większą satysfakcję z życia niż ateści, rzadziej zmagają się z problemami psychicznymi, a nawet są zdrowsze i żyją dłużej.

Skąd biorą się te pozytywne efekty wiary?

PIOTR SZYMANEK

CZY LEPIEJ JEST RACZEJ WIERZYĆ, CZY nie wierzyć? Bodaj najsłynniejszej odpowiedzi na to pytanie udzielił Blaise Pascal, francuski fizyk, matematyk i filozof, który zaproponował, by wyobrazić sobie dwa scenariusze: taki, w którym Bóg istnieje, i taki, w którym Boga nie ma. Ponieważ nie możemy ustalić, jak jest naprawdę, jesteśmy skazani na przyjęcie jednej z dwóch strategii: żyć zgodnie z nakazami wiary lub je porzucić. Jeśli Bóg istnieje, to pierwsza strategia zapewni nam życie wieczne, a druga skazę na potępienie. A co, jeśli Boga nie ma? W takim wypadku tracimy niewiele – czas spędzony w kościele czy na modlitwie. „Jeśli wygrasz – przekonywał Pascal – zyskujesz wszystko. Jeśli przegrasz, nie tracisz nic”.

Ten zakład o wiarę, zwany powszechnie zakładem Pascala, prowokuje pewne pytanie: czy można wybrać, by wierzyć, czy raczej wiara spływa na nas niezależnie od naszych działań i woli? Problem ten odbija się echem w słynnej frazie z plakatu wiszącego w biurze Muldera i Scully z serialu „W archiwum X”, na którym, tuż pod latającym spodkiem napisano dużymi literami „Chcę wierzyć” (ang. *I want to believe*). Moglibyśmy wyobrazić sobie plakat, na którym haśło „Chcę wierzyć” widnieje nie pod rysunkiem UFO, ale wizerunkiem Chrystusa czy tysiącrękowej bogini Kali. Badania z zakresu psychologii religii – choć nie rozstrzygają, czy da się wybrać wiarę

– pokazują bowiem co najmniej tyle, że osoby niewierzące mogą mieć poważne powody, by żałować, że nie wierzą. I to nie tylko z powodu potencjalnych nagród czekających na nas po śmierci, a ze względu na psychologiczne i zdrowotne korzyści płynące z wiary.

Módl się i raduj

„Szkoda, że nie wierzę. Gdybym wierzył, życie byłoby prostsze”. To zasłyszane przy towarzyskiej okazji zdanie wyraża pewną intuicję na temat religii: wiara nadaje życiu pewien sens, dostarcza gotowego systemu przekonań na temat świata i odpowiada na nękające nas nieraz pytanie „jak dobrze żyć?”. Nawet Zygmunt Freud, nieuchodzący bynajmniej za apologetę, przyznawał, że spośród różnych domen aktywności człowieka tylko religia jest w stanie zapewnić nam poczucie sensu.

Niedaleko stąd do konstatacji, że ci, którzy praktykują religię, znajdują w swoim życiu głębsze znaczenie, a w związku z tym są, co do zasady, szczęśliwsi niż niewierzący. Wyniki wielu badań psychologicznych okazują się zgodne z tą hipotezą. Jak podają Doug Oman i David Lukoff, religijność jest statystycznie związana z niższym ryzykiem depresji, stanów lękowych i uzależnień. Osoby religijne również rzadziej popełniają samobójstwa, rzadziej zapadają na demencję czy są mniej narażone na negatywne efekty stresu. Kanadyjski socjolog Scott Schieffman wraz ze współpracownikami do-

daje do tej listy, że częstotliwość udziału w praktykach religijnych, zwłaszcza takich o zbiorowym charakterze, przekłada się na wyższą ocenę własnego szczęścia i satysfakcji oraz na większą odporność na stres.

Co ważne, wyniki te dotyczą nie tylko zachodnich kultur i ich większości etnicznych czy rasowych. W USA wiara jest związana z psychologicznym dobrostanem zwłaszcza wśród osób czarnych, co Schieffman tłumaczy tym, że wspólnota religijna ma dla nich szczególne znaczenie jako przestrzeń, w której mogą wyrazić swoje uczucia i poczuć się częścią więk-





KAROL PORWICH / EAST NEWS

XXVIII Ogólnopolskie Spotkanie Młodych
– Lednica 2000.

Pola Lednickie, 1 czerwca 2024 r.

zumianego dobrostanu – zdaje się płynąć wniossek, że wiara rzeczywiście daje ludziom poczucie sensu, a w konsekwencji chroni ich przed wieloma negatywnymi doświadczeniami. Trzeba jednak wspomnieć o kilku istotnych niuansach.

Po pierwsze, należy pamiętać, że mamy do czynienia z wynikami badań korelacyjnych, przeprowadzanych na dużych populacjach. Warto więc myśleć o związku między religijnością a szczęściem w kategoriach prawdopodobieństwa: na bazie danych, które posiadamy, wiemy tylko, że, co do zasady, jeśli dana osoba jest religijna, rosną też szanse, że będzie czuła większą satysfakcję z życia – trudno oszacować jednak, jak duża to będzie różnica i czy przypadkiem nie jest tak, że osoby, które już są szczęśliwe, częściej stają się wierzące (korelacja to jeszcze nie przyczynowość!). W dodatku, istotne są też różnice indywidualne. Religia bywa dla niektórych osób wręcz źródłem ich smutków i zmagani, zwłaszcza wtedy, gdy wchodzi w konflikt z ich innymi przekonaniami i potrzebami. Efekt tego typu ujawniło kilka badań psychologicznych, w których okazało się, że częstotliwość modlitwy może przekładać się zarówno na poprawę, jak i na pogorszenie zdrowia psychicznego, w zależności od tego, czy dana osoba postrzega Boga jako bliskiego i pełnego miłości, czy jako odległego, surowego sędziego.

Po drugie, nie do końca znane są mechanizmy, które sprawiają, że religijność koreluje pozytywnie z dobrostanem psychologicznym. Jednym z najczęściej cytowanych wyjaśnień, zaproponowanym już w latach 90., jest pośredni efekt wsparcia społecznego. Osoby, które często biorą udział w zgromadzeniach religijnych, mają zwykle dostęp do szerszej siatki kontaktów społecznych, a więc mogą polegać na większej liczbie osób, by uzyskać pomoc oraz wsparcie emocjonalne i finansowe. Jeśli wierzyć tej hipotezie, nie ma nic specyficznego w samej wierze, co poprawiałoby stan psychologiczny osób religijnych – religia jest po prostu z natury wysoce solidaryzującą aktywnością, a poczucie bliskości z innymi ludźmi jest, jak dobrze wiemy, niemal uniwersalnym kluczem do szczęścia.

Ale w takim razie co z tym poczuciem sensu i znaczenia, o którym mówiliśmy wcześniej? Czy psychologiczne korzyści płynące z wiary wynikają wyłącznie z czynników społecznych, czy może religia ma w sobie coś specyficznego, co podnosi nas na duchu? Aby to zbadać, musimy zagłębić się w procesy zachodzące w religijnym umyśle.

Wiara jak morfina

„Religia to opium dla ludu” – pisał w 1843 r. Karol Marks. Klasa rządząca, jak twierdził, narzuca społeczeństwu religię, ta zaś usypia w nas instynkty rewolucyjne, przekonując, że przyczyną ludzkiej niedoli jest dopust boży, a nie wyzysk społeczny. Pomińmy tu w całości filozofię społeczną Marksa i przyjrzyjmy się wyłącznie użytemu przez niego porównaniu: czy istotnie jest w wierze coś, co koi nas i uspokaja?

W 2009 r. kanadyjscy badacze z Michaelem Inzlichtem na czele postanowili sprawdzić, czy wyobrażenia o wierze religijnej jako kojącej powłoczce, która chroni nas przed negatywnymi myślami i emocjami, kryją w sobie ziarno prawdy. W tym celu przeprowadzili prosty eksperyment, opisany na łamach „Psychological Science”. Osoby badane miały oceniać, jakim kolorem napisane są słowa na ekranie, przy czym słowa te były same w sobie nazwami różnych barw (np. słowo „zielony” zapisano kolorem czerwonym). W tym paradygmacie badawczym, zwanym zadaniem Stroopa, uczestnik badania musi wyhamować swoją pierwszą reakcję – związaną z odczytaniem treści słowa – i skupić się zamiast tego na kolorze samej czcionki. Inzlicht i współpracownicy porównali ze sobą średnią poprawność odpowiedzi osób religijnych i niereligijnych w zadaniu Stroopa, jednocześnie mierząc aktywność mózgu w obszarze zakrętu obręczy, który odpowiada m.in. za monitorowanie własnych pomyłek.

Jak się okazało, osoby wierzące wykazywały niższą aktywność w tym regionie niż niereligijni uczestnicy, co wskazywałoby na to, że wiara istotnie wywiera specyficzny wpływ na nasz mózg, zmniejszając monitorowanie błędów, a w efekcie chroniąc nas przed negatywnymi emocjami związanymi z pomyleniem się. Można porównać to do sytuacji, w której pracownik ochrony sklepu zapomina

szej społeczności. W dodatku, jak podają Harold Koenig i współpracownicy w „Asian Journal of Psychiatry”, większość przeprowadzonych badań na terenach krajów Bliskiego Wschodu również wykazała pozytywny związek pomiędzy religijnością a subiektywną oceną dobrostanu, a także obniżone ryzyko depresji, samobójstwa oraz alkoholizmu u osób wierzących.

Wspólnota błogosławionych

Z powyższych badań – to zaledwie skrawek olbrzymiej literatury na temat pozytywnego związku religii i szeroko ro-

→ włączyć jedną z kamer w obiekcie, ale dzięki temu spędza spokojniej noc.

Naturalnym pytaniem jest jednak: czy tylko osoby wierzące „wyłączają kamery”, czy może obniżona aktywność zakrety obręczy występuje, gdy tylko w mózgu przetwarzane są jakiekolwiek informacje religijne? Inzlicht sprawdził i to. W swoim kolejnym badaniu przed samym zadaniem Stroopa zastosował subtelny manipulację eksperymentalną, prosząc część badanych o napisanie kilku zdań o religii lub pokazując im religijne słowa, tak, by aktywować u nich myśli związane z wiarą. Jak się okazało, aktywacja ta zmniejszyła reakcję mózgu na błędy, ale tylko u osób wierzących. Ateści natomiast reagowali silniej na swoje pomyłki, jeśli przed zadaniem aktywowano u nich myśli o religii – efekt ten, zdaniem autorów, wynika z defensywnej postawy, którą niewierzący przyjęli w reakcji na niezgodne z ich światopoglądem religijne treści.

Gdy nas ogarnie trwoga

Choć powyższe badania pokazują, że wiara potrafi mieć kojące działanie, Inzlicht zbadał problem na bardzo szczegółowym poziomie, wnikając w nasze najbardziej podstawowe mechanizmy monitorowania błędów. Istnieją jednak i takie badania, które bezpośrednio dotyczą tego, w jaki sposób religijność chroni nas przed negatywnymi emocjami. Mieszczą się one w ramach tzw. teorii opanowywania trwogi, autorstwa Jeffa Greenberga, Sheldona Solomona i Thomasa Pyszczynskiego.

Teoria opanowywania trwogi zakłada, że jedną z fundamentalnych potrzeb człowieka jest oddalenie od siebie egzystencjalnego lęku, który pojawia się, gdy tylko przypomnimy sobie o nieuchronności własnej śmierci. Nawet teraz, na tym etapie niniejszego tekstu, zarówno jego autor, jak i czytelnicy muszą choć na krótką chwilę zdać sobie sprawę z własnej śmiertelności – to zaś rodzi w nas napięcie, które, choć nie zawsze pojawia się w naszej świadomości, można zaobserwować przy pomocy narzędzi psychologicznych. W szczególności, momentalną odpowiedź naszego umysłu na to *memento mori* jest zwiększenie poczucia przywiązania do własnej religii.

Wspomniani autorzy podsumowali w artykule opublikowanym w „Perso-

Do obrony przed świadomością śmierci możemy użyć dowolnego systemu przekonań, w którym nasze życie ma określony cel lub wartość.

Religia jednak nadaje się do tego najlepiej.



KAROL PORWICH / EAST NEWS

ality and Social Psychology Review” serię badań empirycznych, z których wynika, że aktywacja myślenia o śmierci (np. poprzez przeczytanie krótkiego tekstu o tym, co dzieje się z ciałem człowieka po pochówku) sprawia, że osoby badane momentalnie deklarują silniejsze przekonania religijne: te o istnieniu życia po śmierci, duszy czy wpływie istot nadprzyrodzonych na nasze życie. Co istotne jednak, nie tylko religijność wzrasta w reakcji na lęk przed śmiercią: w różnych eksperymentach uczestnicy badań, którym przypomniano o nieuchronności śmierci, deklarowali również silniejsze przywiązanie do własnej ojczyzny oraz zwiększone poczucie, że ich kultura i naród są lepsze od innych.

Do obrony przed świadomością śmierci możemy więc użyć dowolnego systemu przekonań, w którym nasze życie ma określony cel lub wartość – nawet jeśli

oznacza to dyskryminację innych. Religia jednak, dzięki temu, że niesie ze sobą obietnicę kontynuacji egzystencji po śmierci, nadaje się do tego najlepiej, i to do tego stopnia, że inne systemy przekonań przestają pełnić funkcję tarczy ochronnej. Jak wykazało badanie Marka Dechesne i współpracowników, przedstawienie krótkiego tekstu argumentującego na rzecz istnienia zaświatów sprawia, że przypomnienie o śmierci nie wywołuje już wspomnianego efektu faworyzowania swojej kultury ponad inne.

W zdrowym duchu

Do tej pory przyjrzelśmy się efektom, jakie religia może wywierać na nasze subiektywne poczucie szczęścia, dobrostan psychiczny i na procesy, które zachodzą w naszym umyśle. Co jednak badania naukowe mówią nam na temat związku pomiędzy wiarą a zdrowiem fizycznym? Czy tu również dałoby się rzec: lepiej raczej wierzyć niż nie?

Podobnie jak w przypadku korelacyjnych badań satysfakcji z życia i religijności, odpowiedź na to pytanie jest skomplikowana, musi uwzględnić wiele dodatkowych czynników (w tym pośredniczący efekt zdrowia psychicznego!) i może w dodatku zależeć od kręgu kulturowego, który weźmiemy pod lupę. W takich sytuacjach, zwłaszcza przy tak obszernej literaturze przedmiotu, bardzo pomocne okazują się metaanalizy, które starają się ocenić wspólną siłę dowodową dziesiątek, a czasem nawet i setek badań.

Przykładowo, Doug Oman i S. Leonard Syme wzięli pod uwagę 118 artykułów (w tym również poprzednie metaanalizy) i doszli do wniosku, że związek religii i zdrowia fizycznego mieści się w granicach czynników istotnych klinicznie, a więc powinien być brany pod uwagę w modelach zdrowia publicznego. Związek ten jest najczęściej pozytywny: religijność przekłada się na lepsze zdrowie i dłuższe życie, niższe ryzyko chorób sercowych czy nawet na wolniejszy postęp choroby Alzheimera. Nie są jednak znane dokładne mechanizmy tych zależności. Autorzy sugerują, że powodem dobroczynnego wpływu religii na zdrowie może być: większa skłonność osób religijnych do zdrowego stylu życia; rozleglejsza sieć kontaktów społecznych; niższe ryzyko chorób psychicznych oraz samobójstw; a także metody radzenia so-

bie z trudnościami i stresem dostarczane przez samą wiarę. Żadna z tych hipotez nie wyjaśnia jednak wszystkich zebrań na przestrzeni lat danych.

Jak odnaleźć się we wszystkich tych informacjach, które sugerują, że religia ma przemożny, dobroczynny wpływ nie tylko na nasze zadowolenie z życia i psychikę, ale i na to, jak radzimy sobie z lękiem, a nawet na zdrowie fizyczne? I jak pogodzić ten obraz z dualistyczną wizją, która maluje nam się nie raz przed oczami, gdy myślimy o miejscu religii w naszym świecie? Wiara to z jednej strony ostoja pokoju, domena bezpieczeństwa i przewodnik przez życie; z drugiej zaś strony miliony osób zginęły w imię swojej wiary lub z powodu wiary innych, a dewocja doprowadzona do ekstremum może wywoływać agresję, poczucie winy i motywować do nienawiści czy aktów terroru.

Przetrwają najgorliwsi

Naukowcy coraz częściej próbują zrozumieć religię z perspektywy jej ewolucji na przestrzeni dziejów. Perspektywa ta naświeta nie tylko opisane tutaj związki, ale uświadamia nam, z jak bogatym, różnorodnym i złożonym zjawiskiem mamy do czynienia. Jak wygląda ewolucyjne podejście do nauki o religii?

Po pierwsze, zakłada się, że społeczeństwa ludzkie, podobnie jak organizmy, mogą być lepiej lub gorzej dostosowane do warunków, które panują na zamieszkiwanych przez nie obszarach. Po drugie, ewolucyoniści postrzegają tradycje reli-

gijne jako złożone systemy kulturowe, które mają na celu dostosować społeczeństwa do obecnie panujących warunków. Innymi słowy, religie to systemy, które przetrwały, ponieważ dostosowały wyznające je grupy do wyzwań środowiska i (nieraz burzliwych) kontaktów z innymi społecznościami. Najczęściej podkreślanym czynnikiem jest tu solidarność grupowa i kooperacja, ponieważ najlepiej przystosowane są zwykle te społeczności, które potrafią współpracować.

Ewolucyjni badacze religii podkreślają nieraz, że rytuały religijne, obecne w zasadzie w każdej kulturze, służą właśnie do tego, by zwiększać poczucie przynależności, a w efekcie spajać grupę i czynić ją bardziej odporną na niekorzystne bodźce. Amerykański socjolog Rodney Stark przekonywał już w latach 90., że sukces wczesnego chrześcijaństwa nie powinien być przypisywany politycznemu działaniu Konstantyna Wielkiego i jego edyktowi mediolańskiemu. Przeciwnie, o powodzeniu chrześcijan mógł zadecydować czynnik znacznie prostszy i niepozorny, to znaczy ich wysoka skłonność do kooperacji i wzajemnej troski, której brakowało ówczesnym wiernym tradycji rzymskiej.

Dziś, tysiące lat po tym, jak zaczęły pojawiać się pierwsze, prototypowe formy religijności, zastajemy więc religię niejako przygotowaną na najróżniejsze zagrożenia, które mogą spotkać społeczności ludzkie. Z jednej strony, jak pokazują badania, wiara wzmaga naszą tolerancję w stosunku do osób z naszej grupy, ale na-

sila uprzedzenia wobec ludzi „z zewnątrz” – bo grupy spójne, choć nieufne wobec obcych, miały historycznie większe szanse na powodzenie; religia pomaga nam radzić sobie z negatywnymi emocjami i – tym lub innym mechanizmem przyczynowym – poprawia nasze zdrowie, ponieważ społeczności uzbrojone w taką religię zwyczajnie częściej przeżywały i przekazywały tę wiarę swoim potomkom. Teoria ta wyjaśnia jednocześnie, dlaczego widzimy bardzo niewiele pewnych rodzajów religii, np. takich, które nie promują jakiegś formy spójności grupowej i zalecają niezdrowy tryb życia lub w skrajnym wypadku samobójstwo. Zdarzają się co prawda akty samopoświęcenia w imię wiary, są one jednak radykalne i rzadkie, a zdaniem wielu badaczy działają na korzyść bliskich lub społeczności osoby, która oddała swoje życie na ołtarzu idei.

■ ■ ■

W tym złożonym obrazie ewolucyjnym otwarcie się na daną religię można porównać do przyłączenia kolejnego elementu do prastarej maszyny, oblepionej na przestrzeni lat wieloma dodatkowymi mechanizmami, które pomagają jej funkcjonować. Mechanizmy te koją nasz umysł i pomagają nam walczyć z codziennością, a nawet przedłużają naszą egzystencję. Jeśli jednak ktoś postanowił odłączyć się od tej maszyny lub nigdy nie czuł z nią żadnego związku, może albo żałować, że nie wierzy, albo poszukać swojego własnego sposobu na życie.

© PIOTR SZYMANEK

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

● **BIELSKO-BIAŁA**, czwartek, 6 lutego godz. 17.00,
„Bóg, Kościół i człowiek w spektaklu Mai Kleczewskiej”.
Rozmowa z red. Magdaleną Legendź i Januszem Legoniem
o „Diablach” w Teatrze Polskim.
Willa Sixta, ul. Mickiewicza 24

● **TRÓJMIĘSTO**, czwartek, 6 lutego godz. 18.00,
„Jak czytać Biblię z pożytkiem”
– spotkanie z prof. Józefem Majewskim,
klasztor oo. Dominikanów, ul. Świętojańska 72 (Czarna Sala)

● **GLIWICE**, czwartek, 6 lutego godz. 18.00,
„O sztucznej inteligencji i robotach medycznych, czyli przypadek
Robin Hearta”, spotkanie z dr. hab. n. med. Zbigniewem Nawratem.
Stacja Artystyczna Rynek, Rynek 4-5

● **SŁUPSK**, piątek, 7 lutego godz. 17.00,
„Dziennikarz katolicki wobec trudnych tematów
Kościoła”, spotkanie dr. Moniką Białkowską.
Prowadzenie dr. Michał Rychert.
Biblioteka Publiczna, ul. Grodzka 3

● **WARSZAWA**, sobota, 8 lutego godz. 16.00,
„Pomówmy o samotności”, rozmowa w oparciu o teksty
z „Tygodnika Powszechnego”
Domek fiński PM, Jazdów 3/12

● **KĘDZIERZYN-KOŹLE**, poniedziałek, 10 lutego godz. 18.00,
„I w co tu wierzyć...”, spotkanie z biskupem łuckim
Wojciechem Prackim. Prowadzenie Beata Dżon-Ozimek
Klub Kameleon, ul. Dworcowa 1a

REZERWUJ
CZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ



KLUBY TYGODNIKA.PL



STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na KlubTygodnika.pl/wydarzenia

KIEDY WYPADA WIELKANOC?

To jedno z pytań najczęściej wpisywanych dziś w internetowe wyszukiwarki. Choć starsze od nich o niemal dwa tysiące lat.

EDWARD AUGUSTYN, MACIEJ MÜLLER

WSOBOTĘ 25 STYCZNIA, PODCZAS NA-
bożeństwa kończącego Tydzień
Modlitw o Jedność Chrześcijan, papież
Franciszek zaapelował do całego chrze-
ścijańskiego świata o wspólne świętowa-
nie Wielkanocy. Nie tylko w tym roku,
gdy skutek wyjątkowej zbieżności ka-
lendarzy liturgicznych – gregoriańskie-
go, używanego przez Kościoły katolic-
kie, ewangelickie i niektóre wschodnie,
a także juliańskiego, stosowanego przez
większość Kościołów wschodnich – uro-
czystość Zmartwychwstania obchodzo-
na będzie w tę samą niedzielę, 20 kwiet-
nia.

„Kościół katolicki jest gotów zaakcepto-
wać datę, którą wszyscy chcą przyjąć: datę
jedności” – zadeklarował papież, wskazu-
jąc na dodatkowe okoliczności, które po-
winny zmotywować Kościoły do ujed-
nolnienia kalendarzy: trwający właśnie
Rok Jubileuszowy 2025 i okrągłą rocznicę
Soboru Nicejskiego, który 1700 lat temu
ustalił dla całego chrześcijaństwa wspólną
datę tego najważniejszego święta.

Kłopoty z Paschą

Z pozoru wszystko wydaje się proste.
Ewangelie w miarę zgodnie podają, że Je-
zusa ukrzyżowano w żydowskie święto
Paschy lub w dzień przygotowania do
niej, czyli 14. lub 15. dnia miesiąca Nisan,
rozpoczynającego żydowski kalendarz li-
turgiczny.

Mówią one też, iż ciało w pośpiechu po-
chowano ze względu na rozpoczynający

się szabat, co pozwoliło historykom uło-
kować to wydarzenie we współczesnym
kalendarzu i wskazać jego najbardziej
prawdopodobną datę: 7 kwiet-
nia 30 roku lub 3 kwietnia 33 roku. Po
szabacie, w pierwszy dzień tygodnia, jak
zgodnie mówią Ewangelie, Jezus zmar-
twychwstał.

Pierwsi chrześcijanie świętowali więc
pamiętkę tego wydarzenia w niedzielę
po święcie Paschy. Choć nie wszyscy i nie
bez kłopotów.

Pierwszym problemem był żydowski
sposób obliczania daty tego święta. Zgod-
nie z kalendarzem księżycowym, stoso-
wanym w Izraelu, nowy miesiąc zaczy-
nał się od nowiu księżyca. Stwierdzał to –
w drodze obserwacji – sanhedryn, a ogła-
szali kapłani, dmąc w trąby ze świątyn-
nej wieży i rozpalając ogniska na okolicz-
nych wzgórzach.

Metoda ta, jak się łatwo domyślić, nie
była doskonała – obserwacje mogły zo-
stać zakłócone przez pogodę, a na wiado-
mość o nadejściu nowego miesiąca trzeba
było czekać. To utrudniało jego obchodze-
nie, zwłaszcza Żydom z diaspy (dlatego
dodawano do święta dodatkowy dzień).

Czy to musi być niedziela?

Drugim punktem spornym były dwie tra-
dyce świętowania Wielkanocy, ukształ-
towane „w czasach apostoelskich”, a prak-
tykowane aż do końca II stulecia.

Kościoły tzw. Azji Prokonsularnej (geo-
graficznie to zachodnia część Azji Mniej-

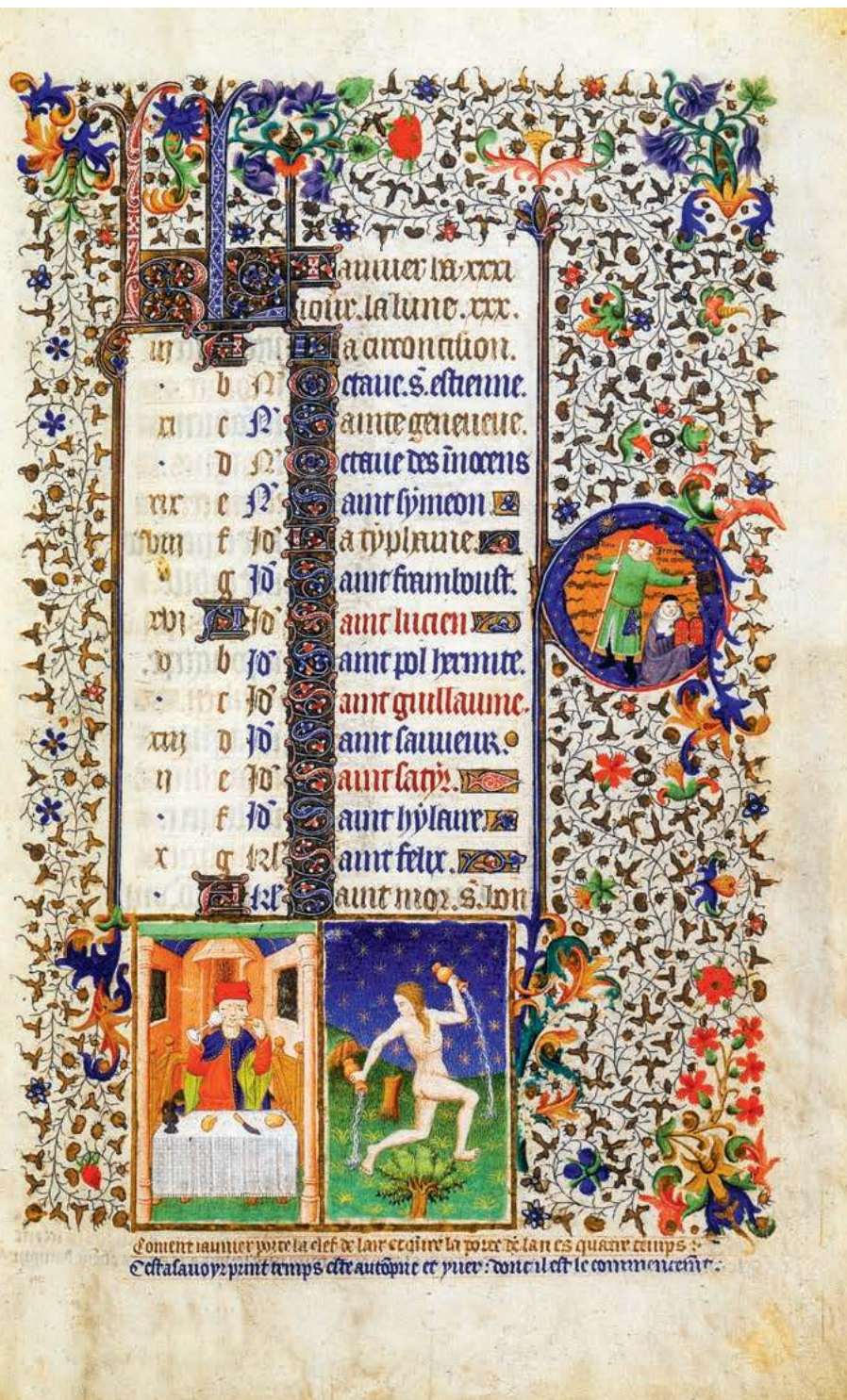
szej) uznawały za apostołami Janem i Fi-
lipem, że świętowanie należy zaczynać
czternastego dnia miesiąca Nisan – nie
zważając na to, jaki dzień tygodnia wtedy
wypadnie. Kościoły „reszty świata” skła-
niały się ku tradycji apostołów Piotra
i Pawła, że musi to być niedziela po świę-
cie Paschy.

Spór między zwolennikami obu zwy-
czajów został opisany w listach Ireneusza
z Lyonu i Polikratesa z Efezu (oba w nim
zresztą uczestniczyli) oraz w „Historii Ko-
ścielnej” Euzebiusza z Cezarei, spisanej
200 lat później. Wiemy więc, że nie do-
tyczył kwestii teologicznych (tj. czy waż-
niejsze jest wspomnienie męki i śmierci
Jezusa, czy Jego zmartwychwstania), lecz
tego, kiedy zakończyć post i zacząć świę-
towanie.

Kontrowersja nie stała się jednak po-
wodem rozłamu. Zarówno biskupi
Smyrny i Efezu, jak i kolejni papieże rozu-
mieli, że chodzi o „różnorodność zwycza-
jów, która nie powstała dzisiaj, za dni na-
szych, ale już wiele dawniej, przed nami,
wśród naszych poprzedników” – jak opi-
sywał to Ireneusz.

Problemy z kalendarzem

Do kolejnego sporu o datę Wielkanocy
doszło w kolejnych dwóch wiekach, gdy
chrześcijanie zaczęli oddzielać swoje
święto od żydowskiej Paschy. Powodem
były zarówno względy ideologiczne (dy-
stans do judaizmu), jak i praktyczne –
trudności pogodzenia kalendarza księży-



Styczeń, karta z XV-wiecznego kalendarza

cowego ze słonecznym, używanym w Cesarstwie Rzymskim.

Miesiące księżycowych było w roku dwanaście, a każdy miał po 29 lub 30 dni. Rok lunarny liczył więc 354 dni, podczas gdy rok słoneczny miał ich o jedenaście lub dwanaście więcej. Co dwa lub trzy lata Żydzi dodawali więc trzynasty miesiąc, by przywrócić zgodność kalenda-

rza z porami roku. Czasem zdarzało się, że ich Pascha (15 Nisan) wypadła przed wiosenną równonocą, co nie podobало się ani niektórym odłamom judaizmu, ani chrześcijanom. Ci ostatni zaczęli więc samodzielnie ustalać termin Wielkanocy, nie oglądając się na Paschę.

Na początku III w. ukształtowały się dwa najważniejsze ośrodki wielkanoc-

nych obliczeń – Rzym i Aleksandria – w których pracowano jednak według różnych metod. Aleksandryjczycy trzymali się cyklu 19-letniego, zgodnie ze wskazówkami Metona, ateńskiego astronoma z V w. p.n.e., największego w tamtym czasie autorytetu w kalendarzowo-astronomicznych rachubach. Z kolei Rzymianie oparli się na cyklu 16-letnim, potem przechodząc na 84-letni. Oba okazały się błędne i obliczenia przyszłych dat Wielkanocy trzeba było co jakiś czas korygować.

Krótko mówiąc: u progu wieku IV chrześcijanie w różnych częściach świata świętowali Wielkanoc w różnych terminach. Jedni w pierwszą niedzielę po żydowskich obchodach Paschy, inni w dniu pierwszej wiosennej pełni księżyca (czyli 14 Nisan), bez względu na dzień tygodnia (tzw. kwartodecymanie). Jeszcze inni odczytywali datę ze specjalnych tabel, tworzonych w drodze złożonych obliczeń. Byli też tacy, co preferowali sztywną datę, np. 6 kwietnia (montański).

Czcigodni komputyści

Nie dziwota, że pytanie „kiedy wypada Wielkanoc” stało się jednym z najważniejszych podczas pierwszego soboru ekumenicznego w Nicei w 325 r.

W roku tym Konstantyn Wielki obchodził jubileusz swego panowania. Cesarz doceniał rolę rosnącej w siłę młodej religii – chrześcijaństwa – w spajaniu olbrzymiego imperium. Irytowały go jednak różnice doktrynalne i instytucjonalne charakteryzujące wczesny Kościół. Wymusił więc, by biskupi zjechali się do jego letniego pałacu w Nicei i tam doszli do zgody zwłaszcza co do wspólnego wyznania wiary i sposobu wyznaczania najważniejszego święta.

Zgromadzenie, które dziś nazywamy Soborem Nicejskim, postanowiło, że Wielkanoc będzie przypadać w najbliższą niedzielę po pierwszej wiosennej pełni księżyca. Natomiast wyznaczaniem dat kolejnych Wielkanocy mieli zajmować się specjaliści od układania tzw. tablic paschalnych, zwani komputystami.

System Bedy Czcigodnego

W ośrodku aleksandryjskim udało się już w V w. opracować tablice obejmujące aż 95 lat do przodu. Sto lat później przejął je na Zachód opat Dionizy Mały. W początkach VIII w. system ulepszył anglosaski benedyktyn Beda Czcigodny: ➔

→ ułożył tablice dla 532 lat (po upływie tego czasu dni tygodnia i fazy księżyca przypadają na te same dni miesiąca). System Bedy stosowano aż do gregoriańskiej reformy kalendarza w XVI w.

Średniowieczne tablice paschalne były gigantycznymi tabelami, na których marginesach mnisi notowali najważniejsze wydarzenia danego roku (np. śmierć króla czy jego zwycięstwo w wojnie), co stanowiło załączek rocznikarstwa.

Były też niezwykle skomplikowane: kolejne kolumny zawierały rozmaite tzw. znamiona chronologiczne danego roku, czyli m.in. złotą liczbę (miejsce roku słonecznego w 19-letnim cyklu księżycowym, obliczaną według specjalnego wzoru), indykcję (miejsce roku w 15-letnim cyklu liczoną od 3 roku p.n.e.), dzień wiosennej pełni i wreszcie dzień Wielkanocy, a także „wiek księżyca” w dniu tego święta.

Droga do reformy

Już w IX w. specjaliści od układania tablic paschalnych zauważyli, że coś się w juliańskim kalendarzu nie zgadza.

Trudno mieć pretensję do jego twórcy (uchodzi za niego Juliusz Cezar, choć ghostwriterem był Aleksandryczyk Sozygenes), że nie wiedział o różnicy, jaka zachodzi między jego propozycją roku liczącego 365 dni, z rokiem przestępnym co 4 lata, a rokiem zwrotnikowym (tj. czasem między dwoma przejściami słońca przez równonoc wiosenną). Wynosi ona 11 minut i 14 sekund. I tak, ziarnko do ziarnka, co 128 lat różnica sumowała się do jednego dnia.

W XIII w. zaczęto na poważnie zastanawiać się, jak zaradzić temu problemowi i uratować pierwotny zamysł ojców soborowych o bogatej symbolice teologicznej: powiązanie Wielkanocy z astronomicznym zrównaniem dnia z nocą. Podczas Soboru Bazylejskiego w 1437 r. rozważano pomysł filozofa Mikołaja z Kuzy, by opuścić w kalendarzu jeden tydzień.

Papież przesądził

Jednak do realnych działań naprawczych przystąpił dopiero papież Grzegorz XIII w latach 70. XVI w. Zgodnie z kalendarzem juliańskim równonoc wiosenna wypadała już na 11 marca, czyli 10 dni wcześniej niż w czasie soboru w Nicei (z badał to za pomocą gnomonu umieszczonego na szczycie jednej z wież w Bolonii Ignazio

Różne terminy świętowania Wielkanocy

to problem ekumeniczny i wizerunkowy.

Dlaczego chrześcijanie nie mogą się porozumieć w tak prostej sprawie?

Danti). Papież powołał grupę uczonych mających uporać się z błędem kalendarza.

Ich prace pozwoliły Grzegorzowi XIII na reformę kalendarza, co ogłosił w 1582 r. bulą „Inter gravissimas”. Pomysł był prosty: z dotychczasowego kalendarza wycięto 10 dni. Traf chciał, że akurat w dzień wprowadzania reformy w Polsce zebrał się Sejm, dlatego w jego diariuszach możemy przeczytać zaskakującą informację: że 4 października odbyło się nabożeństwo do Ducha Świętego, a do obrad przystąpiono nazajutrz, czyli 15 października.

Papiescy uczeni patrzyli daleko wprzód: by usunąć błąd na przyszłość, zaplanowali rezygnację w ciągu kolejnych 400 lat z trzech dni przestępnych. Lata kończące stulecie miały być przestępne jedynie wtedy, jeśli będą podzielne przez 400. Dlatego rok 1700, 1800 i 1900 nie były przestępnymi.

Świat się adaptuje

Ta papieska reforma przypadła na okres kontrreformacji i wojen religijnych. Kalendarz gregoriański przyjęły od razu jedynie Włochy, Hiszpania, Portugalia i Polska. Protestantckie kraje niemieckie i Anglia nie chciały o nim słyszeć; ta ostatnia zaakceptowała go dopiero w połowie XVIII w. Natomiast protestancka Szwecja przechodziła na nowy porządek przez 40 lat, likwidując w tym czasie lata przestępne, co pozwoliło w łagodny sposób zniwelować różnicę między starym kalendarzem (juliańskim) i nowym (gregoriańskim).

Papieski kalendarz przyjmowały też – stopniowo – kraje niechrześcijańskie (Japonia w 1873 r., Chiny w 1912 r., Turcja w 1926 r.). Długo opierały mu się państwa muzułmańskie (Arabia Saudyjska wprowadziła reformę w 2016 r.), często pozostawiając możliwość używania kalendarzy lokalnych.

Kalendarz juliański stosowany jest wciąż w liturgii większości Kościołów wschodnich. Wyjątkiem są m.in., stosujące już kalendarz zachodni, Prawosławna Cerkiew Grecji, a od 2024 r. także Kościół greckokatolicki w Ukrainie oraz Prawosławna Cerkiew Ukrainy. Choć różnica między datą Wielkanocy na Zachodzie i w większości Kościołów wschodnich nie wynika jedynie z innego kalendarza – także z reguły, że te Cerkwie wciąż świętują zmartwychwstanie po zakończeniu obchodów żydowskiej Paschy.

Za zgodą zainteresowanych

Stworzenia wzoru do najbardziej dokładnego, a jednocześnie w miarę przystępnego (co nie znaczy, że prostego) obliczania daty pierwszej wiosennej pełni Księżyca – i w konsekwencji Wielkanocy – podejmowały się najtęższe głowy.

I tak, w wieku XIX najlepszy algorytm do tego celu opracował Carl Gauss, niemiecki matematyk i astronom. Z jego pomocą można było obliczyć przyszłe daty świąt zarówno dla kalendarza gregoriańskiego, jak i juliańskiego (uczony przewidział też i opisał wyjątki od stworzonej przez siebie reguły). W 1991 r. nowy wzór – jeszcze prostszy, bo niewymagający uwzględniania żadnych wyjątków – opracował belgijski astronom Jean Meeus.

Różne terminy świętowania Wielkanocy od dawna uważano też za problem ekumeniczny, by nie powiedzieć: wizerunkowy dla odłamów chrześcijaństwa, które nie potrafiły porozumieć się nawet w tak prostej, wydawałoby się, sprawie. Temat podjął więc Sobór Watykański II, proponując – w załączniku do Konstytucji o Liturgii Świętej, „Sacrosanctum Concilium” z 1963 r. – „by święto Wielkanocy było przypisane do konkretnej niedzieli”, pod warunkiem, że nastąpi to za „zgodą zainteresowanych, zwłaszcza braci odłączonych od komunii ze Stolicą Apostolską”.

Do tej myśli wielokrotnie nawiązywał Franciszek; w 2018 r. poddał nawet ten temat pod dyskusję na spotkaniu z patriarchami Bliskiego Wschodu. Apel o ustalenie jednej daty znalazł się także w jego liście ogłaszającym Rok Jubileuszowy 2025. A także we wspomnianej na początku homilii, wygłoszonej na zakończenie Tygodnia Modlitw o Jedność Chrześcijan.

Lepszej okazji jak 1700. rocznica Soboru Nicejskiego szybko ku temu nie będzie.

© © EDWARD AUGUSTYN, MACIEJ MÜLLER



PRZEMYSŁAW JENDROSKA / TEATR ŚLĄSKI

Sesja do spektaklu „Tkocze” w reżyserii Mai Kleczewskiej, Walcownia Cynku w Katowicach

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
„TP” 6/2025

Wiosna w teatrach

DARIUSZ KOSIŃSKI

Zapowiedzi wydarzeń teatralnych na pierwszą połowę roku budzą nadzieję. Już hasłowa lista premier powinna obudzić teatromanów z zimowego snu.

Listę premier **Teatru Współczesnego w Szczecinie** otwiera „Dom niespokojnej starości” autorstwa i w reżyserii nowego dyrektora, Michała Buszewicza. To spektakl podejmujący jedno z najważniejszych, a w polskim teatrze słabo obecnych zagadnień realnego życia – staro-

ści (premiera 22 lutego). Dokładnie miesiąc później Teatr Współczesny proponuje przetrzucie się na drugi biegun – ku uosabiającym młodość i uniesienie surferom („Surfuj albo giń” w reżyserii Bartłomieja Juszcaka i Marcellego Osowickiego). W maju zaś uraczy nas legendarnym „Paprykarzem szczecińskim”,

który w autorskiej, muzycznej wersji zasługują Michał Kmiecik i Marcin Liber.

Niezwykle atrakcyjne plany ma gdańskie **Wybrzeże**. Już 7 lutego nastąpi tu „Potop”, który przygotowuje Michał Siegoczyński, nurkujący w nieoczywiste znaczenia powieści Henryka Sienkiewicza. Trzy tygodnie później na scenie w Sopocie →

→ pojawi się rzadko goszczący w polskich teatrach „Brytanik” Jeana Racine’a w reżyserii Grzegorza Wiśniewskiego.

Wiatr nowości mocno wieje też z Warmii, zwłaszcza odkąd **Teatr im. Jaracza w Olsztynie** objął Paweł Dobrowolski. Wiosną trzeba będzie tam ruszyć, by obejrzieć odwołujące się do legendarnego filmu Almodovara „Złe wychowanie” duetu Jędrzej Piaskowski i Hubert Sulima, adaptację „Lat” Annie Ernaux w reżyserii Tomasza Fryzła, „Mewę” Antona Czechowa w reżyserii Igora Gorzkowskiego, nowy projekt szekspirowski Weroniki Szczawińskiej, a wreszcie „Nieśmiertelnego”, którego na podstawie książki Bożeny Keff przygotowuje Michał Buszewicz. Aż się prosi, żeby dla tych, co mają do Olsztyna dalej niż z Warszawy, dyrekcja zrobiła wiosną przegląd swoich premier, bo inaczej trudno będzie to wszystko zobaczyć.

Rywalizacja dwóch stolic województwa kujawsko-pomorskiego ma też pozytywne strony, w tym – teatralną. W **Toruń** i **Bydgoszcz** od lat nie można narzekać na brak scenicznych atrakcji. Podobnie będzie i w tym sezonie. Toruński **Teatr im. Horzycy** zaprasza na dwie ważne inscenizacje polskiej literatury współczesnej. Najpierw Eva Rysowa przedstawi prapremierę dramatu Ishbel Szatraskiej „Objects in Mirror Are Closer Than They Appear”, a następnie Krzysztof Rekowski zaprezentuje spektakl „Czarna ręka, zsiadłe mleko”, oparty na opowiadaniach Katarzyny Szaulińskiej.

Z kolei **Teatr Polski w Bydgoszcz** pod dyktando Beniamina Bukowskiego zapowiada frapujące reinterpretacje klasyki: „Zemstę” Fredry przeniesioną przez Radosława Rychcika na Dziki Zachód i nową adaptację głośnych „Zmór” Emila Zegadłowicza w reżyserii Jana Jelińskiego (przełom marca i kwietnia).

Reinterpretacjami klasyki frapuje widzów od dawna **Teatr Polski w Poznaniu**, dla którego rok 2025 jest rokiem jubileuszu 150 lat istnienia (szczegóły na kolejnych stronach). Otworzy go premiera „Pana Tadeusza” Adama Mickiewicza w reżyserii Kamila Bielaszka, znanego na scenie raperskiej jako Koza. Na rapowaną epopeję narodową warto rezerwować bilety, bo premiera planowana jest na kameralnej scenie Malarnia. Kolejne zapowiedzi Polskiego na pierwszą połowę roku jubileuszowego to „Pigmalion”



„Dom niespokojnej starości” autorstwa i w reżyserii nowego dyrektora, Michała Buszewicza. Spektakl Teatru Współczesnego w Szczecinie

George’a Bernarda Shawa w reżyserii Mikity Ilinczuka, z Elizą jako przybyszką ze Wschodu (marzec), oraz „Chopin 2025” w reżyserii Piotra Sędkowskiego, także absolwenta pianistki (czerwiec).

Nie ma wątpliwości, że i ilościowo, i jakościowo od lat centrum polskiego teatru jest **Warszawa**. Stolicę czekają w tym roku istotne zmiany, związane z konkursami na dyrekcje teatrów Narodowego i Powszechnego, a także z pierwszym sezonem nowej dyrekcji w Dramatycznym.

Jan Englert pożegna się ze **sceną przy placu Teatralnym** w prawdziwie wielkim stylu: własną inscenizacją „Hamleta”. Paweł Łysak na koniec swej obecnej dykcji w **Powszechnym** wyreżyseruje „Wiśniowy sad” Czechowa, ostatnią zaś premierą tego sezonu będzie „Kobieta samotna” w reż. Anny Smolar na podstawie filmu Agnieszki Holland.

Wojciech Faruga i Julia Holewińska, którzy podjęli się niezwykle trudnej misji kierowania **Teatrem Dramatycznym** po katastrofie dykcji Moniki Strzępki, otworzą w lutym swoją dykcję adaptacją książki Elizy Kąckiej „Wczoraj byłaś zła na zielono” w reżyserii Anny Augustynowicz. W marcu przedstawia swoje autorskie przedstawienie „Anioły w Warszawie”, które, nawiązując do znanego dramatu Tony’ego Kushnera, podejmie temat epidemii AIDS w Polsce pod koniec ubiegłego wieku.

W maju na scenę Dramatycznego wróci jego były dyrektor Paweł Miśkie-

wicz, który wraz z Joanną Bednarczyk przygotuje adaptację „Jednego dnia z życia Abeda Salamy” Nathana Thralla. Sezon zakończy zaś prawdziwa sensacja: adaptacja hippisowskiego musicalu „Hair” w reżyserii Małgorzaty Warskiej.

Ulokowane po przeciwnej stronie Pałacu Kultury **Studio** w roku 2025 koncentruje działania wokół 140. rocznicy urodzin swojego patrona – Witkacego, wracając do jego idei Automatonu. Do tematu automatyzacji nawiązywać będzie projekt Open Studios dla zagranicznych i polskich artystów, a także premiery Anny Karasińskiej (czerwiec) i Natalii Korczakowskiej (wrzesień). Wcześniej Studio zaprezentuje odwołujący się do ostatniego dzieła Szekspira debiut Alexandra Dulaka „Ekspedycja: Burza”.

Nowy Teatr jako pierwszą premierę w nowym roku pokaże adresowane przede wszystkim do dzieci przedstawienie na podstawie książki Marzeny Matuszak „Człowiek jaki jest, każdy widzi”, które wyreżyseruje Katarzyna Minkowska (spektakl powstaje w koprodukcji z teatrem w Kielcach). W kwietniu, w czasie festiwalu **Nowe Epifanie**, odbędzie się premiera spektaklu Katarzyny Kalwat, osnutego wokół biografii francuskiej filozofki Sary Kofman. Natomiast w czerwcu Michał Borczuch zrealizuje dramat Tennessee’ego Williamsa „Nagle, zeszłego lata”.

Pierwszą tegoroczną premierą na scenie **TR Warszawa** będzie choreograficzne przedstawienie Pawła Sakowicza „Laguna”. Natomiast jako ostatnia zapowiadana jest realizacja robiącej międzynarodową karierę litewskiej reżyserki Liny Lapelytė, twórczyni znakomitej opery „Sun & Snow”. Roboczy tytuł jej muzycznego przedstawienia to „Dom kosmiczny”, a jego premiera odbędzie się 11 kwietnia.

W centrum teatralnej obfitości nie braknie też sensacyjnych premier klasycznych. I tak **Teatr Polski** zapowiada „Śluby pańskie” Fredry w reżyserii Dana Jemmetta, który przeniósł akcję do Londynu, oraz adaptację „Rękopisu znalezionego w Saragossie” Jana Potockiego w reżyserii Grzegorza Jarzyny. Z kolei w **Komedii** zawsze oryginalnie czytający klasykę Michał Żadara wyreżyseruje „Sen nocy letniej” Szekspira.

Dla szukających kulturalnej rozrywki na poziomie atrakcyjne propozycje



Na próbie spektaklu „Złe wychowanie” w Teatrze im. Stefana Jaracza w Olsztynie



Proces twórczy spektaklu „Laguna” Pawła Sakowicza w TR Warszawa

mają specjalizujące się w takim repertuarze warszawskie teatry **Współczesny** („Laborantka” Elli Road w reż. Anny Gryszkówny, „Historia miłosna” Alexisa Michalika w reż. Wojciecha Malajkata, „Szaleństwo nocy letniej” Davida Greiga i Gordona McIntyre’a w reż. Ewy Konstancji Bułhak) oraz **Ateneum** („Wojna totalna” Marii Gustowskiej w reż. Grzegorza Damięckiego, „Grzesiuk” Michała Siegoczyńskiego).

Centralną obfitość wzmacniają też propozycje nieodległych od Warszawy scen łódzkich. **Teatr im. Jaracza w Łodzi** jest w okresie zmiany dyrekcji, ale proponuje premierę „Zamiany” Paula Claudela w reżyserii Marka Pasiecznego. **Teatr Nowy** zapowiada na wiosnę premiery „Nocy szpilek” Santiaga Roncagliolo w reżyserii Piotra Pacześniaka (marzec), poświęconego problemom zdrowia psychicznego tekstu Michała Pabiana „Kto jest szalony: ja czy świat?” (reżyseria Ruslan Viktorov) oraz spektaklu muzycznego „Turyści” według pomysłu i w reżyserii Konrada Imieli.

W połowie drogi między centrum a górami koniecznie trzeba się zatrzymać w **Kielcach**, gdzie w będącym atrakcją samą w sobie odnowionym **Teatrze Żeromskiego** odbędą się wiosną niezwykle atrakcyjne premiery. Ich listę otwierają zapowiadane już na 1 lutego „Drzwi percepcji” Agnieszki Jakimiak i Mateusza Atmana, inspirowane głośną książką Aldousa Huxleya. Jako szczególne wydarzenie zapowiada się spektakl „Protest kielecki. Do kogo należą Kielce?” w reżyserii Jakuba Skrzywanka.

Również podwawelskie sceny mierzą w tym sezonie wysoko. I tak **Stary Teatr w Krakowie** pod nową dyрекcją Doroty Ignatjew i Jakuba Skrzywanka zaczyna rok od trzęsienia ziemi, czyli kolejnej realizacji Luka Percevala. Tym razem coraz bardziej polsko-flamandzki reżyser bierze na warsztat powieści Emila Zoli w projekcie zatytułowanym ostatecznie „Seks, hajs i głód”. Potem napięcie będzie rosło, bo kolejne premiery to „Straszny dwór” Moniuszki w reinterpretacji Anny Ob-

szańskiej, „Zamach na Narodowy Stary Teatr. Narodziny narodu”, autorski projekt Jakuba Skrzywanka, odwołujący się do głośnych zamachów terrorystycznych na teatry w Rosji, ale i do katastrofy smoleńskiej (marzec), „Sceny z życia małżeńskiego” według Ingmara Bergmana w adaptacji i reżyserii Katarzyny Minikowskiej (maj) oraz „Wiosna/lato”, autorski projekt Katarzyny Kozyry, nawiązujący do „Przebudzenia wiosny” Franka Wedekinda (czerwiec).

Narodowy Stary Teatr ma szansę na odzyskanie wiodącej pozycji nie tylko w Polsce, ale i w Krakowie, zważywszy, że jego wielki konkurent **Teatr Słowackiego** rozpoczyna remont historycznego gmachu. Jednak jeszcze przed nim zapowiadana jest na Dużej Scenie premiera „Ulissesa” Jamesa Joyce’a według Michała Borczucha. Później główną sceną Teatru stanie się Małopolski Ogród Sztuki, gdzie zobaczyć będzie można prapremierową adaptację opowiadań Doroty Masłowskiej „Magiczna rana” (Paweł Świątek) oraz „Zeitverschwendung” Szczepana Twardocha we wspólnej reżyserii autora oraz Roberta Talarczyka (maj).

W koprodukcji Teatru Słowackiego i **Łaźni Nowej** powstanie też adaptacja „Czerwonego i czarnego” Stendhala w reżyserii Bartosza Szydlowskiego, która pokazana zostanie późną wiosną. Z kolei w koprodukcji z Teatrem im. Żeromskiego w Kielcach Łaźnia przygotowuje kolejną premierę Mateusza Pakuły – adaptację jego książki „Skóra po dziadku”.

Jakby tego było mało, atrakcyjne premiery zapowiadają także teatry **Ludowy** i **Groteska**. Wśród planów tego pierwszego są „Kobieta – trzy wersje” w reżyserii Remigiusza Brzyka (marzec), „Tramwaj zwany pożądaniem” Tennessee’a Williamsa w reżyserii Darii Kopiec (maj) oraz „Folwark zwierzęcy” George’a Orwella w reżyserii Wojciecha Kościelniaka (czerwiec). Groteska zapowiada zaś adaptację opowiadania Ernesta Hemingwaya, „Stary człowiek i morze” oraz legendę rodzimego repertuaru dla dzieci (i nie tylko) – „Tymoteusza Rymcimcim” Jana Wilkowskiego.

Od kilku już lat teatromani krakowscy regularnie ruszają w krótką podróż do Katowic, przyciągani propozycjami **Teatru Śląskiego**. Zapewne w lutym znów wybiorą się tam tłumnie, by zobaczyć śląską wersję „Tkaczy” Gerharta Hauptmanna w przekładzie Mirosława →



TEATR ŻEROMSKIEGO / MATERIAŁ PRASOWY

Powyżej:
„Zemsta”
w Teatrze Polskim
w Bydgoszczy,
przeniesiona przez
Radosława Rychcika
na Dzikie Zachód

Po lewej:
Plakat przedstawienia
„Drzwi percepcji”
Agnieszki Jakimiak
i Mateusza Atmana
w Teatrze Żeromskiego
w Kielcach

→ Syniawy i reżyserii Mai Kleczewskiej. Trochę dalej z Krakowa do **Opola**, ale i tam warto się wybrać w marcu, by zobaczyć adaptację legendarnego „Wodzireja” Feliksa Falka w reżyserii Marcina Libera, a w czerwcu na premierę „Przedwiośnia” Stefana Żeromskiego w reżyserii Piotra Ratajczaka.

Kiedyś szczyty polskiego teatruwały we **Wrocławiu**. Choć upłynęło już dziesięć lat od zniszczenia **Teatru Polskiego**, stolica Dolnego Śląska wciąż nie może odzyskać dawnej rangi. Wątpię, czy szybko przyczynią się do tego wciąż daremnie oczekiwane decyzje w sprawie sceny przy Zapolskiej. Na szczęście ho-

noru Wrocławia dzielnie bronią teatry **Współczesny, Capitol i Pantomima**.

Ten pierwszy na wiosnę zapowiada m.in. premierę projektu *political fiction* Katarzyny Kalwat „Un-packing”. Drugi zaprasza na „Gry wstępne” Jolanty Janiczak w reżyserii Wiktora Rubina, osnute wokół historii tragicznej śmierci Gabby Petito. A trzeci ogłasza nastanie w czerwcu „Nowego wspaniałego świata”, który urządzi Anna Obszańska.

Sensacją będzie też zapewne premiera najgłośniejszego w ostatnich latach projektu niezrealizowanego, czyli „Heks” według powieści Agnieszki Szpili. To, co nie udało się w warszawskim Dramatycz-

nym pod dyktando Moniki Strzępki, ma szansę zaistnieć w **Teatrze Polskim w Podziemiu**, dzięki współpracy z reżyserką Moniką Pęcikiewicz.

Teatromani dolnośląscy nie muszą posilkować się wyłącznie scenami Wrocławia. Mają niedaleko **Wałbrzych i Legnicę**. **Szaniawski** proponuje w najbliższych miesiącach m.in. inscenizację „Immanuela Kanta” Thomasa Bernharda w reżyserii Agnieszki Olsten (marzec), adaptację kroniki parafialnej kościoła Zbawiciela w Wałbrzychu, czyli „Rok 1526” Przemysława Pilarskiego w reżyserii Jacka Jabrzyka (maj) oraz inscenizację „Flatlandii, czyli krainy płaszcza” Edwina Abbotta w reżyserii Krzysztofa Garbaczewskiego (czerwiec).

Legnicki **Teatr Modrzejewskiej** przechodzi stopniowo pod nową dyktando. Jaki teatr tworzy proponowany przez Jacka Głomba na następcę Błażeja Biegasiewicza, można się będzie przekonać oglądając „Juliusza Cezara” Szekspira, którego wystawi na odzyskanej Scenie na Piekarach (koniec marca). Wielki potencjał wydaje się też mieć druga legnicka propozycja: adaptacja „Opactwa Northanger” Jane Austen przygotowana przez Zofię Gustowską.

Krok za krokiem teatralnie dotarliśmy znad morza pod samiućkie Tatry, gdzie już czterdzieści lat działa **Teatr Witkego w Zakopanem**. Sezon zimowy zawsze jest dla tej sceny okresem szczególnej intensywności. Jej szczyt przypada na okolice 24 lutego, gdy zespół Andrzeja Dziuka świętuje swoje urodziny. Co przygotowuje zakopiański czterdziestolatek? Dowiadujcie się – na pewno będzie wiele niespodzianek. © DARIUSZ KOŚCIŃSKI

PODWÓJNE ŻYCIE SARY KOFMAN

Katarzyna Kalwat, reżyserka teatralna:

Kofman pokazuje, że tożsamość to rodzaj roli, której możemy się wyuczyć. Jej własne życie było nieustannym przekraczaniem granic.

Michał Sowiński: Kim jest Sarah Kofman, bohaterka Pani spektaklu?

Katarzyna Kalwat: Sarah Kofman to filozofka i pisarka związana z dekonstrukcjonizmem, współpracująca z Jakiem Derridą oraz Gilles'em Deleuze'em. U Deleuze'a pisała doktorat, u Derridy pracowała jako asystentka. Była niezwykle oryginalną postacią, ale nie znalazła się w kanonie wielkich filozofów.

Dlaczego?

Może dlatego, że nie budowała systemów filozoficznych, lecz je dekodowała. Jej prace tropiły ukryte mechanizmy rządzące męską filozofią, wprowadzając elementy kobiecej perspektywy i intymności. Była filozoficznym „wirusem”, przenikającym struktury, które przez dekady wydawały się niepodważalne.

Wirus w filozofii – brzmi ciekawie.

Kofman przepisywała wielkie teksty filozoficzne, ujawniając ich ukryte popędy i mechanizmy. Potrafiła wpisać figurę matki w teksty takich myślicieli jak Kant, Rousseau czy Freud. Derrida określał jej interpretacje jako nieprzejezdne. Była niezwykle płodna intelektualnie, łącząc filozofię ze sztuką i psychoanalizą. Jej teksty to interteksty, zbudowane z gęstej sieci cytatów i odniesień. Równocześnie miała odwagę wprowadzać osobiste wątki do swoich analiz, co było czymś

radikalnym w tradycji filozofii zachodniej, która dystansowała się wobec intymności.

Dla sztuki istotna jest również jej proza autobiograficzna.

To paradoksalne, ale pierwszy duży tekst autobiogra-



BARTEK WARZECHA / NOWY TEATR

ficzny Kofman – „Rue Ordener, Rue Labat” – był zarazem ostatnim. Wątki autobiograficzne w jej filozofii obecne były już we wcześniejszych pracach, m.in. w „Paroles suffoquées” („Zdławione słowa”), „La nourriture sacrée” („Przekłete jedzenie”), ale dopiero w tym dziele Kofman otwarcie zmierzyła się ze swoją własną historią. To opowieść o świadomym porzuceniu żydowskiej tożsamości i tworzeniu nowej, zastępczej, co stało się jej strategią przetrwania.

Czy ta „zastępcza tożsamość” może być kluczem do zrozumienia jej filozofii?

Myślę, że tak. Kofman pokazuje, że tożsamość to rodzaj roli, której możemy się wyuczyć, co kwestionuje choćby dogmaty narodowe czy kulturowe. Jej własne życie było nieustannym przekraczaniem granic. To zderzenie pierwszego domu, tradycyjnego, żydowskiego, i drugiego, miejsca transgresji, gdzie stworzyła nową siebie, jest centralnym wątkiem naszego spektaklu „Kofman. Podwójne wiązanie”.

Czy filozofia Sary Kofman może mieć znaczenie dla współczesnej debaty, dyskusji politycznych?

Absolutnie. Kofman uczy nas, że tożsamość nie jest dana raz na zawsze. W świecie narastających podziałów i wojen kulturowych jej przesłanie

KATARZYNA KALWAT

– reżyserka, absolwentka psychologii na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie oraz Wydziału Reżyserii Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie. Do jej najważniejszych spektakli należą m.in. „Rechnitz. Opera – Anioł Zagłady” (TR Warszawa, 2018), „Maria Klassenberg” (TR Warszawa, Raster, 2020), „Powrót do Reims” (Nowy Teatr w Warszawie, Łaźnia Nowa w Krakowie, 2020), „Art of living” (Narodowy Stary Teatr w Krakowie, 2023) oraz „Młody mężczyzna” (Wrocławski Teatr Współczesny, 2024).

o tym, że tożsamość można świadomie budować, jest bardzo aktualne. Jej prace przypominają, że za każdą strukturą kryją się osobiste historie, które wpływają na nasz sposób myślenia i działania.

Czyli próbuje Pani połączyć wymiar filozoficzny oraz osobiste doświadczenia?

Tak, bo życie Kofman jest kluczem do zrozumienia jej dzieł. W spektaklu pokazuję, jak praca filozoficzna mogła być formą obrony przed cierpieniem. Pokazuję, jak struktury intelektualne i język, którego używamy, odsuwają od nas trudne doświadczenia z dzieciństwa. Język zresztą znakomicie trzyma w ryzach nasze cierpienie zarchiwizowane w ciele. Kofman nauczyła się tworzyć zbroje intelektualne, ale w jej pismach mocno przebija ból. To łączy jej biografię z biografiami wielu współczesnych intelektualistek i intelektualistów.

Dlaczego warto dzisiaj sięgnąć po jej twórczość i biografię?

Bo Kofman wprowadza nas w filozofię, która jest żywa, intymna i bliska codzienności. Pokazuje, że za skomplikowanymi systemami kryją się ludzie z krwi i kości. Jej prace pomagają zrozumieć, że filozofia nie musi być abstrakcją, może być także lustrem życia. W dobie kryzysów to bardzo potrzebne.

NOWY TEATR

Kofman. Podwójne wiązanie

Reżyseria: Katarzyna Kalwat

Tekst: Janusz Margański,

Monika Muskała

Scenografia: Zbigniew Libera

Muzyka: Wojtek Blecharz

Reż. światła, zdjęcia do filmu:

Marcin Koszałka

Kostiumy: Katarzyna Kalwat,

Saskia Hellmann

Opracowanie architektoniczne koncepcji scenografii:

Saskia Hellmann

Asystentki reżyserki:

Maja Wiśła-Szopińska,

Saskia Hellmann

Instrumentalistka: Aleksandra Demowska-Madejska

(Hashtag Ensemble)

Obsada: Ewa Dałkowska,

Małgorzata

Hajewska-Krzysztofik,

Maja Ostaszewska,

Jacek Poniedziałek

Koprodukcja: Nowy Teatr,

Festiwal „Nowe Epifanie”

(Centrum Myśli Jana Pawła II)

Premiera 10 kwietnia 2025 r.

podczas 16. edycji Festiwalu

„Nowe Epifanie” w Nowym

Teatrze w Warszawie



Próba do spektaklu „Faustyna. Falszyfikat”

ŁUKASZ KOŁENDER / MATERIAŁY PRASOWE

Nowa premiera w Łaźni Nowej

„Faustyna. Falszyfikat” w reżyserii Ewy Galicy i na podstawie scenariusza Mariusza Gołosza będzie pierwszą premierą Teatru Łaźnia Nowa w 2025 r. To kolejna po „Latającym Potworze Spaghetti” produkcja podejmująca tematykę religijną.

Tę historię w Polsce zna prawie każdy: Faustyna Kowalska jest biedną dziewczyną ze wsi pod Łodzią, której objawia się Jezus. Wstępuje do klasztoru, a Jezus objawia się jej jeszcze wiele razy, przekazując rady i wskazówki, m.in. dotyczące tego, jak namalować jego wizerunek.

To właśnie od tej historii początek bierze krakowski spektakl. Ale nie jest to przedstawienie o życiu, pasji i wierze św. Faustyny. Mariusz Gołosz, jeden z najbardziej cenionych polskich dramatopisarzy młodego pokolenia, którego spektakle są wystawiane coraz częściej na scenach w różnych miastach Polski i nagradzane na wielu konkursach, napisał tekst o innej Faustynie.

To współczesna bohaterka, studentka ASP, która próbuje namalować perfekcyjny obraz. Ze słynną świętą łączy ją jednak niepokojące, tajemnicze powinowactwo. Na swej drodze spotyka dwie ważne osoby: ku-

ratorkę, która staje się jej mentorką i przewodniczką po świecie sztuki i duchowości, oraz Arka, incela, który marzy o tym, żeby poznać dziewczynę.

„W rzeczywistości Faustyna szukała kogoś, kto namaluje dla niej Jezusa takim, jakim zobaczyła go w swoich objawieniach. Uznałem, że ciekawiej będzie, jeśli w naszej historii Faustyna sama będzie malować Jezusa. Ta relacja mogła stać się dzięki temu bardziej intymna, a przecież właśnie tak, według »Dzienniczka«, wyglądała ich więź. To nie było koleżeństwo, tylko pełna namiętności relacja” – mówi Mariusz Gołosz, autor scenariusza spektaklu.

Tekst Gołosza wystawia Ewa Galica, utalentowana reżyserka młodego pokolenia, która pracę artystyczną łączy z działaniami społecznymi, między innymi prowadząc warsztaty teatralne w ramach projektu Lanterna Futuri dla młodzieży z Czech, Niemiec i Polski. Dwukrotnie otrzymała Nagrodę Verba podczas Forum Młodej Reżyserii: za spektakle „A ja żyję bardzo” oraz „Minuta w ciemności”. Jej prace pokazywane były na festiwalach takich jak Kontrapunkt w Szczecinie, Open The Door w Katowicach, FIST w Belgradzie, Warszawskie Spotkania Teatralne, Kommen und Gehen w Görlitz, Die-Wo-Spielen w Stuttgarcie czy Festiwal Szekspirowski w Gdańsku.

Zapytana o to, dlaczego zdecydowała się zrobić przedstawienie inspirowane postacią Faustyny Kowalskiej, reżyserka komentuje: „Jej postać, historia to dla nas tylko punkt wyjścia. Nie chciałam robić spektaklu o niej, ale o tym, co ona we mnie, czy raczej w nas wszystkich, obudziła, do jakich refleksji i wniosków dochodziliśmy, badając jej życie. O tym, jakie myśli w nas wywołała. W pracy nad tym spektaklem staramy się w jakimś sensie odbić od „Dzienniczka”, przenieść zawarte tam idee w dzisiejsze czasy i przefiltrować je przez nasze wrażliwości i nasze doświadczenia”.

Galica, we współpracy z choreografem Andrzejem Michalskim, tworzą opowieść rozpiętą między duchowością a cielesnością, w której dwie osoby tłumiące swoją fizyczną ekspresję mogą się przekonać, czym są namiętność i żarliwość, a hasło „ufam Tobie” nabiera w ich relacji całkiem praktycznego wymiaru.

„Wszystkie emocje św. Faustyny: bezsilność czy euforia, są mocno zespolone z ciałem i to właśnie ciało w nich uczestniczy. Podobnie jest w przypadku choroby i cierpienia. Jesteśmy silnie cielesnymi istotami – siostry zakonne nie są tu wyjątkiem. W podróży duchowej, dopóki realizuje się za życia, również uczestniczy ciało i to samo się dotyczy naszej Faustyny, studentki ASP” – mówi Andrzej Michalski, odpowiedzialny w spektaklu nie tylko za choreografię, ale też za dramaturgię i światło.

Na scenie zobaczymy dwójkę młodych aktorów: Agnieszkę Sawicką oraz Mateusza Flisa, a także znakomitą aktorkę Narodowego Starego Teatru – Katarzynę Krzaniowską.

„Religijność Faustyny czytam według nieoczywistego klucza – mówi Agnieszka Sawicka, odtwórczyni roli tytułowej. – Wydaje mi się, że jej poszukiwania na płaszczyźnie religijnej były swego rodzaju mechanizmem zastępczym. Mam wrażenie, że tak naprawdę tym, czego potrzebowała ta dziewczyna, było poczucie bycia wyjątkową, wybraną. Czy potrzebowała religii jako takiej? Czy raczej potrzebowała przeżyć coś »na maksa«, radykalnie, namiętnie?”.

PREMIERA: 7 lutego 2025 r., godz. 19.00

Kolejne pokazy:

8 i 9 lutego, 7, 8 i 9 marca 2025 r.,

godz. 19.00

Bilety dostępne na stronie: laznianowa.pl



Teatr Polski w Poznaniu _ 1875



1875 — 2025

www.teatr-polski.pl

Teatr Polski w Poznaniu obchodzi 150. urodziny

Powstał w czasie zaborów w XIX wieku i jest najstarszym teatrem w Poznaniu oraz jednym z najstarszych w Polsce. Na jego deskach i za kulisami można było spotkać m.in. Stefana Jaracza, Juliusza Osterwę, Gabriellę Zapolską czy Helenę Modrzejewską.

Jego powstanie pod zaborami stało się możliwe, gdy 26 czerwca 1869 r. uchylono tzw. ustawę procederową, nakazującą wystawianie spektakli w języku niemieckim, wówczas urzędowym. Polacy powołali spółkę, wypuścili na rynek „akcyje”, których sprzedaż miała sfinansować budowę, i zaczęła się społeczna zbiórka funduszy. Na Teatr Polski w Poznaniu składali się jednak nie tylko poznaniacy i Wielkopolanie, ale też rodacy spod wszystkich zaborów.

Budynek zlokalizowany został przy ulicy Berlińskiej (dziś ul. 27 Grudnia), tuż obok działającego niemieckiego Teatru Miejskiego (dziś w budynku Ar-

kadii przy placu Wolności swą siedzibę ma m.in. Teatr Ósmego Dnia). Dokładnie 8 kwietnia 1873 r. położono kamień węgielny pod budowę nowej sceny. Działka, na której powstawał teatr, miała nieregularny kształt, powierzchnię 2 tys. metrów kwadratowych i była z trzech stron obudowana kamienicami. Aby gmach wyglądał reprezentacyjnie, wzniesiono go w głębi posesji i poprzedzono dziedzińcem z fontanną.

Teatr uroczystie otwarto 21 czerwca 1875 r. spektaklem zagranym przez amatorów („Wąsy i peruka” Józefa Korzeniowskiego), a 25 września tego samego roku zainaugurowano istnienie stałej sceny zawodowej spektaklem „Zemsta” Aleksandra Fredry.

Teatr Polski w Poznaniu miał w ówczesnym czasie charakter sceny narodowej. By upamiętnić fakt, że powstał wysiłkiem całego społeczeństwa polskiego, na jego froncie został umieszczony napis „Naród sobie”.

Przez poznańską scenę przevinęły się tuż teatru polskiego – od świetnych dyrektorów przez wybitnych twórców po charyzmatycznych aktorów. Można tu było zobaczyć Stefana Jaracza, Juliusza Osterwę, Ludwika Solskiego i Gabriellę Zapolską. Tu występowała Helena Modrzejewska, której każda wizyta w Poznaniu była niemal świętem. Tu zarządzaniem zajmowali się Nuna Młodziejowska-Szczurkiewiczowa i jej mąż Bolesław Szczurkiewicz, wybitny dyrektorski team. Tu debiutował jako reżyser Adam Hanuszkiewicz. Tu wreszcie dyrektorem był Wilam Horzyca, który po nieprzyjemnym zwolnieniu z pracy przez ówczesne komunistyczne władze rzucił – jak głosi legenda teatralna – klątwę na Teatr Polski w Poznaniu.

Klątwa najwyraźniej (i na szczęście!) przestała działać, bo Teatr Polski w Poznaniu w przededniu swojego 150-lecia jest jedną z najbardziej znaczących scen w Polsce. Swoje spektakle wystawiają tu najlepsi reżyse-

rzy, tu debiutują twórcy, o których zabiegają później inne sceny, tu powstają inicjatywy, które decydują o kształcie współczesnego teatru.

W Teatrze Polskim w Poznaniu od lat aktorzy mierzą się z monologami szekspirowskimi w konkursie Modjeska Calling, który powstał w hołdzie dla Heleny Modrzejewskiej. Wybitna polska aktorka walczyła przyczyniła się do powstania poznańskiej sceny.

W Teatrze Polskim widzowie mają szansę poznać twórców i spektakle z innych krajów Europy i świata podczas Festiwalu Bliscy Nieznajomi. To właśnie tu odbywa się cyklicznie środowiskowa konferencja poświęcona systemowym zmianom w polskim teatrze oraz nowym modelom pracy teatralnej – TeatrOdNowa.

Wreszcie, niemal dokładnie w 150. rocznicę powstania Teatru, planowany jest kompleksowy remont zabytkowego gmachu. Remont, który ma przywrócić blask zachwycającemu XIX-wiecznemu budynkowi, unowocześni wszystkie systemy pozwalające wystawiać spektakle i dostosować scenę do wymagań widza XXI wieku.

Do zobaczenia w Teatrze Polskim w Poznaniu!

„Straszny dwór” – ucieczka z Traumalandu

Daria Będkowska

Sala im. Heleny Modrzejewskiej w sercu Starego Teatru – narodowej sceny, mieszczącej się przy ulicy Jagiellońskiej, nieopodal historycznego Rynku, nad którym wznosi się bazylika Najświętszej Maryi Panny. Kawalek dalej Wawel, siedziba królów polskich. Prawdopodobnie trudno byłoby reżyserce Annie Obszańskiej znaleźć miejsce bardziej nadające się do wystawienia narodowej opery „Straszny dwór” Stanisława Moniuszki. I trudno wskazać miejsce, które bardziej domagałoby się dekonstrukcji narodowego mitu, który został w tej operze zawarty.

Samo umieszczenie spektaklu w przestrzeni zabytkowej Sali Modrzejewskiej – dawnej sali reductowej – buduje znaczący kontekst, dopełniany zresztą przez wyraziste elementy scenograficzne Jana Baszaka, nawiązujące do miejsc polskiej martyrologii, i groteskowo makabryczne kostiumy Mateusza Jagodzińskiego. W tej wyjątkowej przestrzeni stoi „Straszny dwór” – dom grozy, escape room bez wyjścia nawiedzany raz po raz przez upiory przeszłości, których jest pełno w naszej historii i które nie mogą odejść w spokoju. Nie mogą odejść, bo stale są przywoływane, wyciągane na światło dzienne, upolityczniane, ciągle na nowo opisywane w szkolnych podręcznikach, literaturze, filmie, sztuce i wreszcie w teatrze. Nie bez przyczyny ważnym kontekstem spektaklu są patriotyczne kadry z filmów Andrzeja Wajdy i wstrząsające obrazy Andrzeja Wróblewskiego – pełne wyestetyzowanej przemocy i uszlachetnionej śmierci.

Inspirując swój spektakl głośnym esejem Michała Bilewicza „Traumaland. Polacy w cieniu przeszłości”, twórczyni i twórcy próbują zmierzyć się z tym, co nawiedza straszny dwór, co nawiedza nas jako naród, z historią naznaczoną śmiercią, krzywdą, ciągłą traumą. Jak pisze w programie teatralnym dramaturg spektaklu Maciej Podstawny: „Celebracja zwycięstw, klęsk i poświęceń, skupiająca kulturę Polski wokół martyrologii i pamięci będzie po wielokroć powielana, lokowana w kolejnych odsłonach dziejów – i na stałe będzie definiować polską edukację, politykę i sztukę. Mono-



NARODOWY
STRASZNY
DWÓR

kultura traumy i martyrologii rodzi paradoksy; nawiedza Polskę, napędza Polskę. I – jak każdy strach – paraliżuje i upośledza”.

Historia rozumiana jako zbiór wydarzeń dociera do nas zawsze za pośrednictwem języka – tekstu kultury. Doświadczamy historii poprzez tekst bądź obraz, który jest zbudowany zgodnie z wolą jego autora, konstruowany. Stąd decyzja Anny Obszańskiej o wystawieniu spektaklu, który ogranicza narrację, jest tutaj kluczowa. Jak twierdzi sama reżyserka: „Decyzja o nieużywaniu słowa – ograniczenia jego obecności do minimum – nie jest tylko wybo-

rem estetycznym. Jest dla mnie autorskim manifestem rzeczywistości, w której język zawodzi. Staje się niewystarczający, niepojemny. Może fałszować komunikat, może być również świadomie używany do mówienia nieprawdy. Dużo trudniej kłamać za pomocą ciała. Poszukuję w teatrze sposobów, które pozwolą ciału stać się nośnikiem treści, emocji i tematów. Obok innych narzędzi teatralnych ciało może być równoprawną, czasem najskuteczniejszą formą narracyjną”.

Cielesność staje się w spektaklu odrębnym bohaterem, odgrywanym przez doskonały zespół aktorski (Krzysztofa Globiśa, Ewę Kolasinśką, Adama Nawojczyka, Błażeja Peszka, Beatę Malczewską, Paulinę Kondrak i Łukasza Szczepanowskiego) w sposób nietypowy dla teatru dramatycznego za pomocą właściwie tylko ruchu i śpiewu. Obszańska podejmuje temat ciała – manifestującego, rozczłonkowanego, kalekiego, które straszy i odstrasza, jest nośnikiem traumy, nośnikiem naszej zbiorowej pamięci. Co dzisiaj straszy Polaków? Czy mając tak głęboko zakodowaną w sobie wojnę i ciągle poczucie zagrożenia, możemy oprzeć się narodowej fobii? Czy możemy nie bać się innych? Czy możemy afirmować życie?

Stanisław Moniuszko, wraz z autorem libretta Janem Chęcińskim, wypełnili „Straszny dwór” pewnym modelem patriotyzmu, który zdaje się obowiązywać do dziś. To patriotyzm skupiony na doznawanych prześladowaniach, traktujący innych jak wrogów, patriotyzm, który został naznaczony krzywdą, trwogą, w którym nie ma miejsca na radość. Obszańska z Podstawnym rozkładają ten model, przyglądają się mu z bliska, ale – co chyba najistotniejsze – mówią mu: dość.

Swoją niechęcią do uczestnictwa w tej traumatyzującej lekcji historii doskonale wpisują się w ogólny trend Starego Teatru, zapoczątkowany w tym sezonie otwarciem Nowej Sceny im. Eve Adams i spektaklem poświęconym tej niezwyklej bohaterce („Nieustraszona miłość Eve Adams”, reż. Olga Ciężkowska), tak różnej od naszych narodowych, skąpanych w krwi, walczących bohaterów. Model kultury traumatycznej trzeba zanegować, jak zdają się twierdzić Anna Obszańska i Maciej Podstawny, a przynajmniej zrewidować. Jeżeli tego nie zrobimy, utkniemy w upiornym, smutnym muzeum, w naprawdę „straszny dwór”.



Gran Teatre del Liceu w Barcelonie

Szlakami operomanów

DOROTA KOZIŃSKA

Okazjonalny wypad za granicę, połączony z wizytą w miejscowej operze, może kosztować znacznie mniej i dostarczyć nieporównanie większej przyjemności niż wczasy nad polskim morzem. Oto wskazówki, jaki kierunek wybrać w najbliższych miesiącach.

Lista życzeń i zażeń polskiego miłośnika opery systematycznie się wydłuża. Bywalcy narzekają na mizериę repertuarową naszych teatrów – i słusznie, bo trochę nie wypada tłumaczyć się drożyzną i opłakanym stanem finansów publicznych, skoro w Czechach publiczność może przebierać w operowych produkcjach jak w ulegalkach. Wystarczy przypomnieć, że w bieżącym repertuarze **Teatru Narodowego w Pradze** znalazło się ponad czterdzieści tytułów. Niewiele uboższa, a pod wieloma względami ciekawsza, jest oferta **Janáčkového divadla w Brnie**, na ogół znakomicie przygotowana pod względem muzycznym i teatralnym.

Miłośnicy operowych gwiazd narzekają, że nie mogą usłyszeć ich w Polsce – sama prawda, choć obawiam się, że brak zainteresowania wybitnych artystów występami na naszych scenach wynika nie tylko z wygórowanych oczekiwań finansowych, lecz także, a może przede wszystkim, z braku ciekawych propozycji i możliwości współpracy ze światowej klasy dyrygentami. Wielbiciel znanych polskich głosów żałują, że łatwiej usłyszeć je za granicą: nie muszę chyba tłumaczyć, że polskie gwiazdy decydują się na występy w innych teatrach dokładnie z tych samych powodów, z jakich światowe sławy omijają nasz kraj.

Skoro jednak czujemy się obywatelami Europy, przestańmy rozpaczć i zrobmy sobie dobrze sami, do czego trzydzieści lat temu nawoływali autorzy pewnej piosenki kabaretowej. Kto woli zostać w domu, może zapoznać się ofertą platformy **OperaVision** i przez pół roku od daty udostępnienia bezpłatnie oglądać inscenizacje z trzydziestu teatrów zrzeszonych w organizacji Opera Europa. Darmowe retransmisje (z polskimi napisami) są też w programie **telewizji ARTE**, czasem na tę formę pozyskiwania nowej publiczności decydują się również renomowane teatry, m.in. wiedeńska Staatsoper i Théâtre de la Monnaie w Brukseli.

Osobiście jednak polecam zebrać się na odwagę, by sprawdzić na własne uszy i oczy, co dzieje się w innych częściach Europy. Zawód latającego krytyka freelancera uprawiam od lat kilkunastu i oświadczam z całą mocą, że okazjonalny wypad za granicę, połączony z wizytą w miejscowej operze, może kosztować znacznie mniej i dostarczyć nieporównanie większej przyjemności niż wczasy nad polskim morzem albo wycieczka objazdowa. Pod warunkiem, że zorganizujemy go sobie sami, dobrze się →

→ zastanowimy, na co chcemy się wybrać, a przy okazji nie odmówimy sobie rozkoszy zwiedzania, smakowania lokalnej kuchni i poznawania atmosfery regionu.

Zdaje sobie sprawę, że nie każdy podziela moje upodobania, w których twórczość Wagnera, opera barokowa i zapomniana spuścizna XX-wiecznych modernistów często wygrywa z tak zwanym mainstreamem. Zacznę jednak od krótkiego podsumowania moich własnych planów na najbliższe miesiące, które przecież i tak mogą się jeszcze zmienić.

W lutym wybieram się do **St. Gallen** na kolejną premierę w inscenizacji Krystiana Lady. Tym razem zmierzy się on z legendą „Makbeta” Verdiego – pod batutą Carla Goldsteina, jednego ze współtwórców sukcesu brukselskiego spektaklu „Rivoluzione & Nostalgia”, dwuczęściowego pasticcia złożonego przez Ladę z fragmentów wczesnych oper Verdiowskich, i w tym samym teatrze, gdzie polski artysta wyreżyserował „Lili Elbe” Tobiasa Pickera, wyróżnioną prestiżową Oper! Award za najlepszą prapremierę 2023 roku.

W marcu być może dogonię „Śpiewaków norymberskich” Wagnera w reżyserii Laurenta Pelly’ego, których nie zdążyłam w ubiegłym roku obejrzeć w Teatro Real w Madrycie: w tym sezonie, w ramach koprodukcji, spektakl trafi na scenę **Opery Królewskiej w Kopenhadze**, pod dyktando Axela Kobera, jednego z najwybitniejszych współczesnych dyrygentów wagnerowskich, od kilku sezonów regularnie występującego na festiwalach w Bayreuth.

Będzie okazja do porównań tej inscenizacji z tegoroczną premierą „Śpiewaków” na **Zielonym Wzgórzu** (w Bayreuth), gdzie w roli Walthera zadebiutuje fenomenalny amerykański tenor Michael Spyres. Tam jednak wybieram się dopiero w sierpniu, a wcześniej mam zamiar odwiedzić dwa ulubione festiwale barokowe: **Internationale Händel-Festspiele Göttingen**, gdzie George Petrou poprowadzi nową produkcję „Tamerlana” w reżyserii Rosetty Cucchi, ze znakomitym Lawrence’em Zazzo w partii tytułowej; oraz **Bayreuth Baroque**, którego punktem kulminacyjnym ma być premiera zapomnianej opery Francesca Cavallego „Pompeo Magno” – z udziałem Maksa Emanuela Cenčića w podwójnej roli reżysera i śpiewaka-protagonisty,



MARIUSZ ŚWITULSKI / ADOBE STOCK



ADOBE STOCK

oraz polskiego kontratenora Kacpra Szelażka w partii Arpalii.

W ramach tradycyjnego już objazdu letnich angielskich festiwali operowych przewiduję wizytę w **Longborough**, gdzie Anthony Negus odpocznie tym razem od Wagnera i przygotowuje „Pelleasa i Melizandę” Debussy’ego, oraz w Grange Park Opera, która zapowiada „Mazepę” Czajkowskiego w reżyserii Davida Pountneya i z charyzmatycznym Davidem Stoutem w roli tytułowego hetmana kozackiego.

Na tym jednak nie koniec operowych rarytasów, które polecę z lekkim ukłuciem zazdrości, że nie zdołam dotrzeć wszędzie, gdzie bym chciała. Na przełomie marca i kwietnia warto wybrać się do **Brukseli**, na „Zmierzc bogów”, ostatni człon „Pierścienia Nibelunga” w ujęciu Alaina Altinoglu, dyrygenta, pod którego

batutą Wagner zyskał niespodziewane dla wielu melomanów „francuskie” oblicze. Niestety, po drugiej części tetralogii ze współpracy z La Monnaie wycofał się Romeo Castellucci, jeden z największych wizjonerów współczesnego teatru, zastąpiony jednak w miarę godnie przez Pierre’a Audiego. Kto się zdecyduje na tę wyprawę, niech wpierw obejrzy poprzednie człony „Pierścienia”, dostępne bezpłatnie na stronie teatru.

Miłośników włoskiego belcanta gorąco namawiam do wizyty w **Bayerische Staatsoper w Monachium**, gdzie w czerwcu i lipcu będzie jeszcze szansa dopaść „Córke pułku” z udziałem Sereny Sáenz w partii tytułowej i fenomenalnego Lawrence’a Brownlee w roli Tonia. Doskonale przyjętą inscenizację przygotowali dwaj specjaliści od oper



DIEGO GRANDI / ADOBE STOCK

Powyżej: Teatr Janáčka (czes. Janáčkov divadlo), czyli opera w Brnie.

Po lewej u góry:

wnętrze Opery Narodowej w Oslo.

Na dole: Bawarska Opera Państwowa w Monachium.

Donizettiego: reżyser Damiano Michieletto i dyrygent Stefano Montanari.

Majową wycieczkę do Włoch można sobie umilić spektaklem „Hamleta” Ambroise’a Thomasa w Teatro Regio di Torino, gdzie z barytonową partią duńskiego księcia zmierzy się nietypowo tenor John Osborne, a w roli Gertrudy wystąpi zjawiskowa francuska mezzosopranistka Clémentine Margaine. Kto lubi zderzenie baroku z nowoczesnością, a przegapił premierę „Giulio Cesare” Händla w Amsterdamie, ten kupi bilet na którejś z czerwcowych albo lipcowych przedstawień tej samej inscenizacji w **Gran Teatre del Liceu w Barcelonie**: pod dyktando legendy wykonawstwa historycznego Williama Christiego i w reżyserii Calixto Bieito, tym razem z Xavierem Sabatą w roli tytułowej.

Zamiast narzekać, że Krzysztof Warlikowski nie reżyseruje oper w Polsce, lepiej połączyć wiosenny wypad do Paryża z wizytą w **Théâtre des Champs-Élysées** i obejrzeć jego najnowszą produkcję: „Rosenkavaliera” Richarda Straussa z Marlis Petersen jako Marszałkową, Peterem

Rose w roli Ochsa i Mariną Viotti debiutującą w partii Oktawiana.

Można też wybrać się w podróż szlakami rzadziej uczęszczanymi przez polskich operomanów – choćby na północ Europy. Spektakl „Don Carlos” Verdiego w reżyserii Włocha Davide Livermore, zrealizowany w koprodukcji trzech teatrów z obszaru nordyckiego, w lutym i marcu zagości w **Helsinkach**, poprowadzony przez Hannu Lintu, obecnego szefa tamtejszej opery i jednego z najciekawszych fińskich dyrygentów średniego pokolenia. W **Oslo Operahuset** szykuje się w marcu premiera „Lisiczki Chytruski” Janáčka – pod batutą Edwarda Gardnera, nowego kierownika muzycznego teatru, i w inscenizacji Stefana Herheima, przeniesionej z Theater an der Wien, gdzie miała premierę w 2022 roku.

Kto chciałby sprawdzić, co dzieje się w stolicy naszych zachodnich sąsiadów, z pewnością nie pożałuje wycieczki na „Milczącą kobietę” Richarda Straussa, którą Christian Thielemann zainauguruje w lipcu swoją dyрекcję w berlińskiej **Staatsoper**, a jeśli woli „Kobietę bez cienia” tego samego kompozytora, powinien zainteresować się nową produkcją Tobiasa Kratzera pod kierownictwem muzycznym Donalda Runniclesa, od stycznia w repertuarze **Deutsche Oper Berlin**.

Zwolennikom niepowtarzalnej atmosfery letnich festiwali operowych niezmiennie polecam **Werone**, gdzie w tym sezonie nadarzy się niejedna okazja do spotkań z polskimi śpiewakami. Tytułową partię w „Aidzie” Verdiego 27 lipca zaśpiewa Aleksandra Kurzak, w innych terminach – za to aż siedmiokrotnie – w partii Amneris wystąpi Agnieszka Rehlis. Kurzak będzie też można usłyszeć w jednym z lipcowych przedstawień „Carmen” Bizeta (jako Micaele), a 14 sierpnia Piotr Beczała wystąpi jako Don Josè u boku wschodzącej gwiazdy Aigul Akhmetshiny w roli tytułowej.

Z udziałem Polaków odbędzie się też najgorętsza premiera tegorocznego festiwalu w **Aix-en-Provence**: „Don Giovanni” Mozarta pod batutą świętującego siedemdziesiąte urodziny Simona Rattle’a, z Magdalena Kożeną w roli Donny Elviry, André Schuenem w partii tytułowego rozpustnika oraz Krzysztofem Bączykiem jako Leporellem i Pawłem Horodyskim w roli Masetta.

A w sierpniu w **Salzburgu** kolejny spektakl Warlikowskiego, Verdiowski „Makbet” pod kierownictwem muzycznym Philippe’a Jordana, ze znakomitym białoruskim barytonem Vladislavem Sulimskim w roli tytułowej i Asmik Grigorian jako Lady Makbet; oraz kolejna okazja do spotkania ze sztuką wokalną Beczały, który wykona swą popisową partię w koncertowym wykonaniu opery „Andrea Chénier” Umberta Giordano pod dykcją Marca Armiliato.

Na koniec wspomnę o pewnym niezwykłym przedsięwzięciu, które albo wreszcie pogodzi wagnerystów z miłośnikami wykonawstwa historycznego, albo ich skłóci na dobre. Uroczysty finał dopiero za rok, w 150. rocznicę premiery „Pierścienia Nibelunga”, ale gdyby ktoś jeszcze w tym sezonie miał ochotę się przekonać, jak bardzo różnią się nasze wyobrażenia o jedynie słusznych interpretacjach Wagnera od oczekiwań samego kompozytora, niech spróbuje dopaść **Concerto Köln** w trasie koncertowej z „Zygfydem” pod batutą Kenta Nagano. Jeśli zetknięcie z prawdą historyczną wywoła zbyt silne emocje, uroki każdego z mijanych po drodze miast – począwszy od Pragi, przez Paryż, Kolonię i Drezno, na Lucernie skończywszy – gwarantują szybki powrót do równowagi.

© DOROTA KOZIŃSKA

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 6/2025

REDAKCJA: Monika Ochędowska | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
FOTOEDYCJA: Grażyna Makara | SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran
OPIKA WYDAWNICZA: Marek Bednarz

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Premiery Teatru Ateneum

**„Para nasycona” Mariana Opani oraz
„Mój syn chodzi, tylko trochę wolniej”
chorwackiego autora Ivora Martinicia
w reżyserii Iwony Kempy: oto propozycje
warszawskiego Teatru Ateneum
na najbliższe miesiące.**

Czy to spektakl? A może wieczór muzyczno-liryczny w najlepszej tradycji Teatru Ateneum? A może wszystko po trochu i jakiegokolwiek etykiety nie mają żadnego znaczenia? Zdecydowanie najbliższej nam do trzeciej wersji! Tym bardziej że „**Para nasycona**” (1) to autorskie dzieło Mariana Opani, człowieka, który wymyka się definicjom. Artysta z niego niepokorny i niemożliwy do poskromienia, dlatego można być pewnym, że żadna „Para nasycona” nie będzie taka sama.

Seans zapowiada się niezwykle, bo usłyszymy tu utwory z tekstami Jana Wołka i muzyką Jerzego Satanowskiego, co samo w sobie jest rekomendacją. Marian Opania (2) zaś nie będzie na scenie sam, do udziału w wieczorze zaprosił młode pokolenie Ateneum: Julię Konarską, Bartłomieja Nowosielskiego, Jana Wieteskę oraz, gościnnie, Iwonę Loranc (3).

Iwona Kempa odcisnęła już na deskach Teatru Ateneum swoją historię. Znakomita reżyserka zrealizowała tu „Ojca” z wybitną rolą Mariana Opani, „Nad Czarnym Jeziorem” oraz „To wiem na pewno”. W tych ostatnich spektaklach wspańnięte kreacje stworzyła Agata Kulesza, znajdując z Kempą szczególne porozumienie. Aktorka zagrała z równie fantastycznym Przemysławem Bluszczem – oboje mówią, że było to wyjątkowe spotkanie. „To wiem na pewno” stało się fenomenem – zdobycie biletów na przedstawienie do dzisiaj graniczy z cudem.

Teraz Kulesza i Bluszcz znaleźli się w obsadzie nowego spektaklu Kempy w Ateneum i znów można być pewnym prawdziwych wzruszeń. „**Mój syn chodzi, tylko trochę wolniej**” (4) chorwackiego autora Ivora Martinicia to opowieść o trzypokoleniowej rodzinie, która spotyka się przy okazji urodzin 25-letniego Franka. Jego choroba odciska się piętnem na życiu wszystkich. A jest to familia barwna ponad miarę: nadopiekuńcza matka, wycofany ojciec, babcia z demencją, ekscentryczna siostra, prostoduszna koleżanka.

W obsadzie obok Kuleszy i Bluszcza same gwiazdy: Maria Ciunelis, Paulina Gałązka, Magdalena Schejbal, Karolina Charkiewicz, Adam Cywka, Janusz Łagodziński, Paweł Gasztold-Wierzbicki oraz Jan Wieteska na zmianę z Krystianem Pestą.



TEATR ATENEUM / MATERIAŁY PRASOWE X4



PARA NASYCONA – spektakl autorski Mariana Opani
premiera: 7 lutego 2025 r.



MÓJ SYN CHODZI, TYLKO TROCHE WOLNIEJ
– spektakl Iwony Kempy
premiera: 1 marca 2025 r.

ATENEUM

Szczegóły i bilety na: teatrateneum.pl

Premiery Teatru Wielkiego w Łodzi

W Łodzi czekają niespodzianki dla wielbicieli przedstawień baletowych i opery, a także mnóstwo atrakcji dla najmłodszych widzów.

Wydarzenia Teatru Wielkiego w Łodzi, zaplanowane na drugą część sezonu 2024-2025, to wybór znakomitych, wzruszających, wielowymiarowych i wielowątkowych dzieł operowych, baletowych i koncertowych. Program został przygotowany z myślą o widzu młodszym i starszym, o odbiorcy w różnym wieku i o rozmaitych zainteresowaniach. Zaprezentujemy historie romantyczne, nostalgiczne, spektakle z wyjątkową, zapadającą w pamięć muzyką, utwory o treści uniwersalnej.

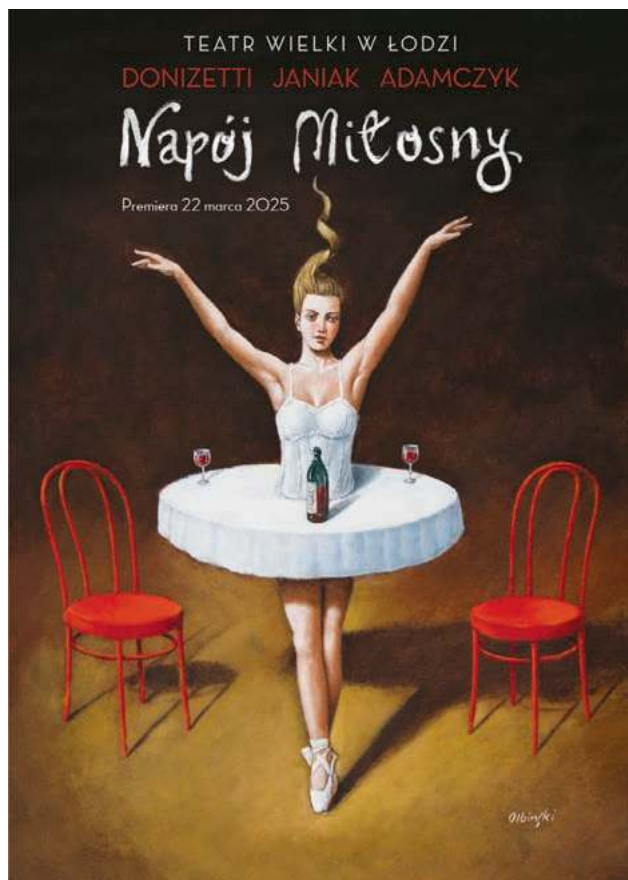
Już 22 marca 2025 r. odbędzie się premiera dwuaktowej opery komicznej **„Napój miłosny”** Gaetana Donizettiego z librettem Felice Romaniego. Przejmująca opowieść o uczuciu Nemorina do niezwykle Adiny i starania młodzieńca o rękę ukochanej, a zwłaszcza przepiękna aria **„Una furtiva lagrima”**, budzą zachwyt widzów od premiery w mediolańskim Teatro della Canobbiana w 1832 r. Reżyserem spektaklu w łódzkiej operze będzie Wojciech Adamczyk, kostiumy opracowane zostaną przez Marię Balcerek, a scenografię zaprojektuje Marek Chowaniec.

Teatr Wielki w Łodzi przygotował również ucztę dla wielbicieli przedstawień baletowych. Pod koniec kwietnia widzowie będą mogli obejrzeć premierę tryptyku baletowego, nawiązującego do motywów morskich. Trzy różne przedstawienia, trzech utalentowanych choreografów i trzech wybitnych kompozytorów. Spektakl **„Morze”** będzie obejmował trzy dzieła: **„La Mer”** Claude'a Debussy'ego (choreografia: Douglas Lee), **„Für Aline”** oraz **„Cantus for Benjamin Britten”** Arvo Pärta (choreografia: Jacek Przybyłowicz), **„Four Sea Interludes”** z opery **„Peter Grimes”** Benjamin Brittena (choreografia: Emanuel Gat).

Nie zabraknie również wydarzeń skierowanych do dzieci. Historia drewnianego chłopca, który chce stać się żywym człowiekiem i podejmuje rozmaite próby, a po drodze spotykają go zarówno sukcesy, jak i porażki. Baśń Collodiego z muzyką Jonathana Dove'a to dzieło pełne liryzmu i dowcipu. 1 czerwca 2025 roku zapraszamy na premierę **„Przygód Pinokia”**, inscenizacja pełna będzie zaskakujących zwrotów akcji, atrakcyjnych kostiumów, nie zabraknie również nowatorskiej, dynamicznej choreografii. Spektakl familijny od 9 lat. Zapraszamy też grupy szkolne. Reżyserem jest Robert Drobniuch, scenografia i kostiumy to dzieło Aleksandry Starzyńskiej.

Wśród propozycji Teatru Wielkiego niezmiennie znajdują się rozmaite działania o charakterze edukacyjnym. Propozycje obejmują zarówno plastyczne warsztaty edukacyjne, takie jak **„Opera na poduchach”**, cykl koncertów familijnych **„Akademia wróżki Melodi”**, jak również **„Orkiestrowe ABC”**, gdzie można dowiedzieć się najróżniejszych informacji na temat wielu instrumentów muzycznych, między innymi harf, wiolonczeli czy też kontrabasów.

Pamiętamy o naszych najmłodszych widzach i naszym celem jest rozwój ich zainteresowań związanych z szeroko pojętą sferą kultury. Teatr Wielki w Łodzi dąży do zachęcania dzieci i mło-



RAFAŁ OLBŃSKI / MATERIAŁY PRASOWE TEATRU

dzieży do kontaktu z muzyką i tekstami kultury. Z tej też przyczyny już niebawem odbędzie się edupremiera **„Karnawału zwierząt”** do muzyki Camille'a Saint-Saënsa (02.03.2025). Rozmaite stworzenia, lew, ptaki, słoń, żółw i pingwiny, zapelnia naszą scenę. To rodzaj współczesnego bestiariusza w baśniowej oprawie.

Teatr Wielki w Łodzi to miejsce, w którym łączą się różne dźwięki, obrazy, uczucia z pamięcią o ważnych rocznicach. W tym roku 2 kwietnia w bazylice archikatedralnej św. Stanisława Kostki w Łodzi odbędzie się koncert: **„Requiem – ku pamięci Jana Pawła II w 20. rocznicę śmierci”**.

A już 24 lutego, w związku z trzecią rocznicą wybuchu wojny w Ukrainie, chcemy wesprzeć i wyrazić solidarność z naszymi ukraińskimi sąsiadami, zapraszając na specjalny koncert **„Contra spem spero! Będę żyła! Precz dumania złe!”**. To wyjątkowa okazja usłyszenia utworów polskich i ukraińskich kompozytorów w wykonaniu znakomitych artystów, takich jak Iryna Zhytynska,

Sofia Soloviy, Rafał Bartmiński oraz Rafał Siwek. Solistom towarzyszyć będą przy fortepianie Tatiana Dranchuk oraz Natalia Gaponenko. Za reżyserię koncertu odpowiada Olena Savchuk.

WCZORAJ BYŁAŚ ZŁA NA ZIELONO

– premiera w Teatrze Dramatycznym im. Gustawa Holoubka w Warszawie



Pierwsza premiera sezonu w Teatrze Dramatycznym: Anna Augustynowicz reżyseruje spektakl na podstawie książki Elizy Kąckiej „Wczoraj byłaś zła na zielono”. Premiera 7 lutego.

Ile w córce jest matki, a ile matka odnajduje siebie w córce? Czy stanowią swoje wzajemne odbicie? A co jeśli więź z taflą lustro jest łatwiejsza do nawiązania niż ze spojrzeniem tej drugiej? W tej pełnej czułości narracji bohaterka mierzy się nie tylko z nową rolą społeczną, jaką jest bycie matką, lecz także z zupełnie odmiennym światem jej córki – światem w spektrum autyzmu.

Próbując uchwycić jej wyjątkowe „ja”, dokonuje obnażenia samej siebie, a przeglądając się w inności córki, odkrywa także swoją inność. Opowiadając o Rudej, w rzeczywistości opowiada również o sobie, łącząc i konfrontując ze sobą dwie osobowości. Dwie atypowości.

Najnowsza, autobiograficzna książka Elizy Kąckiej, „Wczoraj byłaś zła na zielono”, która podbiła rynek wydawniczy w 2024 roku, to opowieść o miłości, odwadze i odmienności, a także o obawach, niezrozumieniu i presji społecznej.

Przede wszystkim jednak jest to historia wyjątkowej relacji matki i córki.

Twórcy i twórczynie spektaklu adaptują to nieoczywiste studium relacji, tworząc introspektywną narrację o matce, autorce i kobiecie.



ELIZA KĄCKA
WCZORAJ BYŁAŚ ZŁA NA ZIELONO
reżyseria Anna Augustynowicz



Obsada: ANNA MOSKAŁ, MARIANNA LINDE, KAROL WRÓBLEWSKI, MIROŚŁAW GUZOWSKI (gościnnie), MARIA WIECZOREK (skrzypce)

Reżyseria: ANNA AUGUSTYNOWICZ

Tekst i adaptacja: ELIZA KĄCKA

Scenografia: MAREK BRAUN

Muzyka: JACEK WIERZCHOWSKI

Kostiumy: TOMASZ ARMADA

Asystent kostiumografa: FILIP HOLAK

Videoart, światło: WOJCIECH KAPELA

Zdjęcia plakatowe: PAWEŁ BOWNIK

PREMIERA: 7 lutego na Małej Scenie. Spektakle popremierowe: 8, 9, 11, 12. 02, 18, 19. 03.

Teatr Pinokio w Łodzi ma 80 lat

77

Premierowe spektakle, okolicznościowe wydawnictwa, koncerty i otwarcie nowej świetlicy: Teatr Pinokio świętuje 80-lecie bogatym jubileuszowym programem, rozłożonym na cały rok. Kulminację obchodów z udziałem twórców związanych z teatrem i jego przyjaciół zaplanowano na jesień, podobnie jak pierwszą pełnowymiarową edycję S-PLOTU – Międzynarodowego Festiwalu Sztuk Performatywnych dla Dzieci i Młodzieży.

Historia teatru rozpoczęła się zaraz po wojnie, gdy Marta Janic przeniosła się do Łodzi z zespołem aktorskim warszawskiego Baja. Już w maju 1945 r. wystawiła kukiełkowe „Bajkowe bajeczki i świerszczykowe skrzypceczki”. Od tamtej pory Teatr Pinokio w Łodzi jest ważną częścią kulturalnego krajobrazu miasta, wprowadzając kilka pokoleń młodych widzów w świat teatralnych emocji.

Zresztą liczby mówią same za siebie: 80 lat Pinokia to 275 premier, które obejrzało 8,5 miliona widzów. Z Pinokiem współpracowali tak wybitni twórcy jak Krzysztof Penderecki, który napisał muzykę do siedmiu spektakli; Jerzy Nowosielski – autor scenografii, plakatów i projektów lalek do dwóch tytułów; czy Marta Frej – autorka plakatów.

Przez lata zmieniała się nazwa teatru, zmieniały się też jego siedziby. Od kilkunastu miesięcy Pinokio działa w samym sercu Łodzi.

– Jako zespół mamy w pamięci proces przemian, który doprowadził nas do punktu, w jakim znajdujemy się obecnie. Od Teatru Kukiełek, przez Państwowy Teatr Lalek Pinokio, aż po obecny Teatr Pinokio w Łodzi. Z każdym kolejnym przekształceniem coraz odważniej wychodziliśmy z ciasnych ram, w których przedstawialiśmy się mieścić, mając do zaproponowania znacznie więcej niż „teatr lałkowy” czy „teatr dla dzieci” – podkreśla Gabriel Gietzky, dyrektor Teatru. Jubileuszowy rok to nie tylko okazja do podsumowań dorobku zespołu, ale też do wprowadzenia nowych propozycji, dzięki którym siedziba teatru będzie tętnić życiem każdego dnia.

– Choć nasz zespół zawsze z sentymentem będzie myślał o poprzedniej, wieloletniej siedzibie, to właśnie przeprowadzka do zrewitalizowanej dawnej fabryki Wigencja otworzyła przed nami nowe możliwości – podkreśla Gabriel Gietzky. – Dała też szansę, by stworzyć teatr prawdziwie dostępny i budować otwartą międzypokoleniową teatralną społeczność.

Premiery, festiwal i wakacje w teatrze

Z okazji jubileuszu pracownicy teatru opracowują dwa wydawnictwa: płytę z piosenkami ze spektakli oraz książkę, która opowie o teatrze jako miejscu wspierającym budowanie relacji. Planowane są też koncerty, a każdego miesiąca przynajmniej jeden ze spektakli prezentowany będzie z audiodeskrypcją i w tłumaczeniu na polski język migowy. Nowością w ofercie teatru są popołudniowe czwartkowe spektakle skierowane do widzów indywidualnych i to, że w tym roku Pinokio będzie też grać w wakacje.

W jubileuszowy program wpisane są również premiery. Pierwsza z nich – entuzjastycznie przyjęty „Piaskowy Wilk” w reżyserii Justyny Zar, odbyła się już w styczniu. W marcu widzowie zobaczą



TOMASZ OGRÓDOWCZYK / TEATR PINOKIO

„Ciepłe pszczoły, zimne jelenie albo jak pozbyć się dzieci” – spektakl w reżyserii Gabriela Gietzky’ego

„Bolka i Lolka”, a w maju „Moje małeństwo” – inscenizację książki obrazkowej Germana Zulla.

Kulminację obchodów zaplanowano na jesień. W październiku odbędzie się pierwsza pełnowymiarowa edycja Międzynarodowego Festiwalu Sztuk Performatywnych dla Dzieci i Młodzieży S-PLOT. Jego program zostanie ogłoszony późną wiosną, ale organizatorzy już teraz zachęcają do zarezerwowania sobie czasu między 6 a 12 października. Z kolei premierze spektaklu „Peer Gynt” w reżyserii Gabriela Gietzky’ego towarzyszyć będzie uroczyste spotkanie twórców związanych z teatrem i przyjaciół instytucji.

PINOTEKA – nowa przestrzeń twórczej zabawy

Od końca stycznia w Pinokiu działa też nowa przestrzeń edukacyjno-warsztatowa. W PINOTECE odbywają się warsztaty i zajęcia dla grup oraz uczestników indywidualnych, w tym dla osób z niepełnosprawnościami.

– Celowo nawiązujemy do słowa „pinakoteka”, bo nasza świetlica to galeria możliwości, przestrzeń kształtująca wyobraźnię, pozwalająca ją wielotorowo i wielopoziomowo rozwijać – zapewniają twórcy miejsca.

Goście PINOTEKI mogą liczyć na kreatywne oprowadzanie po teatrze i okolicznościowe animacje. Można tu również wziąć udział w warsztatach ruchowych dla dzieci, weekendowych spotkaniach z jogą i akrobatyką czy niedzielnych warsztatach kontekstowych towarzyszących poszczególnym spektaklom.

Więcej informacji: TEATRPINOKIO.PL



Premierowe emocje na koniec sezonu

Historia chińskiej księżniczki oraz miłosny duet wszech czasów. Teatr Wielki w Poznaniu zaprasza na finał sezonu „Pokolenia”: operę „Turandot” i balet na podstawie „Romea i Julii”.



MACIEJ ZAKRZEWSKI / TEATR WIELKI W POZNANIU

Robert Bondara wraz z zespołem na scenie Teatru Wielkiego w Poznaniu

Nie opadły jeszcze emocje po wznowieniu „Cyrulika sewilskiego” Rossiniego, ze świętującym jubileusz 10-lecia pracy artystycznej Andrzejem Filończykiem w partii Figara, a tymczasem poznańska scena nie zwalnia tempa, przygotowując spektakularny koniec sezonu 2024/2025. Czerwiec będzie feerią premierowych emocji – Teatr Wielki w Poznaniu zaprezentuje „Turandot” Pucciniego w reżyserii Rana Arthura Brauna pod muzycznym kierownictwem maestro Jacka Kaspszyka (opera z finałem Lucia-na Berio). Puccini, zafascynowany Orientem, wplótł w swoje ostatnie dzieło oryginalne melodie chińskie i wykorzystał instrumentarium skrzące się wielością barw, dzięki czemu muzyka zyskała egzotyczny koloryt.

Wirtuozerskie partie solistyczne, rozbudowanie sceny chóru i stopniowanie muzycznego napięcia sprawiły, że opera „Turandot” uważana jest za arcydzieło. W inscenizacji o pięknej chińskiej księżniczce z sercem zimnym jak stal topora, którym kat ścina głowy pretendentów do jej ręki, reżyser zwraca uwagę nie tylko na uniwersalny aspekt dzieła: – W „Turandot”, jak i wielu innych operach, osią historii jest miłość, ponadczasowa, zawsze aktualna. Tutaj mamy silną kobietę w społeczeństwie zdominowanym przez mężczyzn, a więc zderzenie tradycji i ewolucji kulturowej. Obserwowanie niebezpieczeństw związanych z władzą, ego oraz tym, jak mogą zmieniać życie, jest niezwykle interesujące – mówi Ran Arthur Braun. – Puccini określił „Turandot” mianem baśni, dlatego koncepcyjnie chciałem zachować wrażenie baśniowości. Tradycyjną estetykę łączę ze współczesnym rozumieniem teatru operowego, a także z doświadczeniami zdobytymi na Dalekim Wschodzie, dokąd często podróżuję i gdzie jestem zapraszany do współpracy.

Jaka zatem będzie „Turandot”? Czy zło i przeciwności losu można pokonać miłością? Przekonamy się już 7 czerwca.

Premierą wieńcząc sezon „Pokolenia” będzie natomiast balet „R+J” („Romeo i Julia”). Dla Roberta Bondary, choreografa i reżysera spektaklu, ta najsłynniejsza historia miłosna stanowi inspirację do refleksji nad światem, którym rządzą antagonizmy i tarcia.

– Pomimo że kontekst konfliktów może być różny: społeczny, polityczny, narodowościowy, kulturowy, rodzinny, etniczny albo religijny, w każdej przestrzeni staram się dostrzec współczesnych Romea i Julię – mówi Robert Bondara. – Archetyp kochanków jest dla mnie punktem wyjścia do stworzenia ponadczasowej opowieści, która trafi do wrażliwości i wyobraźni współczesnego widza, skłaniając go do refleksji nad otaczającym nas światem – dodaje.

Delikatność miłosnych uniesień, siła walki o uczucie, odwaga w przeciwstawianiu się temu, co oddala nas od szczęścia i co niszczy poczucie bezpieczeństwa – to wszystko pokaże interpretacja tancerek i tancerzy Baletu Teatru Wielkiego w Poznaniu. Choreograf i reżyser w sposób nietuzinkowy podszedł do warstwy muzycznej: bogactwo choreograficznej ekspresji dopełnią utwory m.in. Vulfpeck, The Smile, Sigur Rós czy Michała Jacaszka. Muzykę „R+J” widzowie usłyszą w innowacyjnej jakości, wykorzystującej nowy system dźwięku immersyjnego, którym dysponuje poznańska scena. Premiera 27 czerwca.

Premierowe prezentacje poprzedzą zaś wznowienia „Aidy” (luty) oraz „Czarodziejskiego fletu” (kwiecień), a także spektakle od lat prezentowane z sukcesem na scenie pod Pegazem: „Carmen” i „Wesele Figara” (marzec), „Otello” (kwiecień), „Rigoletto” (maj), klasyka baletowa („Don Kichot”, maj) oraz spektakle ze współczesnymi choreografiami („4: Pastor / León & Lightfoot / Bondara”, luty i marzec). Program drugiej edycji festiwalu Przedwiośnie Baletowe (marzec), w tym debiuty choreograficzne tancerek i tancerzy Baletu poznańskiego Teatru oraz spektakle gościnne, z pewnością spełnią oczekiwania widzów chcących poznać nowe perspektywy tańca i podążyć za refleksją nad najnowszymi trendami tej sztuki. Wznowienia, klasyka operowa, balet współczesny i w tradycyjnym ujęciu oraz premiery – druga połowa sezonu 2024/2025 to czas artystycznych wyzwań, a przede wszystkim emocji i wzruszeń. Repertuar sezonu „Pokolenia” Teatru Wielkiego w Poznaniu pokazuje, że każdy może znaleźć inspirację do odkrywania operowego i baletowego świata.

www.opera.poznan.pl

WOJCIECH

Bonowicz: Mgła



W ZWIĄZKU Z TYM, CO NAPISAŁEM ostatnio o spustoszeniach dokonanych nad Bugiem, odezwało się do mnie kilka osób, żeby podzielić się swoimi refleksjami. Na temat tego, co się stało – co częstokroć sami na własne oczy widzieli – ale i tego, co

współcześnie dzieje się z przyszłością. Spostrzeżenie, że czas przyszły przestał właściwie istnieć, nie jest moim oryginalnym pomysłem (co zazaczyłem), jest to raczej coraz powszechniejsze odczucie. I nie chodzi bynajmniej o proste: „Żyjmy tak, jakby nie było jutra”. To coś innego, znacznie poważniejszego. Wbrew temu, ile się dziś mówi i pisze o możliwych – i na ogół niewesołych – scenariuszach na przyszłość, w praktyce na formułowaniu obaw i ostrzeżeń się kończy. Jak to przed kilkunastu laty zauważył bodaj Zygmunt Bauman, wiadomo mniej więcej, co trzeba zrobić, ale nie wiadomo, kto to robi. Kto będzie miał odwagę i autorytet, żeby przekonać ludzi, że zmiana (polityk, nawyków, preferencji) jest warunkiem przetrwania?

Jest moment regresu, choć jeszcze chwilę temu wydawało się, że mamy powody do ostrożnego optymizmu. Usunięcie przyszłości – usunięcie myśli o konsekwencjach naszych dzisiejszych działań – nie dokonało się z dnia na dzień. To proces, który trwa, narasta. Trudno uchwytyny, bo można odnieść wrażenie, że często właśnie w imię przyszłości podejmuje się w polityce te czy inne kroki – w imię zapobieżenia przyszłej wojnie, ocalenia cywilizacji europejskiej, powstrzymania migracji, populizmu, nacjonalizmu, ekologizmu itd. Każda partia, każde środowisko ideowe ma gdzieś w perspektywie swojego wroga, który je cementuje, swoje wyzwanie, któremu zamierza stawić czoło, swoją diagnozę, która określa jego tożsamość. Wydaje się, że przyszłość wcale nie zniknęła z pola widzenia, może nawet mówi się o niej za dużo? No tak, ale jej obecność sprowadza się właściwie do jednego tylko wymiaru: przyszłość przychodzi do nas pod postacią lęku, nie odpowiedzialności. Przyszłość to instrument w walce o władzę jak najbardziej teraźniejszą, o dominację nad chwilą obecną, o usadówienie się w jak najdłuższym „teraz”.

Czy ludziom dziś – nie ludziom abstrakcyjnym, lecz ludziom-nam, konkretnie tu żyjącym – zależy na tym, jaki świat po sobie zostawimy? Po śmierci Davida Lyncha sięgnąłem po tom rozmów, które przeprowadził z nim Chris Rodley (na polski przełożyła Barbara Kosecka). Lynch mówi tam m.in. o tym, jak społeczna atmosfera potrafi się

niekiedy nieoczekiwanie zagaścić, jak wzrasta emocjonalna temperatura, a wraz z nią tworzy się nowa aura, sprzyjająca zjawiskom, które jeszcze chwilę wcześniej były nie do pomyślenia. Ale te momenty napięcia są konsekwencją czegoś znacznie trudniejszego do powstrzymania. „Ludzie żyją w przekonaniu, że nie da się planować przyszłości. Myślimy bardzo krótkoterminowo: bierz to, co się da, bo za chwilę już tego nie będzie. Nie zostawiamy za sobą porządku. Nie tworzymy rzeczy, które są piękne, tylko sklecamy je ze sobą (...). Lider może zainspirować ludzi w ciągu jednej nocy, jeśli mówi o właściwych rzeczach we właściwym miejscu. Ale teraz, nawet jeśli są w tych przemowach jakieś słowa, brakuje im siły. Wydaje się po prostu, że gdy jedni politycy torują sobie drogę gadaniem, inni zaczynają przeciągać ich słowa na swoją stronę, aż w końcu rozmywa się to i nic nie zostaje”.

Lynch mówi oczywiście o konkretnych wydarzeniach, jakie miały miejsce w Stanach – ale z wyraźną świadomością uogólnienia. Wyłania się z jego słów obraz świata, w którym budowanie zastąpiono „kleceniem”, a dialog – „przeciąganiem słów”. Świata, który się autonomizuje i rozpada. Czy niczego już nie będziemy potrafili zrobić wspólnie? Czy nie jesteśmy w stanie wyznaczyć żadnego celu, który by nas połączył?

Opiaram się pesymizmowi, jak umiem. Zresztą wydaje mi się, że na poziomie pragnień (o bezpieczeństwie, spokoju, zdrowiu, czystym powietrzu i wodzie) jesteśmy wszyscy bardzo do siebie podobni. Różnice pojawiają się i komplikują na poziomie wyobrażeń. Tischner pisał o „lustrach”, które zniekształcają obraz drugiego. Wyobrażenia, atakowana zewsząd informacjami i przedstawieniami, nie nadąża waloryzować i porządkować tego, co ją wypełnia. Czy drugi rzeczywiście jest tak dalece inny, tak nieprzekraczalnie obcy? Zapewne nie, ale dostęp do niego staje się tak trudny, że wydaje się wręcz niemożliwy. To też jeden z powodów, dla których przyszłość znika. Może się przecież pojawić tylko jako rezultat rozmowy, współpracy, ostatecznie więc – zaufania. Jeśli rodzi się z lęku i konfrontacji, staje się co najwyżej zjawą: oparem bezmyślności, mgłą nieodpowiedzialności. Niestety, dla takiej czy innej zjawy ludzie gotowi są zaprzepaścić i zniszczyć nawet to, czego najbardziej pragną. ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia”.

DEMONY AMERYKI

Cykl wybitnych reportaży, powieść nagrodzona Pulitzerem i popularny serial – wszystkie one poświęcone są kryzysowi, który wyniszcza amerykańskie społeczeństwo.

MICHAŁ CHOIŃSKI

HISTORIA KLANU SACKLERÓW MA w sobie coś z amerykańskiego snu. Trzech braci, synów imigrantów, którzy przybyli do Stanów na początku XX wieku z polskiej Galicji, zdobywa wykształcenie medyczne i buduje dla siebie przyszłość po drugiej stronie Atlantyku. Ale jak pokazał dziennikarz śledczy „New Yorkera” Patrick Radden Keefe w swoich reportażach i w książce „Imperium bólu” (Czarne 2023), ta z pozoru inspirująca historia sukcesu ma też drugie dno.

To właśnie klan Sacklerów i kierowana przez nich firma Purdue Pharma odegrały według Keefe’a zasadniczą rolę w wywołaniu kryzysu opioidowego w USA – fali uzależnień od narkotyków, która pochłonęła życie kilkuset tysięcy osób. Szacuje się, że uzależnionych jest dwa miliony ludzi, a sto osób śmiertelnie przedawkowuje opioidy każdego dnia.

Rodzina, która chciała zabić ból

Arthur Sackler, jeden z patriarchów klanu, prowadził agencję, które zajmowała się reklamą Valium. Lek był komercyjnym sukcesem i jako pierwszy medykament w historii pozwolił producentom przekroczyć magiczną barierę stu milionów dolarów zysku. Zarzuty o uzależniających właściwościach Valium zbijano. Podkreślano, że to nie wina samego leku, ale słabości charakteru osób go przyjmujących, którzy mają wrodzone predyspozycje do nałogów. Argumenty te miały powrócić wiele lat później, gdy kierowana przez Sacklerów firma Purdue Pharma wypuściła na rynek w połowie lat 90. lek o nazwie OxyContin.

Jego podstawą był oksykodon, chemicznie spokrewniony z morfiną i heroiną. Ten silny lek przeciwbólowy miał zrewolucjonizować rynek farmaceutyczny. Reklamowany był jako tabletki „od której zaczynasz i której się trzymasz”, remedium dla każdego. Barry Meier, dziennikarz długo związany z „New York Times” i autor książki „Zabić ból” ((Poradnia K 2021), twierdzi jednak, że siłę działania OxyContinu można przyrównać do farmaceutycznej broni jądrowej. Przynosił błyskawiczne wytchnienie, ale równie szybko uzależniał.

Firma Sacklerów kupowała reklamy w czasopiśmie medycznych i tworzyła strony internetowe, gdzie publikowała treści mówiące o moralnej konieczności walki z przewlekłym bólem. Młode, atrakcyjne reprezentantki firmy przekonywały lekarzy, by przepisywali OxyContin nie tylko w przypadku ciężkich chorób, ale też niegroźnych urazów czy powszechnych dolegliwości. Chętnie zapraszano ich też na wystawne, sponsorowane sympozja, gdzie zachwalano lek. Firma w szczególności dbała o „wielorybów” – takim mianem określano lekarzy, którzy szczególnie ochoczo wypisywali recepty.

Strategia opłaciła się. Po czterech latach od wprowadzenia na rynek OxyContin popularnością wyprzedził Viagrę, a dla samych Sacklerów okazał się żyłą złota. Majetna rodzina z ochotą zaczęła angażować się w działalność filantropijną – fundowali sale na uniwersytetach i skrzydła w budynkach najbardziej rozpoznawalnych muzeów sztuki na świecie, od Me-

tropolitan Art Museum w Nowym Jorku, po Luwr i londyńską National Gallery. W „Imperium bólu” Keefe dowodzi, że wyryte w marmurze, na bramach świątyń sztuki nazwisko Sacklerów miało być dziedzictwem rodziny.

Po latach zaczęło być jasne, że dla setek tysięcy osób uzależnionych od ciężkich narkotyków droga do nałogu zaczęła się właśnie od OxyContinu. W obszernym reportażu „Dreamland” (Czarne 2022) kalifornijski dziennikarz Sam Quinones opisał, jak na epidemii uzależnień od środków przeciwbólowych wyrósł cały rynek narkotykowy związany z dystrybucją przerzucanej z Meksyku heroiny. Według American Society of Addiction Medicine, cztery na pięć osób, które są uzależnione od heroiny, zażywało wcześniej nałogowo leki przeciwbólowe na receptę.

W „Imperium bólu” Keefe pokazuje, jak Sacklerowie usiłowali zdystansować się od Purdue i tematu OxyContinu – jego samego zresztą prawnicy rodziny zarzucali pozwami, usiłując storpedować dziennikarskie śledztwo. Ukazało ono fundamentalny rozdźwięk między wizerunkiem dobroczynnych mecenasów sztuki a realiami biznesu odpowiedzialnego za kryzys narkotykowy w Stanach.

„Nasz naród stoi wobec bezprecedensowej epidemii uzależnień od opioidów, która została wywołana przez pozwanych Sacklerów i przez nich podtrzymywana dla ich własnego zysku kosztem każdego z powodów” – brzmiały słowa →

Raymond Sackler i jego żona Beverly



TACO VAN DER EB / HOLLANDESE HOOGTE / EAST NEWS

→ pozwu, który ponad pół tysiąca amerykańskich miast, hrabstw i stowarzyszeń reprezentujących rdzennych mieszkańców USA wystosowało wobec Purdue w 2017 r. W skrzydłach muzeów sfinansowanych przez rodzinę organizowano pikieety – w marcu 2018 r., w nowojorskim MET, protestujący wrzucali do sadzawki muzealnej buteleczki z lekarstwami.

Sacklerowie zastosowali strategię uniową. Jesienią 2019 r. Purdue ogłosiła upadłość, a główne aktywa finansowe rodziny przeniesione zostały gdzie indziej. Choć czołowe muzea sztuki – Luwr, Tate, MET i Guggenheim – zdjęły ze ścian upamiętniające rodzinę tablice, to odszkodowania, które Sacklerowie mieli zapłacić, są w istocie jedynie niewielką częścią ich fortuny. Opór wobec ich rodziny też zleżał z czasem. W sierpniu 2024 r. Uniwersytet Harvarda zdecydował, że nie usunie nazwiska Sacklerów z budynków, pomimo protestów studentów, którzy nie chcieli uczestniczyć w zajęciach w salach finansowanych przez majątną rodzinę.

Opowieść, która wyłania się z pracy reporterskiej Keefe’a, to w istocie historia pazerności amerykańskiego kapitalizmu oraz klasy, którą stworzył – wpływowych milionerów, zasłaniających się przed konsekwencjami swoich działań armią prawników i unikających moralnej odpowiedzialności za poczynione społeczne krzywdy. Nic dziwnego, że dziennikarz „New Yorkera” widzi tu liczne paralele do właścicieli firm produkujących broń w USA. Tam też twórcy kryzysu umywają ręce od odpowiedzialności. Zaś co do samej fali uzależnień wywołanej przez Purdue – wiadomo, że nie będzie się dało jej zatrzymać jeszcze przez długie dekady.

Ludzie na marginesie

Pandemia uzależnień od opioidów jest zjawiskiem dotykającym całe USA, ale ma też swój bardzo silny wymiar regionalny – szczególnie w obszarze Appalachów. To region wywodzący swoją nazwę od olbrzymiego pasma górskiego, które ciągnie się przez kilka stanów: od północnej Alabamy, przez Tennessee, Kentucky i Zachodnią Wirginie, po Pensylwanię. Żyje tam łącznie ponad 26 mln ludzi, których tożsamość tradycyjnie zasadza się na poczuciu niezależności od instytucji federalnych. Mieszkańcy regionu tworzą niejako wewnętrzny świat Stanów Zjed-

Pandemia uzależnień od opioidów

jest zjawiskiem dotykającym całe Stany, ale ma też silny wymiar regionalny – szczególnie w obszarze Appalachów.

noczonych, kulturowe państwo w państwie.

Są też przedmiotem negatywnych stereotypów i uprzedzeń. „Hillbilly” (czyli „bidok” – tak przetłumaczono ten termin w polskim wydaniu słynnej książki obecnego wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych JD Vance’a, „Elegia dla bidoków”) – to obraźliwe określenie używane jest często wobec mieszkańców Appalachów. Przez dekady przedstawiano ich w programach telewizyjnych, w komiksach czy w filmach jako zacofanych i biednych prymitywów. Przejawskrawiony obraz brodacza w kombinezonie, bosego i zarzucającego koniec z końcem mocno zagnieżdżił się w kulturze amerykańskiej. Stał się przyczynkiem do powszechnego poczucia wyższości względem osób pochodzących z okolic pasma górskiego.

Utożsamiająca się z kulturą Appalachów pisarka Barbara Kingsolver, laureatka Pulitzera, w wywiadach podkreśla, że dopiero gdy wyjechała na studia do Indiany, na własnej skórze przekonała się, jak silne są to uprzedzenia. Słyszała paradoksalne komplementy: „Jesteś bardzo dobrze wykształcona jak na osobę z Appalachów!” czy zaczepne żarty „Nosicie w domu buty?”. Inni studenci prosili ją też, aby zabawiła ich wymawiając słowa „majonez” czy „syrop” ze swoim silnym akcentem. W rezultacie Kingsolver zaczęła odczuwać zinternalizowany wstyd związany ze swoim pochodzeniem. To wyjazd z domu sprawił, że mocno poczuła, że rzeczywiście pochodzi z Appalachów i że wszyscy wokół patrzą na nią

przez pryzmat negatywnych stereotypów kryjących się za słowem „hillbilly”.

Niejako na przekór tym uprzedzeniom, w swoich powieściach Kingsolver często pisze o Appalachach. I przedstawia region, gdzie więzy łączące lokalną społeczność, żyjącą głównie na wiejskich terenach, są silne, a jej członkowie zżyci ze sobą. „Gdy nie ma się możliwości iść do opery czy kina, idzie się do sąsiadów, siada na werandzie i rozmawia” – opowiadała w wywiadzie.

Ale Appalachie zamieszkuje też społeczność na marginesie, wykluczona z amerykańskiego snu o wielkości i szczęściu. To właśnie tu, gdzie wiele osób pracuje fizycznie, a wypadki na roli czy w kopalniach są częste, producenci OxyContinu prowadzili agresywne kampanie reklamowe. Kingsolver widzi w tym czyście wyrachowanie – w świecie, gdzie dostęp do lekarza jest trudny, leki przeciwbólowe produkowane przez Purdue dawały doraźną ulgę i z pozoru załatwiała problem chorej osoby. Jednak gdy recepty się kończyły, zdesperowani i już uzależnieni ludzie sięgali po mocniejsze narkotyki. Liczba uzależnień przez lata rosła geometrycznie. Kingsolver wielokrotnie podkreślała, że w Appalachach polityka „wojny z narkotykami” skompromitowała się. Okazała się pustym politycznym sloganem, który poza zawstydzaniem osób uzależnionych i ich napiętnowaniem społecznym, w najmniejszym stopniu nie pomógł w rozwiązaniu problemu.

Tło dla jej ostatniej książki – wyróżnionej w zeszłym roku Nagrodą Pulitzera powieści „Demon Copperhead” – stanowią właśnie społeczne skutki kryzysu opioidowego dla najbardziej potrzebujących mieszkańców Appalachów. Pisarka była w szoku, gdy dotarło do niej, jak wiele dzieci zostało zaniedbanych czy wręcz osieroconych z powodu pandemii uzależnień od OxyContinu. Według Kingsolver to fundamentalna porażka amerykańskiego systemu opieki. Okazał się on zbyt nieudolny, by zaważyć z konsekwencjami kryzysu, a instytucje, które miały chronić te najmłodsze ofiary, nie były w stanie prowadzić swojej misji.

„Chciałam opowiedzieć historię tych sierot” – mówiła w jednym z wywiadów. Dlatego też pisząc „Demona Copperheada” (Filia 2024), odwoływała się do „Davida Copperfielda” Charlesa

Dickensa – angielskiego pisarza, który wślawił się historiami o najbiedniejszych warstwach społeczeństwa w wiktoriańskiej Anglii. Bohaterem Kingsolver jest rzutki, rudowłosy chłopiec, którego okoliczności życia są kwintesencją kryzysu opioidowego w Appalachach: urodzony przez samotną, nastoletnią matkę-narkomankę w przyczepie mieszkalnej, w końcu sam uzależnia się OxyContinu, który lekarz przepisał mu po tym, jak grając w futbol nabawił się kontuzji. Jego późniejsze życie upływa w mrocznym cieniu nałogu.

Chłopiec ma też świadomość nierówności społecznych i tego, jak bardzo jest naznaczony swoim pochodzeniem. Z zalem stwierdza, że w hierarchii społecznej Stanów Zjednoczonych region Appalachów jest na szarym końcu: „Ojciec bije mamę, mama krzyczy na dziecko, dziecko znajduje psa i go kopie... Jesteśmy psem Ameryki” (w przekładzie Kai Gucio). Kingsolver w swojej powieści pokazuje historię pandemii uzależnień od opioidów w formie amerykańskiej tragedii, gdzie regionalne wykluczenie i porażka systemu opieki stają się przyczynkiem do cierpienia i traumy całych pokoleń.

Kres i krach

Opowieści wyłaniające się z kryzysu opioidowego w USA obecne są też w kinie. Niedawno zekranizowana została powieść „Świeży” Nico Walkera z 2018 r. – to autobiograficzna historia weterana wojny w Iraku, który zmagając się z powojenną traumą sięga najpierw po leki przeciwbólowe, potem po heroinę, a na końcu, wobec braku środków na życie, sięga po broń i napada na banki. Bohater książki, zapadający się w dół spirali uzależnienia, to *alter ego* autora, który opisał swoje własne doświadczenia z powojennym PTSD i nałogiem opioidowym i który maszynopis „Świeżego” pisał w więzieniu, konsultując się ze swoim agentem i redaktorem w trakcie krótkich rozmów, jakie wolno było mu przeprowadzać z zakładu karnego. Film wyreżyserowany przez braci Russo pokazuje dramatyzm narkotykowego potrzasku, w jaki złapany jest bohater, ostatecznie oddający się w ręce policji zaraz po dokonanych napadzie.

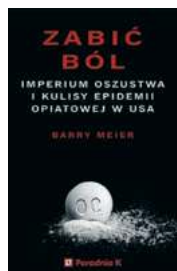
Są również bardziej nieoczywiste echa. Jednym z nich jest miniseriał „Zagłada

Historie opioidowe



■ Patrick Radden Keefe
IMPERIUM BÓLU. BARONOWIE PRZEMYSŁU FARMACEUTYCZNEGO
przetł. Jan Dzierżgowski, Czarne, Wołowiec 2023

Historia pazerności amerykańskiego kapitalizmu oraz klasy wpływowych milionerów, unikających moralnej odpowiedzialności za społeczne krzywdy. Ich fortuny zbudowały leki opioidowe.



■ Barry Meier
ZABIĆ BÓL
przetł. Dorota Pomadowska, Poradnia K, Warszawa 2021

Według autora siłę działania OxyContinu można przyrównać do farmaceutycznej

broni jądrowej. Przynosił błyskawiczne wytchnienie, ale równie szybko uzależniał.



■ Sam Quinones
DREAMLAND. JAK OPIOIDY WYNISZCZAJĄ AMERYKĘ
przetł. Maciej Kositorny, Czarne, Wołowiec 2022

Jak na epidemii uzależnień od

środków przeciwbólowych wyrósł cały rynek narkotykowy związany z dystrybucją przerzucanej z Meksyku heroiny.



■ Barbara Kingsolver
DEMON COPPERHEAD
przetł. Kaja Gucio, Filia, Poznań 2024

Wyróżniona Nagrodą Pulitzera powieść. Losy jej bohatera są kwintesencją kryzysu opioidowego

w Appalachach. Regionalne wykluczenie i porażka systemu opieki stają się przyczyną cierpienia i traumy całych pokoleń. ©

domu Usherów”, stworzony przez Mike’a Flanagana, reżysera i scenarzystę specjalizującego się w kinie grozy. Flanagan nie boi się brać na warsztat klasyki. Wyreżyserował ekranizację powieści „Nawiedzony dom na wzgórzu” Shirley Jackson czy „Dokręcanie śruby” Henry’ego Jamesa. W przypadku swojego ostatniego serialu nawiązującego do rodziny Sacklerów również wykorzystał podbudowę znanego tekstu literackiego – tym razem było to klasyczne opowiadanie amerykańskiego mistrza gotyku i makabry, Edgara Allana Poe’go.

Choć fabuła serialu osadzona jest w czasach współczesnych, pierwszy odcinek otwiera sceny nawiązujące atmosferą do świata, który wykreował Poe. Patriarcha rodziny Usherów, Roderick, grany przez Bruce’a Greenwooda, bierze udział w pogrzebie szóstki swoich dzieci. Z urywków medialnych wiemy, że zginęły one wszystkie w serii przerażających wypadków. Tak jak w opowiadaniu, tytułowy upadek domu nie oznacza tylko zawalenia się fizycznego budynku, ale kres całej rodziny – dziedzictwo Rodericka i klanu Usherów wymazała z powierzchni ziemi tajemnicza siła.

Później widzimy też patriarchę w ruinach pierwszej rodzinnej posiadłości, gdy składa przypominające spowiedź wyjaśnienia Augustowi Dupinowi – kolejnej postaci zaczerpniętej ze świata Poe’go, jednemu z pierwszych fikcyjnych detektywów w historii literatury. Opowieść Rodericka to kolaż motywów zaczerpniętych z różnych opowiadań i wierszy Poe’go, zespolonych ze współczesną rzeczywistością amerykańskiego kapitalizmu i społeczeństwa cyfrowego. Patriarcha rodziny opisuje, jak otaczający go świat się kurczył, a jego kolejne dzieci, antypatyczne i uprzywilejowane, ginęły na różne makabryczne sposoby.

Usherowie spadają z wysoka. Serialowy klan to majątna rodzina, która dorobiła się fortuny dzięki Fortunato – firmie farmaceutycznej, która produkowała silnie uzależniające środki przeciwbólowe. Paralela do rodziny Sacklerów nie mogłaby być bardziej klarowna. Flanagan pokazuje więc, jak Roderick wraz ze swoją siostrą literalnie zaprzedał dusze diabłu, aby zapewnić sobie sukces finansowy i stanąć na szczycie świata. We dwoje rządzą i dzielą. Przynajmniej do momentu, w którym siły, z którymi

→ zawarli pakt, przychodzą upomnieć się o swoje i duchy przeszłości rodzeństwa Usherów stają się jak najbardziej namacalne. I mściwe.

W swoim wstępie do wydanego niedawno zbioru opowiadań, które zainspirowały serial, Flanagan pisze, że Poe „patrzył na świat mrocznym wzrokiem. Nie cierpiał ludzi bogatych i skorumpowanych (...) i zdawał się być jednocześnie zbulwersowany i rozbawiony faktem, jak bardzo chciwość i nieuczciwość obecne są w społeczeństwie”. Dlatego też reżyser zaproponował, by „spojrzeć na rodzinę Usherów jako na przykład nowotworu wyrosłego z amerykańskiego przywileju, na odpowiedź na wszystkie Trumpy i Kardashiany czy – co bardziej istotne – na Sacklerów, i wyobrazić sobie, jak Poe widziałby te wszystkie rodzinne dynastie”.

Makabryczne śmierci dzieci Rodericka wywoływane są przez tajemniczą kobietę w masce, która raz po raz zmienia się w kruk – złowieszczygo ptaka z najsłynniejszego bodaj wiersza Poego. Jest on tam symbolem rozpacz, cierpienia, ale też i nieustępliwego losu. Powtarzane przez kruką słowo „Nevermore” (w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka „Kres i krach”) wieści ostateczny upadek i zapowiada nieuchronność konsekwencji wyborów dokonanych w przeszłości.

„Zagłada domu Usherów” Flanagan to odpowiedź na społeczną frustrację wobec uprzywilejowanego statusu Sacklerów i ich bezkarności. Ale też i makabryczna fantazja o zemście za wyrządzone przez nich krzywdy i dopełnieniu się odpowiedzialności społecznej, której zdolali (przynajmniej jak dotąd) uniknąć. © MICHAŁ CHOIŃSKI

Autor wydał właśnie w Znaku książkę „»New Yorker«. Biografia pisma, które zmieniło Amerykę”.

Dusza powierzona przedmiotom

ANNA ARNO

„Muszę żyć na atolu, poza swoim czasem” – twierdzi pisarz Michele Mari. I deklaruje: „Nie znoszę ogólnie przyjętych poglądów, wspólnych horyzontów, wspólnego języka”.

MICHELE MARI, JEDEN Z NAJBARDZIEJ dziś utytułowanych włoskich pisarzy, przyznaje, że wciąż ma swoje ołowiane żołnierzyki i pluszowego misia. Wydany właśnie po polsku zbiór opowiadań „Ty, krwawe dzieciństwo” pełen jest starych zabawek, pieczołowicie przechowywanych komiksów, szklanych kulek i albumów z naklejkami. To talizmany, które każą przemówić pamięci. Bo Mari przeżywa życie – tak deklaruje – w nieustannej żałobie za dzieciństwem.

Nie jest to jednak tęsknota za krainą szczęśliwości. „Za najwyższą formę literatury uważam tę, która poddaje się swoim obsesjom” – prowokuje pisarz. We wprowadzeniu do zbioru szkiców o bliskich sobie pisarzach „I demoni e la pasta sfoglia” (Demony i ciasto francuskie) wskazuje na grecki źródłosłów obsesji: jej naukowa nazwa, *anakastia*, pochodzi od *ananke* – los. Bliscy Mariemu autorzy nie walczą z demonami, lecz pozwalają im się posiąść. Sami się w nie zmieniają.

Niepokój towarzyszy nam więc od pierwszej strony: oto bezimienny profesor skrętnie ukrywa ulubione komiksy przed mającym się narodzić synem. „To kwintesencja marzeń, jedyny niesmutny poblask mojego życia; to dokumenty, skamienieliny domagające się litościwego hołdu; to mizeroty opierające się śmierci; a czym są, wiem tylko ja”. Świadomy śmieszności, profesor pielęgnuje namiętne przywiązania.

Zbieranie jest odpowiednikiem pamięci, gromadzenia doświadczeń. Mały Michelino wspomina ulubione samochodziki, ale także dziecięce tragedie: nieuczciwą wymianę z kolegą, autko,

które wpadło do studzienki, zabawkę, którą dorośli polecieli oddać młodszemu dziecku, bo „już się nią nie bawi”. Te dramaty to nie jest materiał dla anegdoty, lecz rany, które należy pielęgnować.

Tylko wyjątkowe

Dzieciństwo miał samotne i pełne lęków. Matka, ilustratorka Iela Mari, przekazała mu wrażliwość na słowo, upodobanie do surrealistycznych językowych akrobacji. Z kolei zainteresowanie przedmiotami, przywiązywanie wagi do kształtu rzeczy odziedziczył po ojcu. Enzo Mari był wybitnym designerem. W latach 50. zaprojektował mobilną bibliotekę dla wydawnictwa Bompiani. Także Michele konstruuje własne meble: biblioteczki nieomal „na oko”, wymierzone i docięte co do milimetra.

Mari-senior początki miał skromne: woził kapustę, sprzedawał mydło i kładł cegły. Jednocześnie przyglądał się, jak ludzie używają codziennych przedmiotów. Chwytał się każdej rzemieślniczej roboty: szyld dla winiarza, wsporniki do wystawy sklepowej. Zależało mu na prostocie: jeden z jego najsłynniejszych projektów to metalowa taca wycięta z metalowego kształtownika. Twierdził, że masowo produkowane meble „są tanie dzięki ludzkiej krwi”, ale nierzadko obrażał też kolegów po fachu, luksusowy design nazywając „pornografią”. Przypominał o prawach robotników i domagał się wzornictwa dla każdego. W podręczniku „Autoprogettazione” pokazywał, jak z kawałków sklejk samodzielnie zrobić krzesła i stoły.

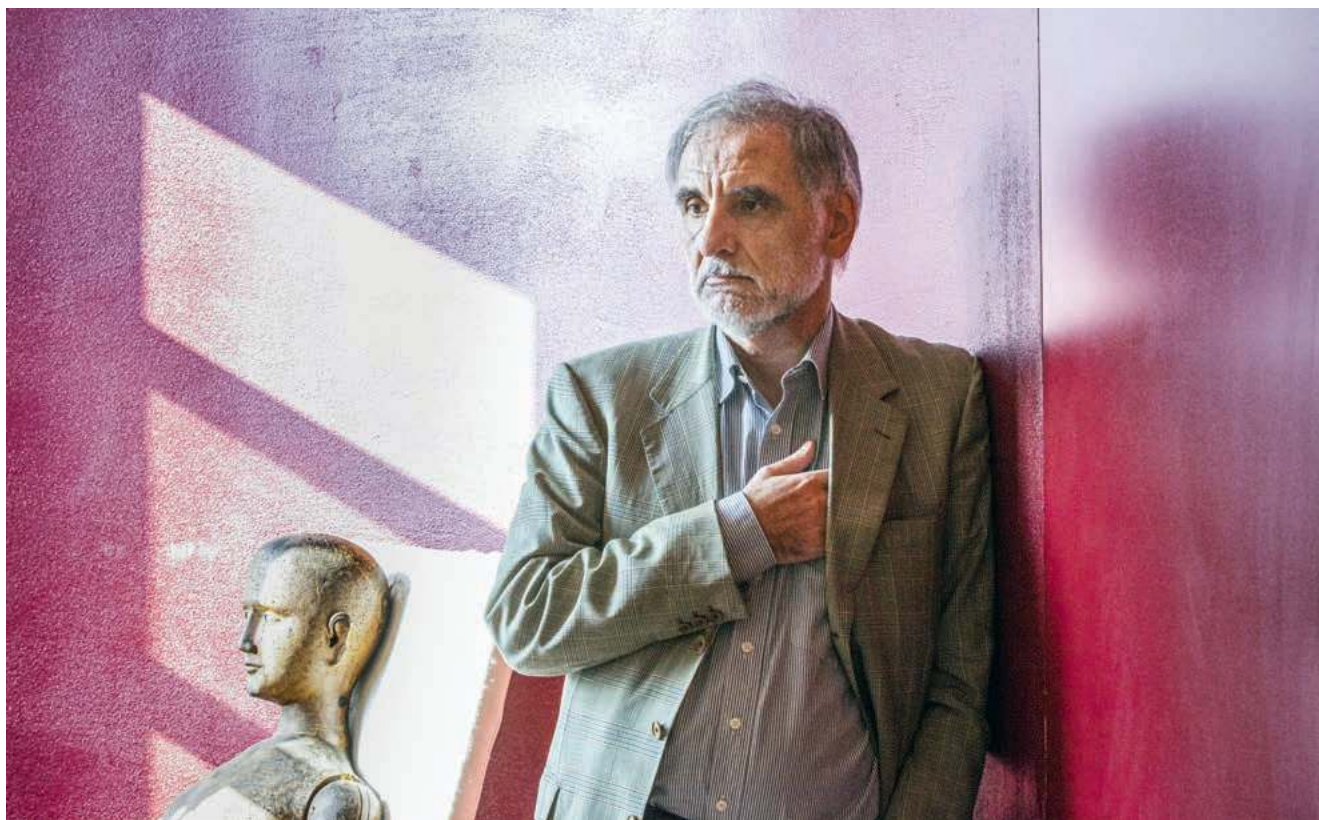
Jeden z jego ikonicznych projektów to zestaw szesnastu drewnianych zwierzątek, których kształty można dopasować

**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



LEONARDO CENDAMO / GETTY IMAGES

Michele Mari. Wenecja, październik 2018 r.

i ułożyć w pudełku. Produkowane przez firmę Danese puzzle to dziś nie tyle zabawka dla maluchów, ile ikona designu, którą można nabyć za prawie 400 euro. Wymagający wobec innych i samego siebie, projektant przyznawał, że pochwały budzą tylko jego niepokój: skoro wszystkim się podoba, to znaczy, że wyszło banalnie... Także syn zachował sporo z wpojonej mu potrzeby szukania tego, co, wyjątkowe. Jak przyznał w wywiadzie, „kiedy coś robi się modne, od razu mam wrażenie, że staje się towarem”.

Rodzice stworzyli wspólnie obrazkowe książeczki „Jabłko i motyl” oraz „Jajko i kura”. To przedsięwzięcie pionierskie jak na końcówkę lat 50.: szukali obrazkowego języka prostych kształtów i wyrazistych kolorów, aby książka „przemawiała” do nieczytających jeszcze maluchów. Michele z siostrą nieraz bywali z ojcem w studiach Danese, wypróbowywali projekty dla dzieci. Pisarz uwielbiał patrzeć, jak modele z masy plastycznej czy drutu przybierają ostateczny kształt. Jak dziś zdradza, on sam nie „projektuje” swoich książek, opowieść zaczyna nieraz od zbitki słów, a nawet od pojedynczego dźwięku. Przyglądając się pracy rodziców

i wuja (również grafika), doszedł do wniosku, że musi pójść inną drogą.

Utalentowani rodzice nie stworzyli ciepłego, rodzinnego domu. Michele chował się w książkach, ale ze swoją potrzebą prawdziwych, żywych ludzi, zmysłowego, cielesnego doświadczania świata czuł się „najgorszym wyrzutkiem”. Ojciec pracował całymi dniami, nie otwierał nawet okna, nie wychodził do toalety, nie robił przerwy na kawę. W „Ty, krwawe dzieciństwo” jest imponujący, groźny i prawie nieobecny. Jak przyznaje dorosły już chłopiec, z jego „upiorną postacią łączył mnie niemożliwy związek budowany na obezwładniającym strachu i bezwładzie niewypowiedzianych uczuć, na zjadłym antagonizmie, a w konsekwencji na niegodnych zmaganiach z poczuciem winy”.

W atolu

Choć ojciec publicznie serce miał zawsze po lewej stronie, dzieciom wdrażał dosyć elitarystyczną wizję kultury. Z tym nie warto się zadawać, bo brzydko mówi, tamten to idiota, od grupy lepiej się trzymać z daleka, bo to przeciętniacy. Nastoletni Michele Mari miał przeczytanego

Plutarcha i Leopardiego – czuł się lepszy od rówieśników. Nie przeklinał, nie palił, nie tańczył, nie jeździł na motorynce. Bez szans na towarzystwo, miał za to wpojony ideał heroicznej samotności: „Z pewnością duch tytaniczno-arystokratyczny pozwolił mi przeżyć, obracając moje słabości i wyrzeczenia w siłę”.

Pielęgnował swoją osobność: „Muszę żyć na atolu, poza swoim czasem”. I deklaruje: „Nie znoszę ogólnie przyjętych poglądów, wspólnych horyzontów, wspólnego języka”. Unika literackich koterii, zazdrości o nagrody i dobre recenzje. Fascynują go pisarze dziwaczeni, heretycy, gotowi obalać świętości. Imponuje mu wyniosły, arystokratyczny Gombrowicz – w 2020 r. ukazała się „Ferdurke”, którą Mari przełożył wspólnie z Irene Salvatori. Pragnie pozostawać poza jakimkolwiek nurtem. Nie wierzy w ideę literackiego pokolenia.

Mały Michele był „jak żołnierz, który zawsze słuchał rozkazów”. Ojca postrzegał jako wroga, a zarazem podziwiał jego inteligencję i charyzmę. W domu wszystko mówiło się serio, pisarz dorastał w przekonaniu, że ludzie mądrzy nie żartują. Matka – psychicznie ➔

→ krucha, wiecznie smutna, poddana domowemu tyranowi. Mąż chyba nawet nie wiedział, że jako dziewczyna profesjonalnie się wspinała, a jednym z towarzyszy jej wędrówek był Dino Buzzatti. Syn przywołuje ją w opowiadaniu „Niektóre zielenie”, gdzie matka wraz z synem nałogowo układają skomplikowane, wielotysięczne puzzle. Piętnastoletni Mari dostał w prezencie puzzle „zrób to sam” – na białych kawałkach mazakami narysował rodziców. Ojciec: brodaty, skupiony, „niczym połykacz ognia”, za plecami ma swoje prace, w dłoni ołówek. Matka prawą ręką rysuje, a lewą miesza gotując się potrawę.

Nigdy nie odbudowała się po rozwodzie. Zawsze smutna, nadal przyrządzała zupy chlebowe, z biegiem lat coraz bardziej zatopiona w sobie, odcięta od emocji. W domu ojca było smaczniej i pikantniej, z *pasta all'Amatriciana*, z jego dyktatorskimi sądami, wyśrubowanym poziomem dyskusji. Nie wypadało się przyznać do oglądania kreskówek Disneya albo czytania komiksów.

Wyrastał w bibliotece, tam znajdował ucieczkę i tajne rozkosze. Choć czytał Stendhala, Flauberta, Tolstoja, to najbardziej pociągały go przygody, dalekie rejsy i fantastyczne krainy. Poniekąd buntując się przeciw ojcu, nie gardził literaturą popularną. Komiksy wprost pochłaniał: „Supermana” i „Batmana”, „Popeye’a” i „Tintina”. Teraz lubi przytaczać anegdotę o starciu Roberta Louisa Stevensona i Henry’ego Jamesa, który ubolewał, że tak doskonały stylistą jak Stevenson traci czas na głupstwa w rodzaju „Wyspy skarbów”. Stevenson odparł, że w ten sposób wraca do dziecięcych igraszek. „Jeśli o mnie chodzi, nigdy nie bawiłem się w piratów, nigdy nie szukałem ukrytych skarbów” – odparował James. Stevenson zamknął dyskusję: „To teraz wiemy, że pan James nigdy nie był dzieckiem”.

Michele Mari nigdy nie zapomniał o dziecku w sobie. Jego zabawy były jednak samotne, miał trudności w kontaktach z rówieśnikami. Zaczął pisać, aby zaistnieć, zostać zauważonym. Skrępowany, speszony, również w dorosłym życiu bliskich relacji miał mało. Ale literatura pozwalała także odreagować emocje: „Pisanie jest dla mnie wyzwoleniem i rozkoszą. I odwetem. Nie jest to trudne, bo gdy już podejmie się wątek cierpienia, a potem ewentualnie podda tematyzacji,

Michele Mari unika literackich koterii,
nie zazdrości nagród
i dobrych recenzji.
Fascynują go pisarze
dziwaczni, heretycy,
tacy jak Gombrowicz.

to – w moim wypadku – pisanie rozwija się samoistnie”. W trakcie pisania czuł się wolny od neuroz i zahamowań, zapomniał o swoim pancerzu.

Trzymać, mocno trzymać...

Pierwsze opowiadanie, „L’incubo nel treno” (Koszmar w pociągu) Mari napisał mając dziewięć lat i dał ojcu pod choinkę. Trzydzieści lat potem, na czterdzieste urodziny syna, ojciec wydał książkę w osiemdziesięciu bibliofilskich egzemplarzach. Opublikowana w 1989 r. pierwsza powieść Mariego „Di bestia in bestia” (Od bestii do bestii) rozgrywa się w gotyckim zamku na lodowej skale. Jej bohater ukrywa monstrualnego brata bliźniaka, ale przede wszystkim jest więźniem swojej ukochanej biblioteki i pada jej ofiarą. Sam Mari chętnie mówi głosami bliskich sobie pisarzy: nazywa to „literackim wampiryzmem”. Jak pisze jego tłumacz Brian Robert Moore, Mari sięga po nie, „by wniknąć w to, co opowiedziane inaczej byłoby zbyt brutalne, pospolite albo dotkliwie: jego metoda sublimuje te tematy, a zarazem sprawia, że stają się bardziej znośne, czy wręcz podsyte humorem”.

„Grynszpan” („Verderame”, 2007) to kolejna opowieść samotnego dzieciństwa: mały Michelino spędza wakacje u dziadków nad Lago Maggiore. Osamotniony, snuje się po ogrodzie, towarzysząc staremu dozorczy Felice. Wyobraża sobie jego przygody, z powidokami lektur Dickens’a, Lovecrafta czy Tolstoja: „na własny użytek stworzyłem sobie małą dziewiętnastowieczną powieść” – przyznaje. Monstrualny i fascynujący, Felice powoli traci pamięć. Michelino tworzy dla niego „pałac pamięci”, skomplikowaną sieć skojarzeń, które mają go utrzymać w kon-

takcie z rzeczywistością. Tymczasem coraz bardziej oderwany od materialnego świata i werbalnej komunikacji stary człowiek pokazuje mu skrytkę na strychu, gdzie ukryte zostały zasuszone truchła zabitych Niemców: prawdziwy pałac wypartej pamięci, niewypowiedzianego horroru. Poszukiwanie przygody, wyimaginowany „równoległy żywot”, który Michelino wymyśla dla starego przyjaciela, staje się metaforą życia poprzez literaturę.

Motywy rozdwojenia, dzieciństwa, zmagania z własnymi demonami obsesyjnie powracają u Mariego. Ale nie stworzył jednego stylu, miesza gatunki i rejestry. Ma w dorobku gotycką powieść, fantazyjną biografię zespołu Pink Floyd, ale także łotrzykowskie „Roderick Duddle” – pobrzmiwające Dickensem przygody sieroty. I wreszcie tom poetyckich listów – pamiętkę wielkiej, niedokonanej miłości. Co je łączy?

„Przedmioty zawsze były moimi uprzywilejowanymi interlokutorami” – przyznaje pisarz. Gdzie indziej dodaje: „Tematem wszystkich moich książek jest dusza powierzona przedmiotom”. W 2015 r. we współpracy z fotografem Francesco Pernigo wydał autobiograficzną książkę „Asterusher. Autobiografia per feticci” (Asterusher. Autobiografia w fetyszach), w której pokazuje zakamarki swojego mieszkania w Mediolanie oraz domu dziadków w prowincji Varese. Widok domu ze starannie uporządkowaną biblioteką i meblami w starym drewnie sugeruje poczucie bezpieczeństwa. W takim wnętrzu wszystko powinno pozostawać niezmienione, zatopione w wiecznej pamięci dzieciństwa.

Bohater „Locus disperatus” (2024) jest zmuszony opuścić urządzone ze smakiem mieszkanie, przedmioty pieczołowicie zbierane lub te, które się nagromadziły, bezsensowne, nieużyteczne, jak zbiór metalowych numerków oznaczających drzwi mieszkania. Wszystkie noszą odciski palców, zapis lęków i obsesji. Są tu materialne dowody neurozy, jak choćby słój pełen starannie zatemperowanych ołówek. Mari „czuje, jak osacza go obfitość, która uzasadnia jego istnienie, jak woda uzasadnia istnienie ryby”.

W „Piłkach pana Kurza” sąsiad nie oddaje chłopcom piłek, które spadają na jego posesję. Okazuje się jednak, że pan Kurz zachowuje piłki nie dla złośliwej uciechy: opatrzone datami, pieczołowi-

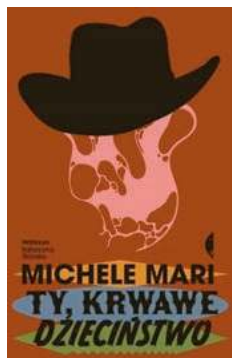
cie wyeksponowane, tworzą niezwykłą kolekcję, album cudzego dzieciństwa. Narrator „Eurydyka miała psa” odwiedza staruszkę Florę, podziwia jej mieszkanie pełne staromodnych przedmiotów i skrycie pragnie, by to miejsce trwało zawsze.

„Właśnie tak, rzeczy znikają. Cały sekret polega na tym, żeby zachować czujność, żeby ani na chwilę nie przestać pilnować... Wiedzieć zawsze, co się ma, gdzie się ma... A to, co kochałeś choćby przez jeden poranek, trzymać mocno przy sobie i nie puszczać aż do śmierci. Trzymać, mocno trzymać...” – tłumaczy dorosłemu już Michelino wyimaginowany ojciec. Pamiątkowe drobiazgi zmieniają się w kotwice pamięci. Jedyną szansę zachowania czegokolwiek przed zmianą daje literatura.

„W literaturze jestem przywiązany do całej serii staromodnych, nieomal pornograficznych wartości – przyznaje Mari w jednym z wywiadów – powołanie, inspiracja, przeznaczenie. Zdaje sobie sprawę, że jest to wizja nieomal mistyczno-ascetyczna: zostajesz wezwany, to jest najważniejsza sprawa w twoim życiu. Nie jest tak, że w jednym roku jeździsz na nartach wodnych, a w następnym dostaniesz nagrodę literacką. Nigdy nie chciałem prowadzić zajęć w szkole pisania, bo wydawało mi się niedorzeczne, by uczyć się pisać w szkole. W tym, co robię jest taka jedność, że jedynym sposobem, by nauczyć pisania, byłoby sklonować mnie samego. A to ostatnia rzecz, na której by mi zależało. Chce być sam i chce być unikatowy”.

© ANNA ARNO

Cytaty w tekście podano w przekładzie Anny Arno i Katarzyny Skórskiej.



Michele Mari
**TY, KRWAWE
DZIECIŃSTWO**
przełożyła
Katarzyna
Skórska,
Wydawnictwo
Czarne,
Wołowiec
2024.



MATERIAŁY PRASOWE APPLE TV

Adam Scott w serialu „Rozdzielenie”

Pułapki rozdzielania

JAKUB MAJMUREK

Wymyślona przez twórców serialu „Rozdzielenie” tytułowa procedura to genialna metafora, pozwalająca przyrzeć się współczesnej pracy i zachodzącym w niej mechanizmom alienacji.

WŚRÓD WIELU POSTULATÓW, JAKIE w negocjacjach z pracodawcami podnoszą dziś pracownicy na całym świecie, jest też tzw. prawo do oddzielenia. Do tego, by po pracy móc wyłączyć służbowy laptop i komórkę, nie musieć odbierać maili, SMS-ów czy telefonów od szefa, by nie zabierać ze sobą pracy do domu. W serialu „Rozdzielenie” – którego drugi sezon właśnie pokazuje Apple TV – pewna korporacja realizuje je w dość ekstremalnej formie.

Pracownicy serialowego Lumenu nie tylko nie zabierają ze sobą pracy do domu, ale po wyjściu z pracy zapominają, co w niej robili. Dzięki operacji instalującej w mózgu specjalny czip, ich osobowość rozszczepia się na dwie części – prywatną i zawodową. W prywatnym życiu nie mają pojęcia, co robią w pracy, i w każdy dzień roboczy mają ośmiogodzinną dziurę w życiorysie. Ale

też, przebywając w pracy, nie mają pojęcia, kim są na zewnątrz – nie wiedzą, czy mają rodzinę, czy są samotni, czym się interesują, gdzie mieszkają, a nawet jak się nazywają.

W pracowniczej dystopii

Serial oparty na podobnych założeniach można było nakręcić na kilka różnych sposobów: jako pogodną, nawet jeśli operującą dość surrealistycznym humorem komedię, jak drapieżną polityczno-społeczną satyrę na współczesny kapitalizm, a nawet jak horror.

„Rozdzielenie” łączy wszystkie te rejestry. Zaczyna się jak absurdalna komedia, im lepiej poznajemy jednak bohaterów pracujących na specjalnym piętrze przeznaczonym dla „rozdzielonych” pracowników, tym mniej zabawna, a bardziej przerażająca wydaje się nam ich sytuacja.





MATERIAŁY PRASOWE APPLE TV

Kadr z serialu „Rozdzielenie”

⇒ Pracowników w siedzibie firmy wita wielka płaskorzeźba przedstawiająca profil XIX-wiecznego założyciela firmy Kiera Egana. Przywodzi na myśl socrealistyczny monumentalizm, przedstawienia Marksa, Engelsa czy Lenina z gmachu KPZR albo jakiegoś metalurgicznego kombinatu w dawnych Niemczech Wschodnich. W *Lumenie* zresztą postać Egana i jego następców otaczana jest podobnym kultem jednostki, jak Marks z Leninem w krajach realnego socjalizmu. Siedzibę firmy dekorują freski pokazujące kluczowe momenty z życia Kiera, od naznaczonego biedą i chorobą dzieciństwa, do biznesowych sukcesów.

Egan był nie tylko człowiekiem interesu, ale i domorosłym „filozofem”. Nie tylko zbudował przedsiębiorstwo, które z producenta leczniczych maści przekształciło się w kosmetyczno-farmaceutyczno-biotechnologicznego giganta, ale także stworzył własną teorię psychologiczno-moralną, zakładającą, że każda osobowość kształtowana jest przez cztery podstawowe emocje: smutek, radość, strach i złośliwość. „Nauka” Kiera ma na celu ich opanowanie, tak by nie zakłócały równowagi ciała i ducha. Na firmowych wydarzeniach pracownicy obserwują inscenizacje przed-

stawiające, jak „Kier poskramia cztery emocje”.

Lumen, a przynajmniej piętro dla „rozdzielonych” – w serialu praktycznie nie widzimy pozostałej części korporacji – pod wieloma względami przypomina oddaną kultowi Egana sektę. I jak wiele sekt naprzemiennie bombarduje swoich „wyznawców” miłością i dyscyplinuje ich przy pomocy wyrafinowanego systemu kar, mających złamać resztki oporu i psychicznej niezależności. Ostatecznie *Lumen* okazuje się połączeniem „korporacyjnej Korei Północnej” z sektą w typie scjentologii, gdzie odpowiedniki owocowych piątków sąsiadują z systemowym praniem mózgu.

Niewolnicy samych siebie

Nawet gdyby *Lumen* był przyjaznym, wolnym od kultu założyciela i sekciarskich praktyk miejscem pracy, to sytuacja „rozdzielonych” pracowników pozostawałaby problematyczna. Tytułowy zabieg, jak twierdzi propaganda *Lumenu*, ma chronić tajemnice firmy – „rozdzieleni” pracują przy najbardziej wrażliwych projektach, za informacje o których hojnie gotowa byłaby zapłacić konkurencja. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że w procedurze nie chodzi o korpora-

cyjne sekrety, a o kontrolę nad pracownikami, o jeszcze skuteczniejsze sposoby maksymalnego wykorzystywania ich pracy.

Rozdzielenie pozwala zostawić pracownikowi za drzwiami biura wszystkie intelektualne i emocjonalne kompetencje, które nie służą pracodawcy, odcina go od wiedzy, relacji i afektywnych zasobów, umożliwiających opór wobec jego żądań.

Wymyślona przez twórców serialu tytułowa procedura okazuje się genialną w swojej prostocie metaforą, pozwalającą przyjrzeć się współczesnej pracy i zachodzącym w niej mechanizmom alienacji.

Lumen przekonuje pracowników do poddania się procedurze, zachwalając ją jako szansę na wyzwolenie się od pracy. Osoba, która się jej poddała, funkcjonuje jakby w ogóle nie pracowała, poza czasem poświęcanym na dojazd do pracy żyje w wiecznym czasie wolnym – choć jej doba jest krótsza o 8 godzin, jakie spędza w pracy. To „wyzwolenie” opiera się jednak na skrajnym zniewoleniu pracującego *alter ego*.

Bo zajmująca się pracą część „rozdzielonej osoby” nie zna innej rzeczywistości niż ta na specjalnym piętrze *Lumenu*. Nie ma czasu wolnego, jej świadomość wyłącza się w momencie, gdy wsiada do

windy zwożącej ją po skończonym dniu pracy do wyjścia z budynku, i włącza się ponownie, gdy następnego dnia roboczego zmierza nią w górę. Funkcjonuje w rzeczywistości ciągłego obozu pracy, z którego nie może zwolnić się bez zgody swojego *alter ego* „z zewnątrz”.

W pierwszych odcinkach pierwszego sezonu obserwujemy walkę nowej pracownicy – Helly E. – o zwolnienie się z pracy na „rozdzielonym” piętrze. Ale choć Helly gotowa jest posunąć się do najbardziej desperackich kroków, z samookaleczeniem włącznie, to jej „zewnątrzne” *alter ego* konsekwentnie odrzuca prośby o zgodę na odejście z Lumenu. Nagrywa wideo, gdzie z sadystryczną determinacją tłumaczy Helly, że nie uważa jej za prawdziwą osobę, posiadającą normalne ludzkie prawa jak ona. Procedura rozdzielania pozwala każdej poddanej jej osobie na posiadanie własnego, zastępującego ją w pracy „niewolnika” – problemem jest to, że dzieli on z nią to samo ciało, wiele cech osobowości, temperamentu, emocji.

Praca oddzielona od życia poza pracą zmienia się przy tym w beznęśną harówkę, nie jest w stanie dostarczyć poczucia sensu. A nawet poddani procedurze rozdzielania ludzie go potrzebują. Cały pierwszy sezon zbudowany jest wokół historii buntu niewielkiej grupki „rozdzielonych pracowników” Lumenu, którzy odkrywają, że możliwe jest wyłączenie odpowiadającego za rozdzielenie ich osobowości wczepionego w mózg chipu i ponowne scalenie dwóch osobowości.

Na planie osobistych historii bohaterów stawką tego buntu jest odzyskanie jedności pękniętego życia, na szerszym, metaforycznym planie jest nią przełamanie alienacji pracy, jej ponowne usensownienie.

Sen o współczesnym kapitalizmie

Największą siłą serialu jest to, że wszystkie te wątki podaje w formie przypominającej wyjątkowo gesty i opierający się racjonalnemu zrozumieniu sen. „Rozdzielenie” wygląda tak, jakby ktoś diagnozy współczesnego kapitalizmu, wzięte z takich dzieł jak „Praca bez sensu” Davida Graebara czy „Wieku kapitalizmu inwizacji” Shoshany Zuboff, przefiltrował przez wrażliwość w typie Davida Lyncha.

„Rozdzielone” piętro to rzeczywistość niepoddająca się racjonalnym wytłuma-

czeniu. Czwórka pracowników znajdujących się w centrum akcji cały dzień siedzi w niemal pustym biurowym pomieszczeniu przed monitorami, wyglądającymi jak z lat 80. Na monochromatycznych ekranach wyświetlają się kolumny cyfr. Pracownicy, opierając się na emocjonalnej intuicji, mają segregować cyfry, dzieląc je na cztery zbiory, w zależności od tego, jaką emocjonalną aurę projektuje dana liczba.

Nie wiemy, o co chodzi w tym procesie, jaki jest właściwie jego cel i logika. Liczba zbiorów odpowiada liczbie czterech emocji wyróżnionych przez Egana – wśród fanów serialu powstała więc teoria mówiąca, że liczby to dane reprezentujące aktywność mózgu, a proces ich selekcji ma służyć jeszcze większemu udoskonaleniu procesu rozdzielania w przyszłości – tak by „pracowniczej” osobowości nie „rozpraszał” już naprawdę żaden zbędny afekt.

Niemal wszystkie inne prace, jakie widzimy na specjalnym piętrze Lumenu, wyglądają podobnie tajemniczo i absurdalnie. W większości wydaje się ono opustoszałe, długie korytarze płaczą się w prowadzących donikąd labiryntach. W jednej z najbardziej fascynujących scen Helly i kierujący jej zespołem Mark S., wbrew wewnętrznym przepisom zapuszczają się w najodleglejsze zakątki piętra. Trafiają do sali wypełnionej małymi kózkami, jedną z nich nieznanym im pracownik karmi mlekiem z butelki. Nie wiemy, czemu służyć ma ta hodowla, scena nakręcona jest jednak tak, że mamy wrażenie, jakbyśmy naruszyli jakąś fundamentalną tajemnicę, wkroczyli do niedostępnego nikomu poza najwyższym kapłanom pomieszczenia świątyni tajemniczej religii, której rytuały wydają się tyleż fascynujące, co absurdalne.

Atmosfera absurdu niesamowitości przenika też serialową rzeczywistość poza siedzibą Lumenu. Obserwujemy ją głównie z punktu widzenia Marka S. Mężczyzna mieszka na dziwnie opustoszałym przedmieściu, zastanawiamy się, czy nie jest to zbudowana przez Lumen makietą symulująca normalne osiedle. Mark zdecydował się poddać procedurze, bo nie był w stanie poradzić sobie z żałobą po śmierci żony, która zginęła w wypadku samochodowym. Kobieta wyglądająca identycznie jak jego żona pracuje jednak na „rozdzielonym” piętrze Lumenu jako psycholożka.

Ona i Mark często spotykają się w pracy, zupełnie się nie poznając. Pytanie, co tak naprawdę stało się z żoną Marka, stanowi jedną z głównych osi intrygi i, jak wszystko wskazuje, tylko zyska na znaczeniu w drugim sezonie.

Od rozdzielania do zastąpienia

Klawiatury, na których pracuje zespół Marka, nie mają przycisków *control* i *escape* – tak jakby Lumen nie chciał, by cokolwiek przypominało pracownikom o tym, że nie mają kontroli i możliwości ucieczki.

To nasycenie serialu detalami i tajemnicami sprzyja powstawaniu wokół niego społeczności fanów, tworzących kolejne teorie próbujące rozwikłać zagadkę „Rozdzielenia”. Krążą one głównie wokół pytania: czym tak naprawdę Lumen zajmuje się na piętrze dla „rozdzielonych”? Różne teorie mówią o pracach nad wskrzeszeniem Keira Egan, stworzeniu idealnego i poddającego się całkowitej kontroli „rozdzielonego pracownika”, umożliwieniu przeniesienia świadomości rodziny Eganów – i innych, których na to stać – w młodsze ciała. Wszystkie te teorie krążą wokół lęku przed tym, że współczesna technologia sprzęgnięta z takim, a nie innym systemem społeczno-gospodarczym zaczyna zagrażać samej istocie naszego człowieczeństwa, zwłaszcza w jego wymiarze związanym z pracą.

Można zrozumieć podobne lęki. Miedzy pierwszym a drugim sezonem serialu miała miejsce premiera chataGPT. Urządzenia, które może skutecznie zastąpić cały szereg prac wcześniej uważanych za wolne od zagrożenia automatyzacją – łącznie z tymi w przemysłach kreatywnych.

Mark i jego drużyna, pracujący nad tym, jak w interesie Eganów usprawnić procedurę produkującą niezdolnych do oporu pracowników – jeśli faktycznie taki jest cel ich pracy – a więc nad własnym, jeszcze pełniejszym zniewoleniem, mogą kojarzyć się w tym kontekście z zespołem programistów pracujących nad sztuczną inteligencją, która może wkrótce odebrać pracę wielu z nich. Angielski tytuł serialu – „Severance” – oznacza też przecież zwolnienie z pracy.

© JAKUB MAJMUREK

ROZDZIELENIE (*Severance*), Apple TV, scen. Dan Erickson. Obecnie trwa emisja drugiego sezonu serialu.

Tropikalny trip

ANITA PIOTROWSKA

Dryfując w czasie, mieszając języki, oddając głos raz mężczyźnie, raz kobiecie, Miguel Gomes tworzy ciekawą hybrydę. Co wynika z pościgu narzeczonej za narzeczoną przez Azję u schyłku kolonialnych potęg?

METAFORA FILMU JAKO SNU TRĄCI JUŻ naftaliną, a „kino oniryczne” bywa synonimem ekranowych usypiaczy. Tym większą niespodzianką okazuje się „Grand Tour”, filmowa podróż o frapująco meandrycznej trajektorii – przez odległe krainy, obce języki, różne epoki i rodzaje kina. A do tego ta opowieść o dawnych fascynacjach tzw. Orientem zostaje przepuszczona przez dzisiejszą świadomość i wrażliwość, jakkolwiek wciąż niewolne od swoich wyobrażeń. Na powierzchni zaś mamy wcale niepowierzchnową i bardzo zwodniczą historię miłosną, rozpiętą na dwa osobne głosy, które dopełniają się w tropikalnej gorącości (czy oparach opium), jakby na przekór zachodnim dualizmom.

W przeciwieństwie do odwiecznych wypraw kawalerskich po Europie i tak chętnie uprawianych w epoce romantyzmu „podróży na wschód”, filmowy Edward (w tej roli Gonçalo Waddington) nie przemierza Azji w celach edukacyjnych, inicjacyjnych czy awanturniczych. W 1918 r. opuszcza w popłochu birmańskie Mandalaj i rusza do Rangunu, a potem do Singapuru, Bangkoku, Sajgonu i jeszcze dalej, ponieważ... ściga go narzeczoną. A brytyjski urzędnik w zamorskich koloniach, choć nie pierwszej młodości, najwyraźniej nie kwapi się do ożenku. Ta zgoła komiczna sytuacja (niewidziana od siedmiu lat i wyraźnie zdesperowana Molly osacza go telegramami w kolejnych miastach) rozwinię



się w zaskakujących kierunkach. Od początku mocno dezorientuje, albowiem fabularne sceny z przeszłości sąsiadują tu ze zdjęciami współczesnych ulic, lunaparków, marionetkowego teatru cieni, tworząc coś na kształt ponadczasowego snu Edwarda, podróżnika sprzed stu lat. Nawet klucz wizualny (część zdjęć jest kolorowa, część czarno-biała) okaże się mylnym tropem. Wszak logika marzeń sennych rządzi się własnymi prawami.

Pewnie dlatego właściwy „Grand Tour”, rozpoczynający się od jazdy bohatera pociągiem, przypomina początek „Sanatorium pod Klepsydrą” Wojciecha Jerzego Hasa, a niektóre sceny, jak spotkanie miejscowych piękności w wypełnionej westchnieniami nocnej dżungli, jako żywo kojarzą się z „Rękopisem znalezionym w Saragossie”. Film Gomesa ma wiele z tamtej poetyki. Oczywiście, dzisiejszy reżyser w innym celu opowiada swą orientalną bajkę i nie przypadkiem osadza ją u schyłku kolonialnych potęg. Podobny jednak panuje klimat, łączący przygodową konwencję z poczuciem egzystencjalnej przygodności. Mimo iż azjatycka rzeczywistość wydaje się uwodzielska w swoim bogactwie natury i kultury, cały tour naznaczony jest śmiertelnym oddechem, a ludzie chwilami mają konsystencję duchów. Można by szumnie napisać: oto na naszych oczach przemija postać świata – gdybyśmy nadal nie mieli do czynienia z jej licznymi powidokami. Czy rzeczywiście ci bawiący się dziś

Azjaci z kolorowych przebitek nie muszą już usługiwać swoim sahibom, również tym z aparatami fotograficznymi i kamerami?

To jedna z wielu nitek interpretacyjnych, bo owa dwugodzinna podróż, odbywająca się koleją, parostatkiem, kutrem rybackim albo w lektyce, w towarzystwie europejskich handlarzy i artystów, amerykańskich żołnierzy i budyjskich mnichów, rozszepcza się w polowie i podąża dalej osobnym wątkiem. Do akcji wkracza wówczas Molly (Crista Alfiate), ze swoimi kompulsywnymi prychnięciami, którymi rozbraja nadętą powagę kolonialnego świata tudzież absurd swojej sytuacji. I wnosi do fabuły własną wersję historii. Podążając tropem opornego narzeczonego, kobieta przeżywa zupełnie inny trip, inaczej motywowany, niżby się mogło wydawać, z własną tajemnicą i wieloma odcieniami emocjonalnymi. Tylko czy można nieustannie wierzyć w istnienie kogoś, kto ciągle ucieka? Aż się prosi, żeby rozczytać tę postać w odniesieniu do innej Molly, tej z „Ulissesa” – zmysłowej, czującej, mówiącej światu „tak”.

Dryfując w czasie, mieszając języki i oddając głos raz mężczyźnie, raz kobiecie („Grand Tour” jest także gawędą snutą dosłownie, poza kadrem), tworzy Gomes ciekawą hybrydę filmową. Zainscenizowana w studiu przeszłość zderza się z surowym materiałem kręconym przez samego reżysera na ulicach kilku krajów,



MATERIAŁ PRASOWE NOWE HORYZONTY

GRAND TOUR

– reż. Miguel Gomes.
Prod. Portugalia/
/Włochy/Francja
2024.
Dystryb.
Stowarzyszenie Nowe
Horyzonty.
W kinach od 7 lutego.

Miguel Gomes,
portugalski reżyser
i scenarzysta, uznanie
zdobył filmem „Tabu”
(2012), docenionym
m.in. na Berlinale.
W 2015 r. odbyła
się premiera jego
ekscentrycznej trylogii
„Tysiąc i jedna noc”,
czyli współczesnej
opowieści Szeherazydy
z istotnymi wątkami
społecznymi.
Po „Dziennikach
ewoinpreis”
(2021) przyszła
pora na „Grand
Tour”, nagrodzony
za reżyserię
w Cannes.

Kadr z filmu
„Grand Tour”

podczas jego podróży po Azji. Lecz choć i tym dokumentalnym zdjęciom dałoby się zarzucić orientalizujące spojrzenie, lepiej nie zapędzać się w pułapki hiperpoprawności. Filmując bary karaoke, walki kogutów i wizytę u wróżki, portugalski reżyser nie udaje, że zdołał przeniknąć to uniwersum; są to poza tym światy całkowicie odmienne, celowo sprawadzone, mimo literalnych oznaczeń, do wspólnego mianownika. Dostajemy więc poniekąd film o zachodnich przedstawieniach obcych kultur, a zatem także o ich ograniczeniach. Niezależnie od tego, czy stylizuje się na stare kino, z wyraźnymi zresztą anachronizmami, czy na amatorski zapis turystyczny, pozostaje „Grand Tour” przede wszystkim, parafrazując tytuł poprzedniego filmu Gomesa, „baśnią z tysiąca i jednej nocy”. Tyle że przesuniętą bardziej na wschód kontynentu, zorientowaną raczej na egzotykę niż etnografię. Tak czy inaczej, skazaną na spojrzenie outsidera.

To film dla tych, którzy wolą się w tym śnie zatracić, niż dla tych, którzy wypatrzą w nim twarde sensy. Poszukiwacze treści krytycznych w duchu postkolonialnym będą narzekać na zbyt nie rozrzedzenie intelektualnej materii, a nawet zarzucić mu ukrytą nostalgię. Ale jeśli jest w „Grand Tour” jakaś tęsknota, to nie za minionym porządkiem ani za celebrującym go „kinem dziedzictwa”, ani też, dla odmiany, za światem lub kinem idealnym. W onirycznym bądź autotematycznym nawiasie zawiera się tęsknota za sensem, który zbyt długo jedynie Molly był dostępny, który odbija się w jej ostrzeganiu rzeczywistości i traktowaniu innych ludzi.

Wygrywany na bogato Orient stanowi jedynie dekorację dla tych poszukiwań. Jeśli nawet Gomes przedstawia je nazbyt mgliście, umownie czy momentami zbyt efektownie, dostarcza za to przyjemności obcowania z czymś bardzo ulotnym. Uduje mu się opowiedzieć sen, także ten zbiorowy, co w słowach, jak wiadomo, skazane byłoby na porażkę. U niego natomiast znajduje swój odpowiednik w bardzo intensywnych obrazach, do końca nieprzewidywalnych, pochodzących z różnych rejestrów i zarazem przenikających się nawzajem. W odróżnieniu od tych głównych snów, śnionych równolegle przez Molly i Edwarda, próbują pięknie ze sobą rozmawiać. ©

Lektor: Zbieranie okruchów



■ Zbigniew Herbert
„WĘZEŁ GORDYJSKI” ORAZ INNE PISMA
ROZPROSZONE 1948-1998, tom 1-3
Zebrał, przedmowę i notami opatrzył
Paweł Kądziera. Wydawnictwo „Więź”,
Warszawa 2024, ss. 542 + 436 + 286.

PATRYK, STEFAN MARTHA, BOLESŁAW HERTYŃSKI, Konrad, Mikołaj, a także zh, Z.H. i bert – tak rozmaicie sygnował swoje teksty w prasie Zbigniew Herbert. Lista tytułów prasowych jest długa, od szczecińskiego „Tygodnika Wybrzeża”, gdzie Herbert debiutował w 1948 r. „Egzystencjalizmem dla laików”, po „Tygodnik Solidarność”, jego trybunę publicystyczną w ostatnich latach życia; choć ostatnim tekstem w tej trzytomowej edycji jest „Zło”, odpowiedź na ankietę miesięcznika „Znak” z 1998 roku.

Różnorodność gatunkowa: część pierwszą wypełniają próby prozatorskie, potem są recenzje plastyczne, literackie i teatralne, czasem przeradzające się w mały esej, felietonowe listy z Polski i z Francji, trafi się i rozmowa (np. z Janem Brzękowskim i Jerzym Zawieyskim) albo wspomnienie, na koniec wreszcie są owe szarże publicystyczne. Mając świadomość, że publikacje prasowe miały czasem duże znaczenie po prostu dla budżetu autora, trudno jednak nie zauważyć, że w tych wypowiedziach słychać jego prawdziwy głos i można analizować jego poglądy, choćby na malarstwo.

Pisma rozproszone autora „Pana Cogito” wydano w trzy lata po jego śmierci, w 2001 r. Nieżyjąca już Małgorzata Baranowska zauważała wtedy pięknie: „Ma się poczucie święta, że tyle Herberta przybyło nam na wyciągnięcie ręki”. Wznowienie ukazało się siedem lat później, a teraz, w wydaniu trzecim, Herberta jest jeszcze więcej: doszło ponad pięćdziesiąt nowych tekstów. I nie chodzi o inedita z archiwum. Paweł Kądziera, edytor niezwykle sumienny (polecam lekturę jego not!), przyjął bowiem zasadę, że uwzględnia tylko to, co sam autor przeznaczył do druku. Także wtedy, gdy druk uniemożliwiła cenzura, jak w przypadku szkicu „O kolorach”, napisanej w 1952 r. dla „Tygodnika Powszechnego” refleksji po odwiedzeniu II Ogólnopolskiej Wystawy Plastyki w Zachęcie.

Właśnie – „Tygodnik”. Jest go tu dużo, bo też Herbert wiele w nim publikował. I nie zerwał z nim także wtedy, gdy jego poglądy polityczne wyraźnie zaczęły odbiegać od redakcyjnych – a doszedł jeszcze nieszczęsny spór z Miłoszem. Jednak w liście na 85. urodziny Jerzego Turowicza (rok 1997) nazwał go swoim literackim ojcem chrzestnym, a redakcję na Wiślniej – miejscem, gdzie w złych czasach można było mówić, co się myśli. No i potem przysłał dużą porcję wierszy z ostatniego tomu. Koło się domknęło. ©P

OLGA

Drenda:

Dola Marsjanina



JESTEM OROBINĘ ZASKOCZONA FAKTEM, że pomysł, by wysłać załogową misję na Marsa, zaczął w ostatnich miesiącach budzić tak silne emocje. Nie dlatego, żebym wątpiła w powodzenie tej misji (przeciwnie, jestem naprawdę ciekawa, co z niej wyniknie), ale dla-

tego, że byłam przekonana, że loty kosmiczne przestały ciekawić ludzi i jako powszechna fascynacja pozostały w wieku XX. Inżynieria kosmiczna wciąż się rozwija i w ostatnich latach działy się tam rzeczy spektakularne – odkrycie wody czy zaawansowane plany zbudowania stałej stacji badawczej na Księżycu – ale jakby zniknęły z horyzontu ludzkiej wyobraźni. Zostanie nowym Gagarinem czy Hermaszewskim wyleciało z pakietu dziecięcych marzeń – oczywiście nie licząc Indii, gdzie kolejne odsłony programu księżycowego Chandrayaan są wszechobecne w kulturze popularnej, a nawet na muralach, w kolorówkach i w cukierniactwie okolicznościowym. Ale też obowiązywała mocna korekta zdroworozsądkowa: na Ziemi mamy nieustający bałagan, więc może lepiej włożyć wspólny wysiłek w próbę posprzątania go.

Ale Mars to trochę co innego. W końcu na Księżycu człowiek już przez chwilę stał i zdążyliśmy się może z nim oswoić. W wyprawie na Marsa jest coś z urzeczywistniania fantastyki, z horyzontu, o którym pisał niegdyś Carl Sagan, że jest potrzebą dzieloną przez ludzi i impulsem dla wynalazczości. To z pewnością napędza wyobraźnię. Zaskakujące jest jedynie to, jak szybko wizja ta przeszła do kategorii wykonalnych.

Robert Zubrin, specjalista inżynierii kosmicznej i założyciel The Mars Society, zaproponował swoją wizję wypraw

na Marsa mniej więcej trzy dekady temu. Jego zdaniem w zasięgu ludzkich możliwości leży nie tylko załogowy lot na tę planetę, ale w dalszej perspektywie zbudowanie tam sieci osad i marsjańsko-ziemska wymiana towarowa. Jego zdaniem chęć zaludnienia Marsa może być kierowana tym samym paliwem, które kierowało przed wiekami Europejczyków do Ameryki Północnej: niektórzy będą szukać lepszego miejsca do życia, inni będą czuć się wyrzutekmi, a jeszcze innych motywować będzie ciekawość.

Jest w tym coś przewrotnie pomysłowego: nie czekać na spotkanie Marsjan, tylko samemu zostać Marsjanami. Zubrin niewątpliwie wierzy przy tym w wytrwałość i konstruktywne zdolności człowieka, przekonując, że amerykańscy pionierzy również mierzyli się z nieznanymi wcześniej trudnościami, ale mimo to wystarczyło im determinacji.

Obecnie pioniersko-optymistyczna wizja Zubrina zyskała swój dystopijny cień: koncepcję przeprowadzki grupy ludzi wystarczająco bogatych i cynicznych, by ewakuować się z Ziemi, zanim skończą się zasoby naturalne. Przypomina to pomysły, o których rozczarowany technooptymista, a może technorealista – amerykański reporter Douglas Rushkoff pisał jakiś czas temu. Opisywał miliarderów, którzy żyją w nieustającej obawie przed końcem świata i dlatego budują bunkry, spichrze i kapsuły, które miałyby ochronić ich samych i ich bogactwo w razie powszechnej katastrofy. Teraz pojawia się nowa odsłona tej wizji: bogacze z pobłażaniem obserwujących z kosmosu biednych kmiotków walczących o resztki na swojej starej planecie.

Kto jednak oglądał wystarczająco uważnie „Strefę mroku”, serial z czasów zimnej wojny, który rozważał w fantastyczno-przypowieściowej formie obawy związane z wyścigiem zbrojeń i wiszący w powietrzu globalny strach po użyciu bomb atomowych, ten może przypomnieć sobie pewien ważny czynnik. Zaskakująco częstym motywem jest tam samotność człowieka, który przetrwał zagładę Ziemi. W jednym z odcinków milioner buduje bunkier przeciwnuklearny i tworzy symulację eksplozji bomby atomowej, by przestraszyć i zaszantażować swoich wrogów. Nabiera się na to złudzenie sam i traci zmysły, przekonany, że został na Ziemi jeden jedyny. W innym odcinku kandydat do księżycowej misji trafia do symulacji świata pozbawionego obecności człowieka, żeby sprawdzić, na ile przejdzie test konfrontacji z absolutną samotnością.

Od kiedy słucham i czytam więcej o możliwych wariantach, jakimi może potoczyć się marsjańska misja, przypominają mi się te odcinki i wyobrażam sobie, kto może się śmiać ostatni, gdyby okazało się, że wszystko potoczy się tak źle, jak to możliwe. I jak wyglądałoby życie grupy uciekinierów, gdyby okazało się, że poza możliwą marsjańską bazą nie ma już nic, a zwłaszcza nie ma powrotu.

©

Pomnik
Bohaterów
Kosmosu
w Olecku



OLGA DRENDA

Olga Drenda jest etnologą, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.

PAWEŁ

Bravo: Mury umiaru



TRZY KORONY W PIENINACH TO W RZECZYWISTOŚCI PIĘĆ ODREBNYCH SKAŁ. Czy w krainie, gdzie jeszcze na ścianach widać prostokątny ślad po portrecie Najjaśniejszego Pana, można w ogóle wierzyć oczom i liczyć prawdę na palcach? Gdy Banach z kolegami w nieod-

ległym Lwowie wytyczali ołówkiem na blacie w kawiarni fundamenty dzisiejszej matematyki, nie pytali przecież Euklidesa o zdanie. Prosta logika na nic się tu nie zda. Pieniński szczyt nazwano w ten sposób, bo każdy mieszkaniec Galicji rodzi się i umiera w cieniu trzech koron, które krakowski arcybiskup od tysiąca lat ma w herbie. Orzeł biały, powiadacie? Owszem, też się go tu widuje.

Gdyby istniał galicyjski ruch separatystyczny, mógłby na być tanio wiele trójkoronnych blaszek, bo król Danii właśnie wyrzucił z herbu pole, które je zawierało. Duńska monarchia miała je na pamiątkę średniowiecznej unii łączącej państwa skandynawskie. Po jej rozpadzie symbol wzięli sobie Szwedzi (kojarzycie koszulki szwedzkich hokeistów?), ale w traktacie rozwodowym pozwolili Duńczykom go zachować, choć potem dużo było z tego powodu kwasów. O co teraz, po czterystu latach, chodzi królowi w Kopenhadze? Spróbujcie sobie wyobrazić, że polski monarcha, gdybyśmy go nadal mieli, usuwa z herbu Pogoń... Współczesna Litwa byłaby zadowolona, ale to jednak historyczna amputacja. Otóż trzeba było zrobić więcej miejsca na niedźwiedzia i barana, wcześniej upchnięte w kącie innego pola. I w ten sposób oznaczyć dobitnie Grenlandię i Wyspy Owcze jako składniki państwa.

„A ta woda, te słowa, cóż mogą, cóż mogą, książę” – mówi Fortynbras w wierszu Herberta do duńskiego księcia imieniem Hamlet. Jego obecny następca Fryderyk poza gestem nie ma do dyspozycji niczego, żeby podeprzeć swój rząd w geopolitycznym zamieszaniu wokół Grenlandii, wywołanym przez zamorskie mocarstwo. Śmiesznie mało, a jednak na tym polega czasem słuszny opór, że człowiek robi rzeczy, które pod pewnym kątem mogą wydawać się nieadekwatne, wręcz żalotne. Tamten wymachuje maczugą, straszy wojskiem i cłami, a ci haftują niedźwiedzia, jakby od równych szlachków na proporcach zależało, kto wygra bitwę.

Po prawdzie to maczugę również znajdziemy na duńskim herbie. Dzierży ją „dziki człowiek” w przepasce z liści na bio-

drach. To stary motyw heraldyczny, dziś niepoprawny politycznie, a jednak się uchował. I kto wie, może mały, płaski kraj nie będzie całkiem bezradny, bo to dzięki duńskiej firmie i jej nowemu leкови, o czym żeśmy tu już raz czy drugi mówili, Ameryka zaczęła wreszcie chudnąć. Droga do jej ponownej „wielkości”, takiej rzeczywistej, droga do kraju, który budzi podziw, a nie trwogę zmieszaną z litością, biegnie także przez wyjście z koszmarnego kryzysu żywnościowego. Kryzysu wywołanego nie głodem, suszą czy szarańczą, lecz przeciwnie: chronicznym nadmiarem. Sytością, od której pękły mury wszelkiego umiaru.

W wyborach na naszego niby-króla startuje tzw. wielki Duńczyk, jak złośliwie określa się (z racji urodzenia i wzrostu) jednego z kandydatów. Cenię go. Ale żeby wygrał, musiałoby pójść do urn minimum dziesięć milionów klonów mojej osoby. Straszne. Polska stałaby się nie do wytrzymania. Umówmy się, że pozostanę jeden jedyny, a prezydentem zostanie któryś z dwóch „poważnych” kandydatów. Tymczasem jednak warto czerpać inspirację z tych, co się nie liczą. Małych krajów bez wielkiego wojaka i ich dekoracyjnych monarchów, po nocach obradujących z heraldykami. Bo liczą się też gesty, a także siła twórczego umysłu, który wymyśla, jak zatrzymać wielkie epidemie, choćby nie był to akurat wirus, lecz syndrom drugiej dokładki.

Jeden z lwowskich geniuszy, Stanisław Ulam, zatrudniony potem przy tworzeniu bomby atomowej, mawiał: „Jestem czyстым matematykiem, który upadł tak nisko, iż jego prace zawierają prawdziwe liczby”. A kawiarnia, choć wiedeńska w stylu, zwana była Szkocką... Wszystko względne. Pozostaje mieć nadzieję, że chociaż ciastka dawali tam słodkie, a lukier nie był ze słoniny.



Krem z brukwi

Jest w obszarze skandynawskim pewne zamilowanie do brukwi, które podzielam (wiem, jak się ona historycznie kojarzy, ale ileż można nosić traumy?). Taki prosty, rozgrzewający krem może być dobrą odmianą na zimowy obiad.

Składniki: 1 kg brukwi 1 l bulionu warzywnego 50-80 g ryżu (typ do risotta) ■ masło ■ sól ■ kurkuma

Gotujemy ryż w bulionie około kwadransa, aż zmięknie. Brukiw kroimy w drobną kosteczkę i dusimy na maśle pod przykryciem do miękkości (ok. 20 min), podlewając ewentualnie wodą.

Przekładamy ją partiami do wywaru z ryżem, ciągle miksując, aż do osiągnięcia gęstej konsystencji. Niestety, potrawa będzie miała bury kolor – podkręcamy ją wizualnie łyżeczką kurkumy, a potem ewentualnie wzmacniamy ulubioną przyprawą (np. kminem). © P



Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).



TWARZ NA KARNAWAŁ

JOANNA BRAUN, SCENOGRAFKA:

Nagłówek artykułu o karnawale w Rio de Janeiro brzmiał: „Szesnastu samobójców ze szczęścia”.

A dalej: „Nie mamy jeszcze informacji o skutkach karnawału w São Paulo”.

Taki był początek mojej fascynacji.

ZDJĘCIA GRAŻYNA MAKARA

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Tę maskę, która wisi w przedpokoju, przywiozłaś z Wenecji?

JOANNA BRAUN: Tak, ale traktuję ją wyłącznie jako element dekoracji. Prawdziwe dzieła sztuki trzymam w kuchni, łazience i pokoju. Cuda! Robi je Rysio Hodur, przez lata kierownik techniczny w Akademii Sztuk Teatralnych, robiący scenografie do dyplomów oraz filmów. Weneckiej maski dla turystów, nawet okazałej, ładnej, ale wymyślonej w ten sposób, by jak najwięcej egzemplarzy udało się sprzedać, nie da się nawet porównać z tymi od Rysia.

Co one mają?

Wyjątkowość, niepowtarzalność, gest artysty. Każda faktura jest przemyślana: gdzie szorstkie, gdzie gładkie. Gdzie ma być wypukłe, gdzie płaskie, czy symetria, czy asymetria. Tu jedna płaszczyzna złota, a przy niej druga złota, ale na pierwszej kropka czerwieni cynobru, a na drugiej kropka czerwieni karminu. Obie są czerwienią, ale z delikatną różnicą i ten niuans robi efekt. Tak Rysiek realizuje swoje marzenie o doskonałości.

Marzenie o doskonałości?

Chodzi o możliwość łączenia wszystkich materiałów, technik, praktyk, byle było pięknie.

Mówisz o pięknie, ale te maski, które wiszą w Twojej sypialni, bardziej budzą niepokój niż zachwyt.

Przywiozłam je z Meksyku. Pod koniec lat 70. i na początku 80. wykładałam kostiumologię w Centro Universitario de Teatro i robiłam scenografie dla teatrów. Ściągnij jedną, czujesz tę lekkość? Wykonana jest z balsy – drzewa rosnącego w Ameryce Południowej, u nas obecnego pod nazwą „ogorzałka wehnista”. Spójrz jaka tu jest fantastyczna forma: wąż z otwartą paszczą, a w niej człowiek trochę nadgryziony. Albo maska obok: dziwne zwierzę, które zjadło wąża. W takim towarzystwie do łóżka się kładę i z niego wstaję. I tę moją galerijkę bardzo lubię, zżyliśmy się wszyscy.

Co Ciebie w nich pociąga?

Ciągnie mnie do tego, co jest zakryte, pod spodem, uznane za wstydlive. Diabelskość mam więc oswojoną. W Meksyku spotykało się ją na każdym kroku. W Wielkanoc Chrystusowi w kościołach podwiązywano szczękę, na wszelki wypadek, by mu nie opadła. Jednocześnie na rzeźby Tlaloca oraz innych pogańskich bogów można się było natknąć na tyłach ołtarza. Byłam pod wielkim tego wrażeniem, czułam nieustanne oszołomienie. Wyrwałam się przecież z Polski dwóch zaborów: komunistycznego i katolickiego. Spod rygorów, zakazów, monolitu politycznego i religijnego. Cudem te dwa lata w Meksyku przeżyłam bez wariactwa. Pewnie dlatego, że po roku ściągnęłam tam moją ósmioletnią córkę. I może strzegł mnie Duch Święty – ten z ulicy, przy której mieszkaliśmy, Espiritu Santo.

To w Meksyku zafascynowałaś się maskami?

Wcześniej, kiedy byłam nastolatką. Przechowyuję szkicowniki z liceum plastycznego. Maniakalnie malowałam twarz ówczesnego narzeczonego – szesnastolatka starszego, w wieku moich profesorów. Planowaliśmy wspólną przyszłość, chcieliśmy się pobrać. Koniec końców rozeszliśmy się, a pierścionek zare-

*Obok: maska w paszczy węża, przywieziona z Meksyku, koniec lat 70. XX w.
Po lewej: Joanna Braun w masce autorstwa Ryszarda Hodura.*

czynowy, pewnie dlatego, że nie z brylantem, wyrzuciłam z Mostu Dębnickiego do Wisły.

W szkicowniku są wyłącznie twarze narzeczonego?

I moje autoportrety, które w sumie maluję całe życie. A robię to dlatego, że chcę poznać swoją maskę. Każdy portret czy autoportret, malowany nawet najbardziej realistycznie, niezmiennie pozostaje maską. Choćby dlatego, że brakuje trzeciego wymiaru. Widzimy tylko grymas, wstrzymaną motorykę twarzy.

I to jest ten początek fascynacji?

Na przełomie lat 60. i 70. przeczytałam artykuł o karnawale w Rio de Janeiro. Że samba, że stroje, że zabawa, że tłumy, że kolorowe ulice. Oraz nagłówek: „Szesnastu samobójców ze szczęścia”. Plus informacja: „Nie mamy jeszcze innej informacji o skutkach karnawału w São Paulo”.

Samobójcy ze szczęścia to ci, którzy przedawkowali narkotyki?

Dziennikarze użyli eleganckiego języka. Tym sformułowaniem byłam porażona, nie mogło mi wyjść z głowy. Myślałam: samobójstwo ze szczęścia musi być bliskie orgazmowi – małej śmierci, czyli „la petite mort”, jak mawiają Francuzi. Tu i tu: błogość i wyzwolenie. Wówczas wykonałam pięć portretów samobójców ze szczęścia.

Co musi być w masce, by tak poruszyła?

Może moduł, od którego zaczyna się jej tworzenie? Forma geometryczna? Zestaw kolorów? Ogólny zamysł? Proporcje idealne lub zaburzone? Każda maska uruchamia proces poszukiwania formy. Podam przykład ze „Skąpca”, mojego debiutu, który prawie sześćdziesiąt lat temu odbył się w Grotesce. Szukałam inspiracji w czasach Moliера, czytałam książki, przeglądałam albumy. I choć Molier żył za panowania Ludwika XIV, dla mojej wyobraźni okazały się inspirujące czasy Ludwika Filipa. Konkretnie: karykatura Ludwika, którego twarz została narysowana w kształcie gruszki. To właśnie wykorzystałam w maskach do „Skąpca”. Członkowie jego rodziny otrzymali głowy w kształcie odwróconej gruszki.

Twój sceniczny debiut przypadł na złote czasy dla całego artystycznego Krakowa. To Cię budowało?



→ Formowało, inspirowało. W Teatrze Starym wystawiali Swinarski, Jarocki... Adaptacją „Biesów” Wajdy byłam porażona. Muzyką Zygmunta Koniecznego, aktorstwem Jana Nowickiego, Wojciecha Pszonia i całej wspaniałej reszty. Efekt scenografii Krystyny Zachwatowicz tworzyło to, że w teatralnym błocie umazany był dół ubrań i butów aktorów.

Inne ważne miejsca?

Przed wszystkim trójką magiczną: Teatr 38, Piwnica pod Baranami oraz Groteska z repertuarem dla dzieci, młodzieży i dorosłych. To w Grotesce podziwiałam scenografię Kazimierza Mikulskiego. Ale najpierw odkryłam go jako surrealistycznego malarza widzącego rzeczywistość jako nieustanny karnawał podświadomości. Kiedyś Zofia Jaremowa, dyrektorka Groteski, zwana w rodzinie „cioteczka”, bo jakoś tam byliśmy skoligacone, zaprowadziła mnie do pracowni Mikulskiego, która znajdowała się w pobliżu Bramy Floriańskiej. Na ostatnim piętrze mieściła się mała przestrzeń, a dla mnie to było jak wejście do świątyni. Mikulski częstował nas herbatą ulug – piekielnie mocną, niczym więzienny czaj. Wysłałam od niego pijana obrazami i herbatą.

Piwnica pod Baranami?

Praktycznie nie opuszczałam do śmierci Piotra Skrzyneckiego, zachwycalam się profesjonalnie wymyślonym makijażem Krystyny Zachwatowicz śpiewającej „Taka głupia to ja już nie jestem...”. Ten artystyczny makijaż był również rodzajem maski. Dla Zachwatowicz mam podziw od zawsze. Działały jeszcze Krzysztofory, a w nich Tadeusz Kantor, który był rewelacyjnym lalkarzem. Choć gdyby usłyszał, że tak go nazywam, splunąłby mi w twarz. To był teatr żywiołu plastycznego. Poza tym lalki i maski zawsze łączą się z przestrzenią.

Co to znaczy?

Weźmy pandemię: nosiliśmy szmaciane maseczki zakrywające połowę twarzy i odbierające tożsamość. Na ulicy trwał więc wielomiesięczny karnawał, sami przebierańcy. Początkowo miałam z tym wielki kłopot, nie rozpoznawałam ludzi. Jeśli do tego wszystkiego dochodziło nakrycie głowy i nie było widać włosów, które są naszym passe-partout, to zdarzało mi się nie rozpoznawać przyjaciół. Dopiero potem nauczyłam się skupiać na mowie ciała oraz czytać ludzi z oczu. Bo w każdej masce jest przecież miejsce na oczy. I mimo to, że maską zajmuję się od dekad, dopiero całkiem niedawno dowiedziałam się, że „persona” to po grecku znaczy „maska”. Według Junga podobnie: „persona” to nasze drugie „ja” stworzone dla innych po to, by zaspokoić ich oczekiwania. Pamiętasz „Persone” Bergmana?

Liv Ullman gra aktorkę, która milknie, ale nie dlatego, że ma kłopot z gardłem, tylko taką przyjmuje strategię w relacjach z ludźmi. Ona więc nie mówi, zajmująca się zaś nią pielęgniarka zwierza jej się z całego swojego życia.

A ja w Teatrze Barakah widziałam niedawno spektakl „Persona 2”. Na scenie są dwie osoby: matka i córka. Mówi wyłącznie córka, matka milczy. Tyle że to również jest dialog. Dialog milczenia ze słowem, co pokazuje, w jaki sposób można wyra-



JOANNA BRAUN (ur. 1942 w Warszawie) jest scenografką i malarką. Od ukończenia studiów związana zawodowo z krakowskim Teatrem Lalki i Maski Groteska.

Ma na koncie ponad 150 realizacji scenograficznych w teatrach dramatycznych, lalkowych, tańca.

Na zdjęciu w swoim mieszkaniu w Krakowie, styczeń 2025 r.

zać bliskość wraz z szerokim wachlarzem emocji – od miłości po nienawiść. Teraz zrobię małą dygresję, ale ona jakoś wiąże się z tym, o czym rozmawiamy. W grudniu 1981 r. wylądowałam w Indiach. Kiedy dotarła do mnie informacja, że w Polsce został wprowadzony stan wojenny, to w Wigilię przez cały dzień – od rana do nocy – milczałam. Podjęłam decyzję: nie mówię. Kilkaście godzin bez słowa, w ciszy. Zmierzam do tego, że pojęcie maski jest bardzo szerokie. I zawsze maski są czegoś znakiem: karnawału, żałoby, wycofania, lęku, ukrycia złych zamiarów, a w innych kulturach – antropologicznych ciekawostek, które chce się odkrywać.

Jakie antropologiczne ciekawostki kryją się w japońskich maskach teatru nō, których reprodukcje wiszą w Twoim pokoju?

Zobacz: w tych maskach każdy mimiczny szczegół wyraża zniuansowane emocje. Maski teatru nō, łączą elegancję

z okrutną prawdą: każda może popełnić sepuku. Istnieją różne szkoły japońskich masek, tak jak są różne szkoły ich lalek. Na przykład lalki bunraku mają ponad metr wysokości, a ich wykonane z drewna głowy przymocowane są do całego urządzenia, za pomocą którego człowiek animuje lalkę. Oczy, brwi i usta są ruchome – animator porusza nimi przy pomocy dźwigni umieszczonych w szyi. Dla Japończyków te lalki to była świętość i sądzę, że tak jest nadal, ze względu na ich umiłowanie tradycji. Tam lalkę traktuje się jak u nas relikwię. I wyobraź sobie – taką opowieść kiedyś usłyszałam – że Japończycy na noc odłączają głowy lalek od reszty ciała, tylko po to, by nie poszły gdzieś narozrabiać.

Ja znam legendę o żyjącym w XVII wieku lalkarzu, który swoim kunsztem oczarował zamożnego widza. I ten złożył mu propozycję odsprzedania za sporą sumę lalki, którą ten mistrzowsko prowadził. Lalkarz odsprzedał, ale bez krzyżaka decydującego o jej ruchu.

Czyli jakby ten człowiek kupił lalkę bez duszy – tu jej symbolem jest brak krzyżaka, w bunraku odkręcona głowa. W moim zawodowym życiu zdarzyła się całkiem podobna historia. Kilkanaście lat temu projektowałam lalkę Chopina do przedstawienia „Chopin impresja”, które miało premierę w Białostockim Teatrze Lalek i które potem zjeżdżało niemal cały świat. Zaprojektowałam tych lalek o wiele więcej, samych Chopinów było dwóch: Chopin oficjalny, Chopin prywatny. Była też lalka Paganiniego, z którym Chopin rywalizował. Przedstawienie reżyserował Lesław Piecka, który niedawno zmarł, nad czym boleję, bo myślałam, że jeszcze coś wspólnie zrobimy. W tym spektaklu muzyka Chopina była wykonywana na żywo przez widocznego na scenie Krzysztofa Trzaskowskiego, laureata drugiego etapu Konkursu Chopinowskiego. I jednocześnie na scenie była obecna marionetka Chopina, którą animatorzy poruszali w rytm grającego na żywo pianisty. Lalkowy Chopin podobnie więc podnosił ramię, nadgarstek, przebiegał palcami, siadał przy fortepianie.

Miał duszę?

Piecka najpierw poprosił, bym zrobiła projekty lalek Chopina i Paganiniego jeden do jeden – czyli naturalnej wielkości. A zazwyczaj robi się w skali jeden do trzy lub jeden do pięć. Piecka chciał widzieć każdy paluszek narysowany dokładnie w tych rozmiarach, w których potem, już w pracowni, lalka będzie robiona. Wykonawcy lalki mieli więc ułatwione zadanie, nic już nie musieli przeliczać. Przyszedł czas na korektę scenografii, chciałam sprawdzić, czy zgadzają się z moim projektem wszystkie detale – paznokietki, kosteczki, nos, błysk oka... Rzecz jasna chciałam też na próbie zobaczyć, jak lalki funkcjonują w przestrzeni z innymi lalkami. Piecka był tym niezmiernie zdziwiony. Stawiał opór. Co prawda nie odkręcał głów od korpusów lalek, ale trzymał je w tajemnym schowku zamykanym na klucz, zapewne w przekonaniu, że mają swoje życie i w jakiś sposób trzeba je chronić.



„Chopin impresja” to Twoja najważniejsza realizacja lalkowa?

Chyba jednak jest nią „Bestia i piękna” Grochowiaka wyreżyserowana przez Marcina Jaruszkiewicza w Teatrze Animacji w Poznaniu. Na scenie były duże marionetki i tylko jeden aktor: Bestia. Wyzwaniem dla nas było przeprowadzenie myśli, że Bestię trzeba pokochać taką, jaka jest. Bo Bestia w naszym przedstawieniu na sam koniec nie zmienia się w ślicznego księcia, aktor nie zdejmuje maski. A nad całą widownią od początku do końca spektaklu, czyli przez półtorej godziny, przepływał anioł, by pobłogosławić związek Pięknej z Bestią. Przecież Piękna pokochała Bestię ze wszystkimi rysami na duszy. I może ta maska to była persona samego Grochowiaka? Ta Bestia do pokochania to był on sam?

Gdybyś miała wykonać maskę dla samej siebie, to jak by ona wyglądała?

Wszystko na odwrót niż w mojej twarzy. Nosek malusieńki jak u żabki. Włosy zielone jak u syreny. Oczy z tyłu głowy jak u kameleona. Z ust buchający Wezuwiusz. Prawdę mówiąc, zaprojektowałam podobną maskę do sztuki „Słońce zachodzi” Michela de Ghelderode. Piotr Skiba grał tam króla Karola V Habsburga, medytującego w obliczu śmierci nad dzieciństwem, starością, umieraniem. Było tam dużo plebejskiego humoru, spod którego przeziierała filozoficzno-antropologiczno-intelektualna refleksja na temat iluzoryczności życia. A maska, o której mówię, miała właśnie w ustach światło. Do teraz głowię się, jak to technicznie udało się wykonać.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA



Obok:
półmaska autorstwa
Ryszarda Hodura.

Powyżej: maska z Nepalu,
pocz. lat 70. XX w.

STANISŁAW

Mancewicz:

Kilka słów o UFO



TRZEBA NIECO PONARZEKAĆ, ŻE OTO wszystkie optymistycznie zapowiedziane próby rozliczenia długich, a obfitujących w różnorakie przestępstwa rządów naszej prawicy spaliły na panewce. Można się godzinami zastanawiać, dlaczego żadna ze spraw nie znalazła dotąd finiszu w sądzie, dlaczego działania wszystkich parlamentarnych komisji śledczych to niekończące się, a rozdzierające spektakle nieudolności. Można, a właściwie trzeba by się zastanowić, dlaczego tak wielu ludzi podejrzanych o popełnienie poważnych przestępstw nie udało się dotąd nawet przepytac, ani także zgadnąć stosownym służbom, jakie mają zamiary, choć oni akurat zgrabnie antycypują i uciekają, jak chcą i dokąd chcą. Nawet na piechotę. Część zresztą – popatrzymy – nigdzie nie ucieknie, bo woli śmiać się do rozpuku, tu i teraz, występując na scenach teatrów, w salach weselnych, w remizach i kościołach, w telewizjach i w radiostacjach, tworząc nową specjalność showbiznesu.

Oczywiście, bezradność państwa jest w Polsce dość powszechnym, pokoleniowym doznaniem, jednak poziom owej bezradności w połączeniu z demonstrowaną bezkarnością i szyderstwem z prawa i obyczajów to sytuacja nowa. Tak długo żyć nie sposób, więc poszukiwanie pocieszenia wydaje się zadaniem pilnym. Najlepiej pocieszać się – to wiadomo nie od dziś – przyglądając się kłopotom bliźnich.

Dużą, ba!, największą satysfakcję odczuwamy, gdy pod górkę mają mieszkańcy mocarstw, wobec których przez pokolenia i przez wieki naszego polskiego mozołu odczuwaliśmy pie-

kącą niższość bądź wstydliwą osobność. Dożyliśmy oto dnia, że Stanami Zjednoczonymi rządzi z łaski wyboru powszechnego człowiek pokroju D. Trumpa. Wszystko, co dziś robi, to nowość, także w porównaniu z jego poprzednią kadencją. Człowiek ten przebija na razie wszystko, czego moglibyśmy się wstydzić, gdyby ktoś taki rządził Polską. A więc cieszy nas, gdy ów mówi cokolwiek bądź cokolwiek robi. Nie podejrzewaliśmy, że coś podobnego jest w ogóle możliwe. Otóż – jak widać – możliwe jest wszystko, i to warto sobie zakarbować w głowie na zawsze.

Oczywiście, nasze wyluzowanie i rechocik wynikają z okoliczności takiej oto, że nie jesteśmy ani Kanadyjczykami, ani Panamczykami, ani Meksykańkami, ani – wreszcie – Grenlandczykami, ani nawet Chińczykami. A nikomu w tych krajach nie jest, zdaje się, do śmiechu. Nasza rola w najbliższej przyszłości jest chyba ustalona, a i – Bóg da – stosunkowo bezpieczna. Będziemy statystować D. Trumpowi i jego pomagierom, nie będziemy się wychylać i raczej będziemy potakiwać. Bo co nam pozostaje? Przy takiej roli i w takich okolicznościach będzie się można pośmiać i z reszty świata pożartować, a więc i pocieszyć. Rzecz jasna – bo niczego dziś nie można wykluczyć – należy żyć nadzieją, że D. Trump nie wyznaczy nam jakichś heroicznych zadań. Na przykład zbrojnego strzeżenia Kanału Panamskiego, bądź nie przyzna nam koncesji na wydobywanie grenlandzkiego śniegu, mimo oporu tamtejszej partyzantki.

Wszystko jednak – powtórzmy z naciskiem – jest dziś możliwe, a niezmysłona teraźniejszość jest pasjonująca. Obecny prezydent USA w swym inauguracyjnym przemówieniu nie tylko zapowiedział okupację licznych terytoriów, czy – między wierszami – deportacje Podhalan na łono ojczyzny, ale też ujawnienie wszystkich dokumentów dotyczących wizyt UFO w USA. Nie kryjemy, że chcielibyśmy, by p. Nawrocki, prezes IPN-u, kandydat na prezydenta RP, zapowiedział otwarcie polskich archiwów UFO. Byłaby to ożywcza nowość w naszych przygotowaniach z lustracją. Przydałoby się też wreszcie ogłosić, kto w Polsce jest reptilianinem. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilk Superbohater.



Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy **S-NET Data Center**

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.



Gwarancja SLA



Obiekt klasy Tier 3



Transmisja danych
do krajowych operatorów



Samodzielny dostęp
do szaf w trybie 24/7



Redundantne połączenie
z siecią Internet



Monitoring 24/7
oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.



Systemy
przeciwpożarowe



Systemy
chłodzenia



Niezależne
zasilanie



s-net.pl/data-center



Skontaktuj się z nami

+48 **12 395 71 00**



Teatr im. J. Słowackiego
w Krakowie

REKLAMA

James Joyce ULISSES

reżyseria Michał Borczuch

PREMIERA 14 lutego 2025 r. | DUŻA SCENA

**obsada: Dominika Bednarczyk, Lidia Bogaczówna,
Wojciech Dolatowski, Dominika Feiglewicz-Penarska,
Karol Kubasiewicz, Martyna Krzysztofik,
Magdalena Osińska, Dominik Stroka, Krzysztof Zarzecki**

tlumaczenie Maciej Świerkocki | adaptacja i dramaturgia: Tomasz Śpiewak
scenografia i kostiumy: Dorota Nawrot | muzyka: Bartosz Dziadosz | reżyseria światel: Robert Mleczko
video: Krzysztof Bagiński | asystenci reżysera: Eugenia Balakireva, Beata Ćma, Eliasz Niezgoda, Marek Zieliński
asystentka scenografki: Julia Zawadzka | inspicjent: Marcin Stalmach | producentka: Agata Schweiger

teatrkrakowie.pl



Teatr im. J. Słowackiego
w Krakowie

INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWÓDZTWA
MAŁOPOLSKIEGO

MAŁOPOLSKA

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

PARTNERZY



BMW
M-Cars Group

Bielenda

PATRONI MEDIALNI

VOGUE

TVP3
KRAKÓW